

UKŁAD ZE SKORPIONEM
Jak kard. Stefan Wyszyński ocalił Kościół w Polsce

LEW, POT I ŁZY
Życie codzienne gladiatorów w starożytnym Rzymie

POMYŁKA PEREJASŁAWSKA
Wybór Chmielnickiego, który oddał Ukrainę Rosji

NR 4(122)/2023 KWIECIEŃ 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 601

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Powstanie w getcie warszawskim

MASADA '43

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.

REPUBLIKA

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ



codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają
Ilona Januszewska
Emilia Wierzbicki
Piotr Nisztor
Aleksander Wierzejski
Marcin Bąk

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 0b86cb3ec7

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.



Powstanie warszawskie było dla Macieja Rosalaka absolutną świętością. W 2021 r. odsłonięty został „Marymoncki Nieśmiertelnik", którego inicjatorem był Wacław Gluth-Nowowiejski ps. Wacek, serdeczny przyjaciel naszego śp. redakcyjnego Kolegi. Maciek zaangażowany był w zbieranie środków na budowę tego pomnika FOT. KAROLINA BAŁDYGA/KURIER POLSKI

Ostatni taki numer

W tym miejscu powinni Państwo przeczytać wstępniak Macieja Rosalaka. Niestety, nasz Szef i serdeczny redakcyjny Kolega nie zdążył już napisać tekstu wprowadzającego do starannie – jak zwykle zresztą – przygotowanego przez Niego tematu numeru. Maciek odszedł do wieczności tuż przed oddaniem do druku kwietniowej „Historii Do Rzeczy". Numer ten poświęciliśmy powstaniu w getcie warszawskim, które Maciek od lat porównywał do tragedii Masady.

„W owej twierdzy na szczycie wyniosłego klifu nad Morzem Martwym walczyli pod wodzą Eleazara ostatni uczestnicy powstania przeciw Rzymianom – pisał Maciek w 2008 r. w jednym z felietonów. – Kiedy wrogowie znaleźli drogę na szczyt i obrona została skazana na klęskę – wszyscy wojownicy żydowscy popełnili samobójstwo, aby uniknąć hańbiącej niewoli. Masada stała się symbolem żydowskiego męstwa. Podobnym symbolem jest powstanie w getcie warszawskim. Zaprzecza ono także – jak straceńcze próby walki w kilku innych gettach oraz obozach śmierci – obiegowej opinii o bierności wszystkich Żydów, którzy bez oporu pozwalali się »prowadzić na rzeź« hitlerowcom".

Tak właśnie nasz redakcyjny Kolega podchodził do historii – z wielkim zaangażowaniem, z poczuciem misji, by jak najbardziej rzetelnie kształtować postrzeganie naszych dziejów przez kolejne pokolenia. Bez wątpienia „Historia Do Rzeczy" nie będzie już tym samym pismem bez Jego zaangażowania w sprawy redakcyjne i bez Jego tekstów. Tekstów, z których przebijały wielka erudycja i niesamowita, wręcz encyklopedyczna wiedza historyczna. Trudno będzie się zbliżyć do standardu wyznaczonego przez tego znakomitego Redaktora, ale zrobimy wszystko, by kolejne numery naszego miesięcznika były po prostu jak najlepsze.

Redakcja „Historii Do Rzeczy"

eprasa.pl 0b86cb3ec7



/ TEMAT NUMERU

.8 MACIEJ ROSALAK
Koszmar getta w Warszawie

.14 MACIEJ ROSALAK
Warschauer Ghetto we krwi i w płomieniach

.20 MOSZE ARENS
Prawicowi bohaterowie

.24 TOMASZ STAŃCZYK
Najpierw wykorzystać, później zabić

/ CZASY I LUDZIE

.30 RAFAŁ ŁATKA
Wyszyńskiego układ ze skorpionem

.33 MAREK GAŁĘZOWSKI
Trzech z Virtuti Militari

.36 TOMASZ KORNAŚ
Nie trzeba mówić głośno?

.39 MIKOŁAJ IWANOW
Polska okiem Kremla

.42 PIOTR SEMKA
Pięć minut prezydenta Zaremby

.45 JAKUB OSTROMĘCKI
NRD na gołasa

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Hitlerowiec po norwesku

.51 SŁAWOMIR KOPER
Początki kabaretu Tey

.54 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
Misstrzostwa II Rzeczypospolitej

.58 GARRET RYAN
Gladiatorzy: lew, pot i łzy

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Ziemia obiecana Andrzeja Brauna

.66 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pańszczyźniana armia

.71 PIOTR SEMKA
Na dalekiej Ukrainie

eprasa.pl 0b86cb3ec7

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK
Fatalne skutki Perejasławia

/ MILITARIA

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Kosa na Moskala

/ TECHNIKA

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Narkotyki

/ POD PRĄD

.78 PIOTR ZYCHOWICZ
Wojna na gruzach imperiów

/ KOMIKS
Skok „Żmudzina”

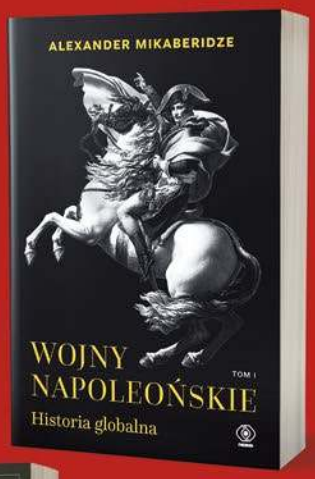
Wyjaśnienie do „HDR” nr 3/2023

W poprzednim numerze zaistniał w fazie przygotowywania do druku niezamierzony błąd w tekście o badaniach tematyki Żołnierzy Wyklętych. Otóż na str. 6, niemal na początku artykułu, poszedł do drukarni akapit zaczynający się od słów: „Trudno w to uwierzyć...”, a kończący się słowami: „... doszło do przełomu”. Nie ma on najmniejszego związku ani z poprzednim, ani z następnym akapitem i w ogóle z całym artykułem ani też z innym tekstem w numerze. Jest bez sensu, a znalazł się na makiecie tylko z powodu właściwego kroju i wielkości czcionki. Przepraszamy Czytelników i Autorów, znakomitych znawców tematu, badaczy, którzy zasługują na szacunek i wdzięczność rodaków. Jest nam szczególnie przykro, że błąd dotyczy właśnie Ich tekstu... ***Redakcja***

REKLAMA

REBIS

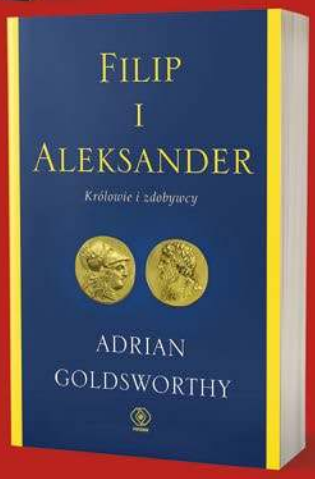
Imponujące rozmachem dzieło opisujące historię wojen napoleońskich





Burzliwe losy ludzi, którzy budowali na nowo swe życiorysy, by wejść do niedostępnego dla nich świata

Jak dwaj królowie Macedonii przeobrazili słabe państewko na północy Grecji w imperium na skalę światową

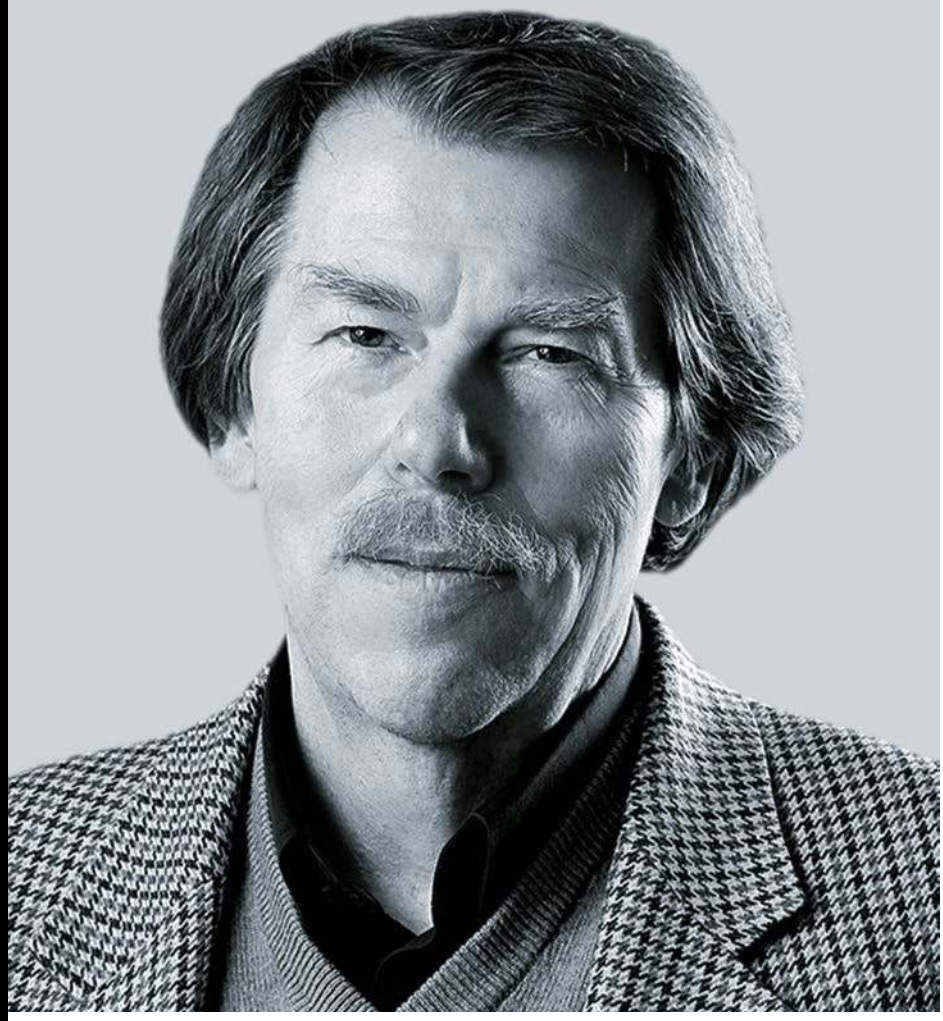


Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

eprasa.pl 0b86cb3ec7

1947–2023 / Maciej Rosalak

Żegnaj, nasz pierwszy Czytelniku…



„Historia Do Rzeczy" obchodziła właśnie swoje 10-lecie, gdy dotarły do nas tragiczne informacje o poważnych problemach zdrowotnych Maćka, a niedługo potem o Jego śmierci

Nie tak to wszystko miało wyglądać… Straciliśmy podporę naszej redakcji i nie jest to jedynie kurtuazyjna formułka. To, że Maciek był absolutnie kluczową osobą w procesie tworzenia naszego pisma, to po prostu fakt.

Wszyscy, którzy z Nim współpracowali, zastanawiali się, skąd Maciek czerpie siły do pracy. Zazwyczaj po zamknięciu kolejnego numeru i wysłaniu go do drukarni wszyscy autorzy potrzebowali „przerwy technologicznej". Ale nie Maciek. Nasz niezmordowany redakcyjny Kolega, który śmiał się, że niektórzy autorzy wpadali po zamknięciu numeru w dwutygodniowy okres „atrofii", na okrągło mógł pisać o historii – dyscyplinie, którą kochał całym (zawodowym) sercem. Choć Maciek był najstarszy z nas wszystkich, to zdawał się mieć najwięcej sił do pracy. Jego e-maile z przypomnieniem „Historia czeka!" (czasem z jednym wykrzyknikiem, a czasem z trzema) każdy wspomina dziś z rozrzewnieniem, tak samo jak towarzyszący tym wiadomościom podpis: „Wasz pierwszy czytelnik Maciej R.". Hasła „Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem" nikomu z autorów przypominać i tłumaczyć nie trzeba…

Maciek był wytrawnym redaktorem, wiedzącym wszystko o pracy sekretariatu, tego nerwu każdej redakcji, gdzie rodzą się gazeta, tygodnik, miesięcznik. Sekretarzował wielu pismom, kierować niektórymi z nich też zdążył – w Warszawie i Łodzi. W opowieściach swoich – a gawędziarzem był przednim – często wracał do swoich dziennikarskich początków i pracy w „Kurierze Polskim", w którym w gorącym czasie pierwszej Solidarności zajął się białymi plamami naszej historii, ze

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Ostatnie publiczne wystąpienie Macieja Rosalaka, na gali nagrody Strażnik Pamięci, listopad 2022 r. FOT. P. WOŹNIAKIEWICZ

szczególnym uwzględnieniem tych, które dotyczyły powstania warszawskiego – świętości Maćkowej. Gdy pewnego letniego upalnego dnia jeden z nas zobaczył go w pracy w „Rzeczpospolitej" w garniturze i pod krawatem i zapytał, czemu się tak wyelegantował, Maciek wycedził przez zęby: „A jaki jest dziś dzień, kolego?". Oczywiście to był 1 sierpnia i prosto z redakcji dziennika, wtedy mieszczącej się przy placu Starynkiewicza, Maciek pojechał na Powązki, by być tam o godz. 17.

Jego niezwykłą wiedzę historyczną najlepiej widać było w telewizji i w stacjach radiowych, gdzie był częstym gościem. „Na zawołanie" był w stanie opowiedzieć widzom/słuchaczom o tym, jak dzień po dniu zmieniał się układ sił w ogarniętej powstaniem Warszawie, by za chwilę w detalach przedstawić szlak poszczególnych alianckich dywizji szatkujących w tym czasie niemieckie pozycje na zachodzie Europy.

Maciek był absolwentem Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, uczestnikiem studenckiej rebelii w marcu 1968 r., a w latach 80. zapisał piękną kartę w Solidarności. Po 1989 r. dał się poznać przede wszystkim jako niestrudzony popularyzator naszej historii. Jakże wielką wartość mają dziś opracowywane przez niego niezwykle popularne dodatki historyczne „Rzeczpospolitej"!

Przede wszystkim jednak Maciek był dobrym człowiekiem. Zawsze z wielką czułością mówił o swojej Rodzinie. O wakacjach z Wnuczkami spędzanych nad Zatoką Gdańską, o pasjach swojej Córki, o działce pod Warszawą, którą tak lubiła Jego Żona.

Wielką radość sprawiał nam cytowaniem na okrągło „Przygód dobrego wojaka Szwejka", którego – mogło się zdawać – znał na pamięć. A już gdy w odpowiedniej do tego sytuacji gładził się po brodzie, z filuternym uśmiechem mówiąc: „... żołnierze głupie chamy, ale twój Natan ma delikatny rozum", zachwyt nasz nie miał granic.

I takim Go zapamiętamy, jako człowieka, niezależnie od wszystkich kłopotów i z wiekiem coraz bardziej dokuczliwych chorób, pogodnego, serdecznego i, tak najzwyczajniej, pełnego życzliwości dla innych i ciepła.

Krzysztof Masłoń, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk, Piotr Zychowicz

eprasa.pl 0b86cb3ec7



1939–1943 / Od „dzielnicy żydowskiej" do akcji „Reinhardt"

Koszmar warszawskiego getta



Maciej Rosalak

Ścisk, głód, epidemie, śmierć tysięcy Żydów oraz iluzje prezesa Judenratu inż. Adama Czerniakowa

Drang nach Osten w narodowosocjalistycznym wydaniu już przed rokiem 1939 zakładał hegemonię Niemiec w środkowo-wschodniej Europie przy całkowitym pozbyciu się Żydów. Konkretny, ludobójczy z założenia plan powstał w 1941 r., gdy sukcesy na froncie wojny z ZSRS wydawały się im ukoronowaniem podboju całej Europy, umożliwiającym zarówno zagospodarowanie „przestrzeni życiowej" (niem. Lebensraum) na wschodzie, jak i „rozwiązanie problemu żydowskiego" (Endlösung der Judenfrage). U podstaw Generalnego Planu Wschód (Generalplan Ost) tkwiło bowiem przekonanie o wyższości rasowej Niemców, dającej im pełne prawo do wymordowania przynajmniej 100 mln ludzi, w tym wszystkich Żydów i większości Polaków.

Masowe egzekucje setek tysięcy osób pochodzenia żydowskiego na zdobywanych terenach Związku Sowieckiego, przeprowadzane od lata 1941 r., pozbawiały resztek złudzeń co do prawdziwych zamierzeń hitlerowców. Zagładę 11 mln Żydów europejskich zaplanowano

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Głodujące dzieci w getcie w Warszawie
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA



Getto było bardzo przeludnione. Na zdjęciu: ulica Smocza
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

w styczniu 1942 r. na naradzie w Wannsee pod Berlinem.

Judenrat

Już w październiku 1939 r. Niemcy rozpoczęli w Warszawie przesiedlać Żydów do gęsto zabudowanego rejonu na styku dzisiejszego Śródmieścia i Woli. 7 października w miejsce Gminy Żydowskiej ustanowili Judenrat – Radę Żydowską złożoną z 24 radców, na której czele stanął prezes gminy Adam Czerniaków. Była to forma władz samorządowych powstającej dzielnicy żydowskiej. Jednocześnie zablokowali konta bankowe i oszczędności Żydów oraz wprowadzili zakaz uboju rytualnego zwierząt. Z początkiem grudnia nakazali nosić im na prawym ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida, oznakować sklepy i przedsiębiorstwa, zakazali zmieniać miejsce zamieszkania bez specjalnego zezwolenia oraz leczyć ich w szpitalach. Zimą 1940 r. zamknięto bóżnice i zakazano zbiorowych modlitw w mieszkaniach prywatnych, zakazano wstępu do kawiarni i restauracji oraz jeżdżenia koleją. Wiosną zaś Judenrat zaczął na rozkaz Niemców otaczać murem – rzekomo jako obszar zamknięty z powodu zarazy i w obawie przed ekscesami antyżydowskimi – całą dzielnicę żydowską. We wrześniu wprowadzono tramwaje tylko dla Żydów.

Wreszcie 2 października 1940 r. wydano zarządzenie o utworzeniu getta, co 12 października ogłoszono przez uliczne megafony w żydowskie święto Jom Kippur (Sądny Dzień). Do połowy listopada przesiedlono wszystkich Żydów do dzielnicy żydowskiej, a wysiedlono z niej Polaków. Granice getta biegły ulicami: Wielką, Bagno, placem Grzybowskim, Rynkową, Zimną, Elektoralną, placem Bankowym, Elektoralną, Tłomackie, Przejazd, Nalewki, granicą Ogrodu Krasińskich, Świętojerską, Freta, Sapieżyńską, Konwiktorską, Stawki, Dziką, Okopową, Towarową, Srebrną i Złotą. Wraz z Żydami zagnanymi tu z innych miejscowości polskich, a także z innych krajów europejskich, warszawskie getto liczyło 460 tys. mieszkańców.

Prezes Judenratu – inż. Adam Czerniaków, przedwojenny senator – był człowiekiem prawym, ale żywiącym złudzenia, że lojalność i posłuszeństwo wobec Niemców, a także możliwie najlepsza organizacja społeczności żydowskiej pozwolą na jej przetrwanie. Jak wielu jego rodaków, zwłaszcza z elit żydowskich stojących na stanowisku, że wojna z Niemcami jest wyłącznie sprawą niemiecko-polską, nie szukał porozumienia z Polskim Państwem Podziemnym, a nawet go unikał. Podobne w efekcie stanowisko zajmowało kilka wpływowych komunizujących ugrupowań politycznych podzielających antypolską politykę Sowietów. Odmienny pogląd dominował na prawicy żydowskiej, zwłaszcza z Betaru – partii syjonistycznych „rewizjonistów". Do wiosny 1942 r., kiedy zaczęła się likwidacja gett, kierownicze gremia żydowskie nie były zainteresowane współpracą z Polakami.

Jan Żaryn i Tomasz Sudoł w książce „Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykłe" o żydowskiej niechęci do współpracy z Polskim Państwem Podziemnym pisali: „Świadczą o tym zarówno znane nam dokumenty żydowskie, przede wszystkim dotyczące organizacji największych gett: warszawskiego i łódzkiego, a także liczne wspomnienia żydowskie i polskie, w których widać totalną odrębność postaw, zachowań i problemów wynikających z

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Most nad ulicą Chłodną łączący małe i duże getto
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

okupacji niemieckiej. Zdaniem Polaków, Żydzi w tych latach obdarzali w sposób niezrozumiały zbytnim zaufaniem Niemców, powoli orientując się w rzeczywistych intencjach wroga...". Wprawdzie jeszcze przed zamknięciem getta niektórzy Polacy pochodzenia żydowskiego, jak np. znakomity statystyk i ekonomista Ludwik Landau, opuszczali je i urządzali się z pomocą Podziemnego Państwa po aryjskiej stronie, ale to zjawisko obejmowało niemal wyłącznie rodziny całkowicie zasymilowane.

Wiosna 1941 i 1943

Wiosną 1941 r. Niemcy pozwolili Judenratowi na otwarcie niektórych instytucji kultury i szkół. Stanowiło to jakby potwierdzenie słuszności działań samorządu, bo stwarzało wrażenie, że istnienie getta ma służyć samym Żydom i – jeśli będą posłuszni – będą mieli zapewnioną egzystencję i przyszłość. Występy artystyczne aktorów, muzyków, piosenkarzy, kabaretów odbywały się często w restauracjach, do których wstęp był jednak za drogi dla zwykłych mieszkańców getta. Mary Berg w swoim przemyconym na wolność wspomnieniu zapisała: „Jedyną bronią w getcie jest humor. Codziennie w »Cafe Sztuka« na Lesznie można usłyszeć satyry i piosenki na policję, służbę sanitarną, riksze, a nawet na gestapo".

W eseju o dzienniku Czerniakowa Jacek Leociak przypomina w pięciu odsłonach osobiste doświadczenia prezesa – między czerwcem 1940 a wrześniem 1941 r. – z nałożonym na Żydów obowiązkiem kłaniania się Niemcom na ulicy. „Autor objawia się w niej jako ten, który nie chce się kłaniać i stosuje bierny opór" – z pewnym dystansem pisze badacz. W pierwszej odsłonie wartownik przed siedzibą niemieckiego starosty Warszawy SS-Oberführera Ludwiga Leista przestrzega go: „Zwrócił mi uwagę, abym zdjął kapelusz frühzeitig (zawczasu)". Potem napięcie narasta. Oto po niecałym roku – przed siedzibą gubernatora dystryktu warszawskiego Generalnej Guberni SS-Gruppenführera Ludwiga Fischera – „w podwórzu Briihla z auta krzyknęli mi »zdejm czapkę«. Nie zdjąłem". I po paru dniach: „Na podwórzu pałacu »Brühla« znów mi kazali zdjąć kapelusz" oraz na schodach budynku Gminy: „Usiłowano mi zrzucić kapelusz z głowy". W ostatniej odsłonie, znów przed pałacem Brühla: „Po wyjściu zawróciła nas z ulicy »wacha«, że się nie ukłoniliśmy".

Znacznie gorzej – i to już we wrześniu 1940 r. – potraktowano Emanuela Ringelbluma, który za takie przewinienie „dostał w zęby". W swoim słynnym Archiwum Getta historyk zamieszcza kilka podobnych przykładów biernego oporu. Emanuel Ringelblum uzyskał stopień doktora filozofii jako ceniony historyk dziejów polskich Żydów. Politycznie związał się z Poalej Syjon Lewicą, ale zarówno jako badacz historii, jak i komentator bieżących wydarzeń zachowywał obiektywizm. Podczas wojny organizował z ramienia Jointu (Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy) pomoc społeczną. Największym osiągnięciem jego działalności konspiracyjnej stało się gromadzenie, opracowywanie i ukrycie materiałów dokumentujących funkcjonowanie getta i warunków, w jakich żyli Żydzi pod okupacją niemiecką. Stworzony przez niego w całkowitej tajemnicy nie tylko przed

eprasa.pl 0b86cb3ec7

okupantami, lecz także mieszkańcami getta zespół Oneg Szabat (Radość Soboty – od sobotnich spotkań grupy archiwistów) zdołał w ten sposób uchronić dla potomności unikatowy zbiór trzydziestu kilku tysięcy dokumentów.

Mało kto z Oneg Szabat przeżył. Ringelbluma wraz z żoną i synem Niemcy ujęli w marcu 1944 r. przy ulicy Grójeckiej, gdzie szlachetni ludzie ukrywali grupę ocalałych z getta, i rozstrzelali (Żydów i Polaków). Integralną część Archiwum Getta (popularnie nazywanego Archiwum Ringelbluma) stanowią jego osobiste, własnoręcznie pisane notatki, szkice i eseje. Była to swoista kronika getta warszawskiego, obejmująca okres od października 1939 do kwietnia 1943 r. – z jego obserwacjami pierwszych walk w getcie włącznie. Zakopywane w piwnicach budynków przy ulicach Nowolipki 68 i Świętojerskiej 34 metalowe pojemniki i bańki na mleko z dwiema częściami dokumentów zostały – w latach 1946 i 1950 – odnalezione i przeniesione do Żydowskiego Instytutu Historycznego. Trzecia część Archiwum pozostaje zakopana gdzieś na terenie przyznanym po wojnie ambasadzie Chin.

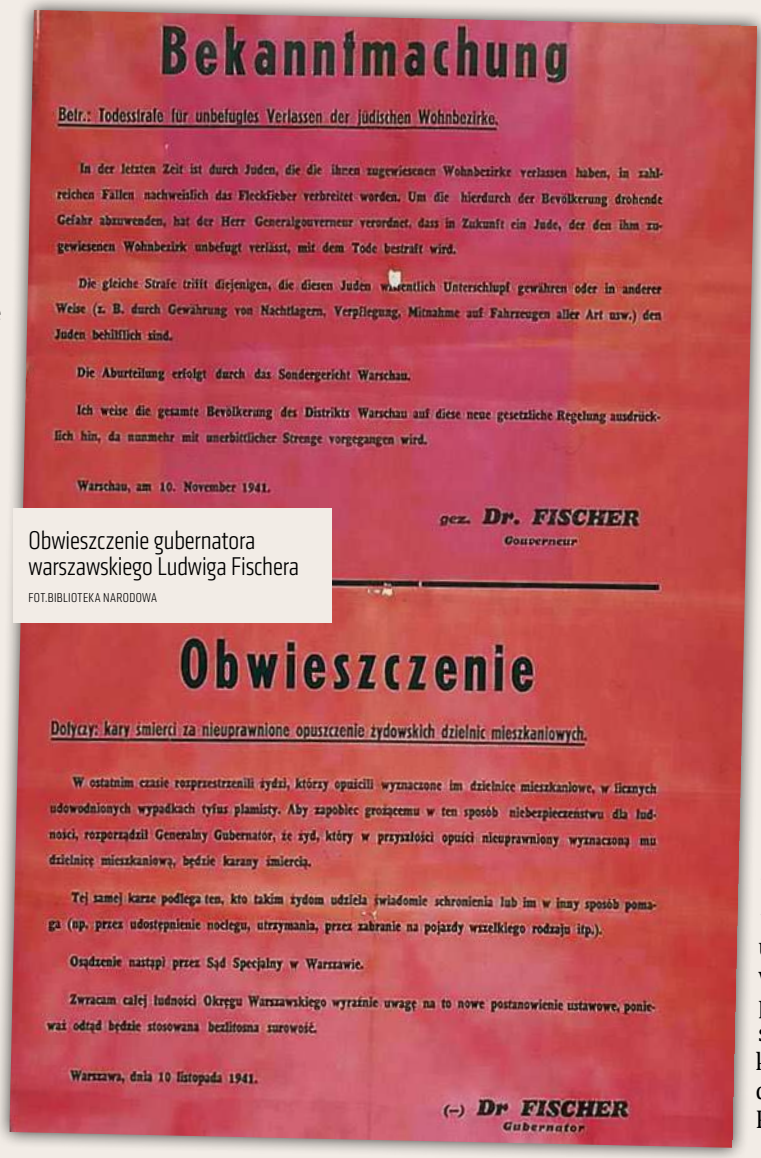
Głód i tyfus

Prezes Judenratu starał się ulżyć swym rodakom, cierpiącym głód, coraz większy ścisk i choroby – w tym śmiertelne w tych warunkach epidemie – oraz narażonym na poniżenia, a nawet gwałtowną śmierć z lada powodu. Czerniaków o tej sytuacji pisał w swym zachowanym pamiętniku:

„Przydziały chleba dla ludności żydowskiej na terenie warszawskiego getta – po 2 kg chleba na głowę miesięcznie. Opowieść o świetnym położeniu Żydów są dziełem niemieckiej propagandy i odnoszą się w istocie do nielicznej grupy Żydów zamożnych. Ogół żydowskiej biedoty głoduje, w getcie umiera z górą tysiąc ludzi tygodniowo". Według prezesa Judenratu legalnie wprowadzano miesięcznie do getta produkty za 1,8 mln zł [jeden milion osiemset tysięcy], natomiast wartość nielegalnie sprowadzanej żywności wynosiła 70–80 mln. Bez szmuglerów mieszkańcy getta wymarliby z głodu w ciągu kilku miesięcy.

Niedożywienie, brak wody i urządzeń sanitarnych osłabiały odporność na choroby. W okresie od stycznia do kwietnia 1941 r. zachorowało na tyfus od 100 do 110 tys. ludzi, z których co piąty umierał. Szef urzędu gubernatora dystryktu warszawskiego Hummel stwierdził 16 grudnia 1941 r.: „Niebezpieczeństwo tyfusu plamistego zwiększyło się, gdyż zmalała odporność ludności, szczególnie Żydów. Wyżywienie mieszkańców getta nie jest wystarczające. Dochodzi do tego brak mydła i wspólne zamieszkiwanie na małych powierzchniach. Meldowany stan tyfusu plamistego wynosi dziś 2405 przypadków. Stan faktyczny jest jednak znacznie wyższy".

Bezradny prezes Judenratu, zmuszany do coraz dalej idących ustępstw, znosił też coraz bardziej dotkliwe poniżenia. Przyświecała mu najpierw nadzieja ułożenia z Niemcami dość znośnych warunków żydowskiej egzystencji, a następnie – przynajmniej doczekania przez większość mieszkańców getta odmiany losu w wyniku rozpętanej przez Hitlera wojny z całym światem. Dlatego właśnie Czerniaków do końca przeciwstawiał się dążeniom do zbrojnego wystąpienia Żydów w getcie oraz unikał współpracy z polskim podziemiem.



Bekanntmachung

Betr.: Todesstrafe für unbefugtes Verlassen der jüdischen Wohnbezirke.

In der letzten Zeit ist durch Juden, die die ihnen zugewiesenen Wohnbezirke verlassen haben, in zahlreichen Fällen nachweislich das Fleckfieber verbreitet worden. Um die hierdurch der Bevölkerung drohende Gefahr abzuwenden, hat der Herr Generalgouverneur verordnet, dass in Zukunft ein Jude, der den ihm zugewiesenen Wohnbezirk unbefugt verlässt, mit dem Tode bestraft wird.

Die gleiche Strafe trifft diejenigen, die diesen Juden wissentlich Unterschlupf gewähren oder in anderer Weise (z. B. durch Gewährung von Nachtlagern, Verpflegung, Mitnahme auf Fahrzeugen aller Art usw.) den Juden behilflich sind.

Die Aburteilung erfolgt durch das Sondergericht Warschau.

Ich weise die gesamte Bevölkerung des Distrikts Warschau auf diese neue gesetzliche Regelung ausdrücklich hin, da nunmehr mit unerbittlicher Strenge vorgegangen wird.

Warschau, am 10. November 1941.

gez. **Dr. FISCHER**
Gouverneur

Obwieszczenie

Dotyczy: kary śmierci za nieuprawnione opuszczenie żydowskich dzielnic mieszkaniowych.

W ostatnim czasie rozprzestrzenili żydzi, którzy opuścili wyznaczone im dzielnice mieszkaniowe, w licznych udowodnionych wypadkach tyfus plamisty. Aby zapobiec grożącemu w ten sposób niebezpieczeństwu dla ludności, rozporządził Generalny Gubernator, że żyd, który w przyszłości opuści nieuprawniony wyznaczoną mu dzielnicę mieszkaniową, będzie karany śmiercią.

Tej samej karze podlega ten, kto takim żydom udziela świadomie schronienia lub im w inny sposób pomaga (np. przez udostępnienie noclegu, utrzymania, przez zabranie na pojazdy wszelkiego rodzaju itp.).

Osądzenie nastąpi przez Sąd Specjalny w Warszawie.

Zwracam całej ludności Okręgu Warszawskiego wyraźnie uwagę na to nowe postanowienie ustawowe, ponieważ odtąd będzie stosowana bezlitosna surowość.

Warszawa, dnia 10 listopada 1941.

(–) **Dr FISCHER**
Gubernator

Obwieszczenie gubernatora warszawskiego Ludwiga Fischera
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Polska pomoc

Rozporządzenie gubernatora Hansa Franka z 15 października 1941 r. było pierwszym aktem prawnym przewidującym karę śmierci dla mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa – Polaków, a także Białorusinów i Ukraińców – udzielających pomocy Żydom, którzy przebywali bez zezwolenia poza gettem: „(1) Żydzi, którzy bez upoważnienia opuszczają wyznaczoną im dzielnicę, podlegają karze śmierci. Tej samej karze podlegają osoby, które takim Żydom świadomie dają kryjówkę. (2) Podżegacze i pomocnicy

eprasa.pl 0b86cb3ec7



podlegają tej samej karze jak sprawca, czyn usiłowany karany będzie jak czyn dokonany. W lżejszych wypadkach można orzec ciężkie więzienie lub więzienie. (3) Zawyrokowanie następuje przez Sądy Specjalne".

Na rozporządzeniu Franka oparte były kolejne rozporządzenia, wydawane we wszystkich dystryktach GG, które z reguły uściślały i zaostrzały przepisy niemieckie. Przykładem – obwieszczenie gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera z 10 listopada 1941 r., które obejmowało osoby udzielające Żydom wszelkiej pomocy, nie tylko ukrywające ich: „Tej samej karze [śmierci] podlega ten, kto takim Żydom udziela świadomie schronienia lub im w inny sposób pomaga (np. przez udostępnienie noclegu, utrzymania, przez zabranie na pojazdy wszelkiego rodzaju itp.)".

Drugą serię obwieszczeń okupanci wydawali podczas operacji zagłady Żydów z Generalnego Gubernatorstwa i Okręgu Białostockiego w latach 1942–1943, czyli podczas Aktion Reinhardt. Mordowanie – także na miejscu, bez żadnego wyroku – uciekinierów z gett i transportów do obozów zagłady oraz tych, którzy udzielali im pomocy, stało się wtedy nagminne (jak w przypadku rodziny Ulmów). Aby sterroryzować ludność polską, a jednocześnie zachęcać do współpracy przy tropieniu nieszczęsnych Żydów, zaczęto stosować nagrody pieniężne i żywnościowe dla denuncjatorów. Na przykład w Warszawie w nagrodę otrzymywali 500 zł, a w zachodniej Małopolsce dodatkowo 1 kg cukru.

Referat Mniejszości Narodowych przy BIP KG ZWZ-AK już od 1940 r. zbierał informacje i przygotowywał raporty o sytuacji mniejszości żydowskiej, która w miarę upływu czasu stawała się coraz cięższa, a likwidacja gett po dwóch latach istnienia i deportacja Żydów do obozów zagłady nadała jej wymiar wszechobejmującej tragedii. Jedynym ratunkiem dla obywateli polskich pochodzenia żydowskiego okazywały się wtedy ucieczka i ukrycie się po aryjskiej stronie. Zdaniem Roberta Szuchty ucieczki „miały masowy charakter".

We wrześniu 1942 r. powstał Społeczny Komitet Pomocy Ludności Żydowskiej im. Konrada Żegoty. Inicjatorką jego utworzenia była wzięta, znakomita pisarka Zofia Kossak-Szczucka, przed wojną działająca w Akcji Katolickiej. Do Żydów miała wtedy stosunek krytyczny, ale podczas hitlerowskiej okupacji stała się główną orędowniczką niesienia im pomocy. Dawała temu wyraz w podziemnej prasie oraz w działaniach katolickiego konspiracyjnego Frontu Odrodzenia Polski. W ulotce zatytułowanej „Protest" pisała:

„Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. [...] Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej wyczulone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. [...] Ginący żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów… Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiekolwiek są jego pobudki – jest ono nikczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu – staje się wspólnikiem mordercy. Kto nie potępia – ten przyzwala".

W grudniu 1942 r. Komitet zaczął działać jako komórka Podziemnego Państwa Polskiego pod nazwą Rada Pomocy Żydom „Żegota". W jej składzie referat mieszkaniowy znajdował lokale dla uciekinierów z getta, a referat legalizacyjny przygotowywał dla nich „aryjskie" dokumenty. Zadaniem referatu dziecięcego było wyprowadzanie dzieci żydowskich z gett i umieszczanie ich w sierocińcach, przytułkach klasztornych lub w rodzinach Polaków gotowych je przygarnąć. Produkcja pism i ulotek nakłaniających do niesienia pomocy żydowskim współobywatelom była zadaniem referatu propagandowego. Referat lekarski dostarczał lekarstwa i szczepionki do gett oraz utrzymywał sieć lekarzy gotowych nielegalnie leczyć Żydów. Wreszcie referat terenowy organizował pomoc poza Warszawą. Ośrodki Rady Pomocy Żydom istniały jeszcze – poza Warszawą – w Krakowie i we Lwowie.

Pomoc finansowano głównie ze środków otrzymywanych od Rządu RP na Uchodźstwie, za pośrednictwem Delegatury w Kraju. W cytowanej książce „Polacy ratujący Żydów..." czytamy: „Sumy asygnowane na ratowanie Żydów – procentowo i kwotowo – nie odbiegały od kwot przeznaczanych na pomoc dla ludności polskiej – nie-Żydów, a były znaczniejsze niż dla polskich partii podziemnych. Łącznie w latach 1943–1944 wsparcie dla RPŻ wynosiło około miliona złotych miesięcznie (czyli 860 tys. franków szwajcarskich). Trzeba także zaznaczyć, że pieniądze rządu RP skierowane na pomoc Żydom nie obejmowały jedynie RPŻ. Jak relacjonował pod koniec grudnia 1943 r. poseł RP z Berna Aleksander Ładoś, aż 90% środków budżetowych tamtejszego przedstawicielstwa polskiego było przeznaczonych dla uciekinierów przybyłych do Szwajcarii. W tej kategorii obywateli polskich 90% stanowili Żydzi, utrzymywani z budżetu centralnego Ministerstwa Pracy i Spraw Socjalnych".

Wielki mord

Kres nadziejom Adama Czerniakowa położy dzień 22 lipca 1942 r., gdy Niemcy przystąpią do deportacji Żydów na śmierć w Treblince. Odmówi wtedy podpisania przygotowanego przez Niemców obwieszczenia, a następnego dnia w swoim gabinecie w siedzibie Gminy Żydowskiej przy ul. Grzybowskiej 26/28 zażyje cyjanek potasu, popełniając samobójstwo. W pożegnalnym liście do żony napisze: „Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć".

22 lipca Niemcy kazali zgłosić się wszystkim chętnym do wyjazdu do pracy na Wschodzie na tzw. Umschlag-

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Ofiary głodu, zimna i chorób
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

platzu. Przynętą były 3 kg chleba na głowę i marmolada. Stąd ruszały pociągi do obozów zagłady w Treblince, Sobiborze i Bełżcu. Dzienne transporty liczyły po kilka tysięcy ludzi (w pierwszym pojechało 6250 osób). 5 sierpnia 1942 r. w transportach wywożono tzw. nieużytecznych, np. dzieci z sierocińców. Na Umschlagplatz zapędzono dzieci z Domu Sierot. Szły z chorągwią swego Domu prowadzone przez dwoje heroicznych, do końca wiernych opiekunów – dr. Janusza Korczaka i Stefanię Wilczyńską.

W getcie zaczęły się łapanki, blokady i starania o „numerki życia". Dochodziło do straszliwych scen, gdy matki gubiły w ścisku swe dzieci, próbujących uciekać okładali pałkami policjanci żydowscy albo zastrzeliwali na miejscu esesmani. W kolejnych transportach wywożono na śmierć przez zagazowanie 7200, 7400, 7350, 6400, 6320, 5020, 5480, 6430, 6756 osób… 1 września 1942 r. – jako ostatnich – wywieziono 2196 „zredukowanych" policjantów żydowskich.

Jüdischer Ordnungsdienst, czyli Żydowska Służba Porządkowa (SP) w getcie warszawskim, liczyła od 2 do 2,5 tys. funkcjonariuszy (w Łódzkiem – dwa razy mniej). W sprawach porządkowych podlegała częściowo Judenratowi i wraz nim Niemcom. Mundurów nie fasowali, a wyróżnikiem były czapki i pałki. Judenrat dobierał ich na ogół z tzw. przyzwoitych rodzin, często drogą protekcji. Kandydatów nęciły względne bezpieczeństwo i dodatkowy przydział chleba. Dowództwo sprawował przedwojenny funkcjonariusz Policji Polskiej – Józef Szeryński (Szenkman), przechrzta nienawidzący podobno Żydów. Przejściowo (gdy Szeryńskiego aresztowano za przerzut futra żony na aryjską stronę) zastępował go Jakub Lejkin, niewielkiego wzrostu, uważany za sadystę.

Członkowie SP pilnowali porządku w getcie, uczestniczyli w niemieckich patrolach i wartach przy wejściach do dzielnicy żydowskiej, co stało się przyczyną ich skorumpowania i bezwzględności. Używano ich do eskortowania dostaw i ochrony magazynów żywności, konfiskowania jej u mieszkańców, kontroli piekarzy. Niekiedy brali udział w oszustwach przy obrocie deficytową żywnością lub w wymuszaniu usług seksualnych za chleb. Powszechną nienawiść wzbudzili bezlitosnym zaganianiem na Umschlagplatz nieszczęsnych rodaków, przeznaczonych latem 1942 r. na śmierć w obozach zagłady. Choć za udział w tej zbrodniczej akcji Niemcy obiecali im i ich rodzinom życie, to wszystkich na koniec rozstrzelali…

Według źródeł niemieckich w ciągu 46 dni wywieziono do Treblinki 253 742 Żydów. Po „Wielkiej Akcji", trwającej od lipca do października 1942 r., na zmniejszonym obszarze getta pozostało oficjalnie 35 533 Żydów. Zachowało jednak wtedy życie dalsze 50 tys., z których ok. 30 tys. kryło się w getcie, a ok. 20 tys. znalazło mniej lub bardziej ryzykowny azyl w Warszawie. Ci, którzy wedle Niemców mieli prawo żyć, pracowali w tzw. szopach. Były to niemieckie przedsiębiorstwa – warsztaty na obszarze obejmującym do kilkunastu budynków, w których pracowali i mieszkali zatrudnieni Żydzi. Pracowali za darmo lub za niskie płace. Zatrudniające do kilku tysięcy pracowników szopy szyły zwykle mundury i wytwarzały elementy wyposażenia dla niemieckiej armii.

Tak było do wiosny 1943 r. (o powstaniu w getcie warszawskim, gdy zbrojny opór Niemcom stawiły Żydowski Związek Wojskowy i Żydowska Organizacja Bojowa, czytaj na str. 14-19).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 0b86cb3ec7

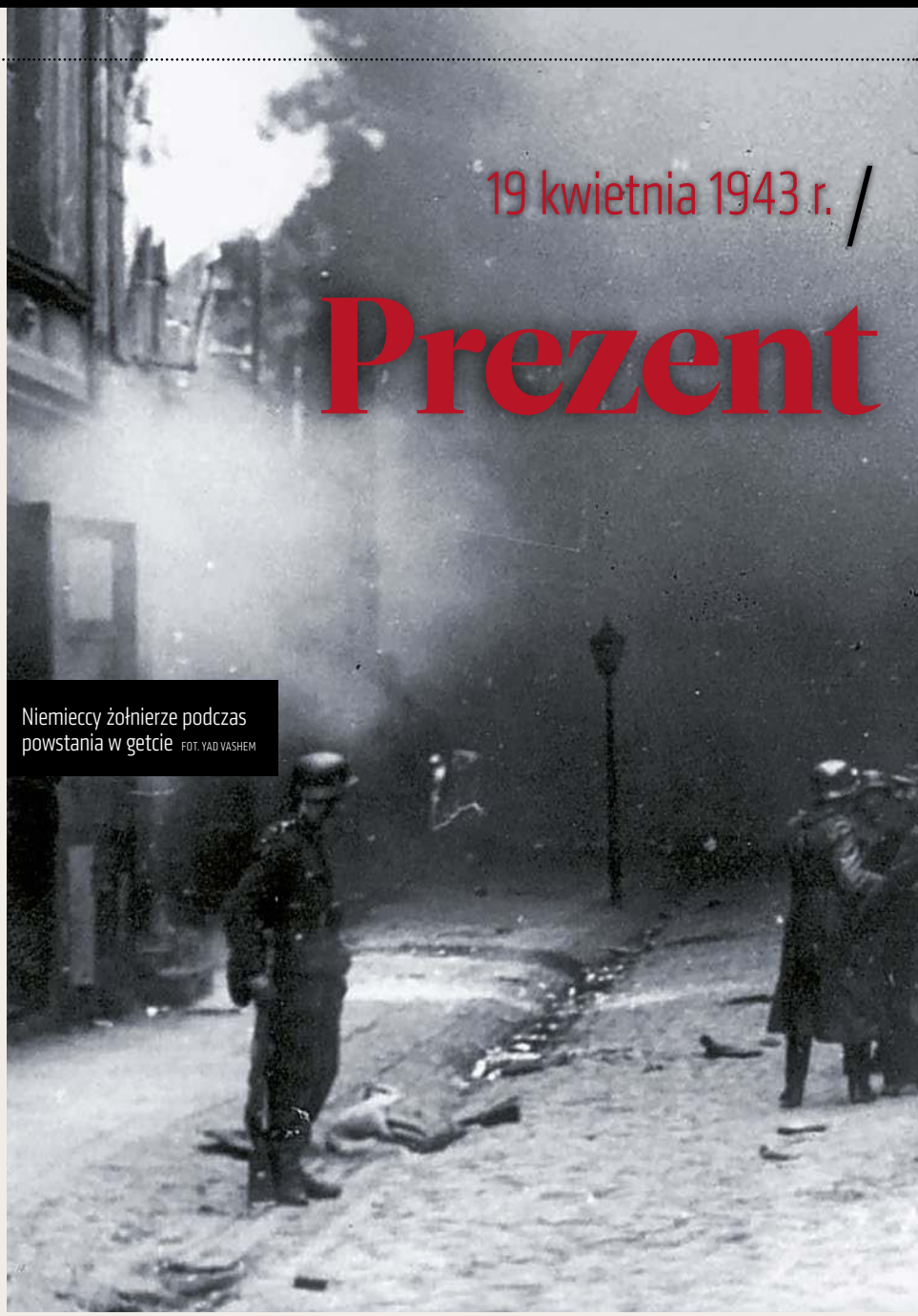


Maciej Rosalak

19 kwietnia 1943 r. /

Prezent

Osiemdziesiąt lat temu – w wigilię zarówno 54. urodzin Hitlera, jak i żydowskiego święta Pesach, a także w drugi dzień chrześcijańskiej Wielkanocy – uzbrojeni po zęby Niemcy wkroczyli rankiem do warszawskiego getta



Niemieccy żołnierze podczas powstania w getcie FOT. YAD VASHEM

Ich celem było wyrżnięcie nielicznych i słabo uzbrojonych obrońców, zamordowanie wszystkich mieszkańców, na miejscu lub w obozach zagłady, a wreszcie spalenie tej części znienawidzonej przez okupantów Warszawy... Miał to być piękny urodzinowy prezent dla Adolfa Hitlera... Ale z prezentu tego dnia ani w ciągu kilkunastu następnych niewiele wyszło. Okupantów beztrosko idących jak po swoje powitano ogniem karabinów i pistoletów, wybuchami granatów oraz ładunków bombowych. Musieli się w popłochu wycofać. Dowódca SS i niemieckiej policji w Warszawie SS-Oberführer Ferdinand von Sammern-Frankenegg został odwołany.

Wrogowie wrócili wkrótce pod bardziej zdecydowanym dowódcą – likwidacją warszawskiego getta dowodził odtąd SS-Brigadeführer Jürgen Stroop – i zaczęli zabijać jak na wojnie. Ale Żydzi walczyli na śmierć – nie na życie – i nie zamierzali oddać swojej skóry za bezcen. Regularną bitwę pod sztandarami biało-czerwonym i z gwiazdą Syjonu stoczył z nimi Żydowski Związek Wojskowy, a niemniej zdeterminowani powstańcy drugiej formacji – Żydowskiej Organizacji Bojowej – słabiej uzbrojeni i wyszkoleni, atakowali raczej z zaskoczenia i starali się szybko oderwać od nieprzyjaciela.

Na zbrojne wystąpienie polskiego podziemia wiosną 1943 r. Żydzi nie mogli liczyć. Plany i przygotowania Armii Krajowej w ogóle nie przewidywały powstania w Warszawie. Nie miałoby zresztą żadnych szans powodzenia. Losy wojny nie były przesądzone. Działo się to jeszcze przed bitwą na łuku kurskim i przed lądowaniem aliantów nawet na Sycylii. Co więcej, akurat 13 kwietnia 1943 r. Niemcy podali do publicznej wiadomości fakt odkrycia dokonanego w 1940 r. przez Sowietów mordu polskich oficerów w Katyniu. Moskwa oczywiście bezczelnie zaprzeczyła. Rząd polski zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o wyjaśnienie sprawy, co Sowieci wykorzystali jako pretekst do zerwania 25 kwietnia stosunków dyplomatycznych z naszym rządem, przy obłudnym milczeniu władz brytyjskich i amerykańskich.

Żołnierze i bojowcy

Wedle opublikowanego w Nowym Jorku w latach 60. świadectwa przedwojennego działacza syjonistycznego Dawida Wdowińskiego, jednego z nielicz-

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Warschauer Ghetto we krwi i w płomieniach

dla Führera

nych uczestników prawicowej konspiracji w getcie, który przeżył, genezę Żydowskiego Związku Wojskowego należy widzieć w porozumieniu działaczy prawicowych żydowskich organizacji politycznych tuż po klęsce wrześniowej 1939 r. ŻZW oparto na młodzieżowej organizacji syjonistów rewizjonistów Betar z udziałem oficerów i podoficerów Wojska Polskiego. Członków Betaru szkolili przed wojną polscy instruktorzy wojskowi z wykorzystaniem poligonów WP. Komendantem wojskowym został 20-letni Paweł Frenkel, a jego zastępcą Leon Rodal.

W kwietniu 1942 r. ŻZW liczył ok. 500 wyszkolonych żołnierzy, z których większość znalazła się w getcie warszawskim. Od połowy września 1942 r. do kwietnia 1943 r. – a więc od akcji likwidacyjnej do niemieckiego ataku na getto – kompanie ŻZW były skoszarowane na jego terenie. Dowództwo mieściło się w domu przy ul. Muranowskiej 7–9, skąd prowadził tunel pod murem getta, wychodzący w domu przy Muranowskiej 6 po aryjskiej stronie.

Emanuel Ringelblum pisał o tej kwaterze: „Obejrzałem arsenał ŻZW. Lokal mieścił się w niezamieszkanym domu, tzw. dzikim domu przy ul. Muranowskiej 7, w 6-cio pokojowym lokalu na pierwszym piętrze. W pokoju kierownictwa było zainstalowane pierwszorzędne radio. Członkowie kierownictwa ŻZW byli uzbrojeni w rewolwery zatknięte za pasem. W dużych salach na wieszakach znajdowała się broń różnego rodzaju, a więc ręczne karabiny maszynowe, karabiny, najrozmaitszego rodzaju

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Dowódca oddziałów tłumiących powstanie, Jürgen Stroop (w środku) FOT. YAD VASHEM

rewolwery, ręczne granaty, torby z amunicją, mundury niemieckie itp. W pokoju kierownictwa był wielki ruch, jak w prawdziwym sztabie armii; odbierano tu rozkazy dla skoszarowanych punktów, w których gromadzono i szkolono przyszłych bojowców. Przynoszono raporty o ekspropriacjach, dokonanych przez poszczególne grupy u zamożnych osób na rzecz uzbrojenia ŻZW. W mojej obecności zakupiono tam u byłego oficera armii polskiej broń za ćwierć miliona złotych, na co dano zaliczkę 50 tys. zł; zakupiono dwa karabiny maszynowe po 40 000 zł; większą ilość granatów ręcznych i bomb".

Arsenału ŻZW nie sposób już dziś precyzyjnie opisać. Na pewno żołnierze żydowscy dysponowali przynajmniej dwoma–trzema ckm-ami, kilkunastoma rkm-ami i stosunkowo licznymi karabinami, pistoletami i granatami. Broń otrzymywali od Armii Krajowej, przeważnie za pośrednictwem podległej jej wówczas Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN), i kupowali. Pieniądze wymuszali od bogatych Żydów organizujących szmugiel do getta.

Żydowska Organizacja Bojowa powstała dopiero latem 1942 r., po akcji likwidacji getta. Utworzono ją z istniejących już wcześniej organizacji bojowych komunistów i lewicowych syjonistów pod dowództwem Mordechaja Anielewicza (ugrupowanie Haszomer Hacair). Dołączył też do niej socjalistyczny Bund, ale zachowując własną strukturę. Liczbę bojowców niektórzy szacują na 500, ale Marek Edelman ocenił, że do powstania przystąpiło nieco więcej niż 200. W porównaniu z ŻZW była słabo uzbrojona, głównie w pistolety, granaty, butelki zapalające i materiały wybuchowe. Przed powstaniem broń otrzymała od AK, ale również od GL, z którą wielu bojowców sympatyzowało.

Ich kwaterę też odwiedził Ringelblum: „Był to dwupokojowy lokal z kuchnią przy ul. Świętojerskiej nr 32, o trzy piętra niżej znajdowała się »wacha« niemieckiego Werkschutzu. W lokalu przebywało dniem i nocą 10 ludzi, zdecydowanych na wszystko. Broń była na miejscu. Bojowcom nie wolno było opuszczać lokalu, pożywienie otrzymywali na miejscu. Wejście do lokalu prowadziło przez strychy sąsiednich domów, do drzwi pukano w umówiony sposób. Trzy bojowczynie obecne w mieszkaniu przygotowywały posiłki i wykonywały rozmaite niebezpieczne misje i zlecenia OB (Organizacji Bojowej). Dyscyplina i porządek były wzorowe. Grupa ta podlegająca wpływom Poalej Syjon Lewicy miała w swym bilansie szereg udanych akcji ekspropriacyjnych (tzw. eksów) na rzecz uzbrojenia getta itd.".

Podstawę uzbrojenia bojowców stanowiło 50 pistoletów przekazanych przez AK. Zasoby broni krótkiej uzupełniano zakupami za pieniądze wymuszane od bogatych Żydów. W prowadzeniu regularnego ognia w walce pozycyjnej okazywały się nieskuteczne, a długiej broni – czyli karabinów, o broni maszynowej nie wspominając – było jak na lekarstwo.

Dwie flagi

Po wielkiej akcji likwidacyjnej z poprzedniego lata, w styczniu 1943 r., na terenie getta przebywało zapewne ok. 50 tys. ludzi. Natychmiastowa kontrakcja ŻZW i ŻOB, których bojowcy znienacka strzelali do Niemców i obrzucali ich granatami, zapobiegła wywiezieniu tych niedobitków w styczniu. Straty Żydów były dotkliwe, ale zabicie i poranienie kilku znienawidzonych wrogów dodało bojowcom animuszu. Niemcy wycofali się, ale oczywiście z dokończenia zagłady nie zrezygnowali.

O planowanym na 19 kwietnia wkroczeniu Niemców do getta ŻZW dowiedział się od AK niespełna dwa tygodnie wcześniej. Frenkel i Aniele-

eprasa.pl 0b86cb3ec7

wicz uzgodnili podział odcinków, które miała bronić każda z organizacji, ale do powołania wspólnego dowództwa nie doszło. Zasadne wydaje się podejrzenie, że poza wrogością ideologiczną zaważył fakt ogłoszenia właśnie wtedy przez Niemców odkrycia ciał zamordowanych w Katyniu, z których co siódmy był oficerem WP pochodzenia żydowskiego. ŻOB winy Sowietów nie uznał.

Różnica w organizacji i uzbrojeniu ŻZW i ŻOB zaznaczyła się w przyjętej taktyce walki podczas powstania. O ile pierwsza z organizacji, podzielona na 20-osobowe mniej więcej kompanie, broniła zajmowanych pozycji jak regularne wojsko, o tyle druga, kryjąca się w przygotowanych zawczasu bunkrach, strzelała zwykle i rzucała granatami podczas dokonywania desperackich wypadów. Obydwie nie zakładały nie tylko zwycięstwa, lecz także przeżycia walki orężnej. Była to walka o godną śmierć. Tylko niedobitki obu przedostały się za mur.

ŻOB obsadziła domy przy ul. Zamenhoffa, Miłej, Gęsiej i Nalewkach. ŻZW – plac Muranowski, ulicę Muranowską i Nalewki od domu pod nr. 38, wzmacniając także pozycje zajęte przez słabo uzbrojone oddziały ŻOB. Dowództwo obrony Muranowskiej objął sam Frenkel. Kompania dowodzona przez Heńka Federbusza obsadziła dom przy Zamenhoffa, a kompania z Janem Piką zajęła stanowiska wokół ulicy Miłej. Kompania Leizara Staniewicza kontrolowała Nalewki, Gęsią i Franciszkańską, a Dawida Berlińskiego – część Nalewek. Kolejne kompanie broniły Franciszkańskiej i części Muranowskiej.

Niemcy użyli przeciw nim ponad 2 tys. ludzi wspieranych przez wozy pancerne. W składzie mieli żołnierzy z Waffen-SS, oddziałów Ordnungspolizei, warszawskich struktur SD i Gestapo, baterię lekkiej artylerii przeciwlotniczej i saperów Wehrmachtu, a także batalionu askarisów – litewskich i łotewskich policjantów, oraz części szkoleniowego batalionu ukraińskich strażników z obozów koncentracyjnych. Ponad 300 polskich policjantów granatowych strzegło muru getta z zewnątrz. Kilka prób dokonania wyłomu w murze przez grupy AK-owców i GL-owców zakończyło się fiaskiem – również z powodu licznych gapiów. Padło kilku żołnierzy polskiego podziemia, ale zabici i ranni byli też po przeciwnej stronie.

Po wkroczeniu do getta wczesnym rankiem 19 kwietnia Niemcy zostali zatrzymani ogniem ŻOB na Nalewkach róg Gęsiej oraz na ulicy Zamenhofa przy Miłej. Kolejny ich atak poszedł na Muranowską i był początkiem regularnej trzydniowej bitwy. W nadspodziewanie gęstym ogniu żołnierzy ŻZW Niemcy ponosili straty i nie mogli posunąć się naprzód. Kiedy sądzili, że złamali żydowski opór, następnego dnia znów witały ich strzały z okien i dachów. Tak było 20, 21 i 22 kwietnia. Jedynie tę właśnie kilkudniową bitwę (z ŻZW) zapamiętał Jürgen Stroop, podczas przesłuchania w polskim więzieniu, gdy pytania zadawał mu m.in. Marek Edelman. Znamienne, że strzelaniny na Nalewkach i na Miłej (ŻOB), a także przy szopie szczotkarzy niedaleko Nowego Miasta, gdzie dowodzili Edelman z ŻOB i Chaim Łopata z ŻŻW, SS-Brigadeführer nie mógł sobie przypomnieć.

Do zażartych bojów doszło przy Muranowskiej 27 kwietnia, kiedy z pomocą przedostali się tunelem pod Muranowską Polacy. Według płk. Kazimierza Iranka Osmeckiego z Komendy Głównej AK ich oddział stracił 10 żołnierzy. Powstańcy spalili niemiecki wóz pancerny, rozbili kompanię Łotyszy i zatrzymali Niemców przed domem Muranowska 7. Przekopem pod ulicą do domu Muranowska 6 przetransportowano ok. 30 rannych. W tym największym bodaj starciu powstania polegli lub zmarli z odniesionych ran dowódcy prawie wszystkich oddziałów ŻZW – Rodal, Białoskóra, Berman, Akerman, Likiernik i inni.

Ringelblum (i nie tylko on) widział flagi – biało-czerwoną i biało-niebieską (wedle Mosze Arensa była to flaga syjonistyczna – taka jak państwa Izrael po wojnie) – wywieszone przez żołnierzy ŻZW na placu Muranowskim: „Z czwartego piętra Nalewek nr 32 byłem naocznym świadkiem takiej walki na ul. Muranowskiej w poniedziałek 19 kwietnia, w godzinach popołudniowych. Trofea w postaci tych sztandarów Niemcy pokazywali z dumą w Komendzie Służby Porządkowej i szczycili się ich zdobyciem. Bojowcy ostrzeliwali przechodzące oddziały SS i Ukraińców (np. z domu przy ul. Leszno nr 76, gdzie mieścił się szop K.G. Schultza). Strzelano do Niemców i hajdamaków z rewolwerów i karabinów maszynowych, obrzucano wroga granatami ręcznymi i bombami".

Fakt wywieszenia przez powstańców flag polskiej i żydowskiej podkreślał w raporcie dowódca sił niemieckich Stroop: „Sprawa chorągwi miała doniosłe znaczenie polityczne i moralne. Integrowała ludność Generalnej Guberni – szczególnie Polaków i Żydów. Flagi narodowe są takim samym instrumentem jak



Ujęci przez Niemców żydowscy bojownicy FOT. YAD VASHEM

eprasa.pl 0b86cb3ec7

szybkostrzelne działo, jak tysiące takich dział. Rozumieliśmy to wszyscy. Reichsführer Heinrich Himmler krzyczał do telefonu: – Słuchaj Stroop, musisz za wszelką cenę zdjąć obie flagi!".

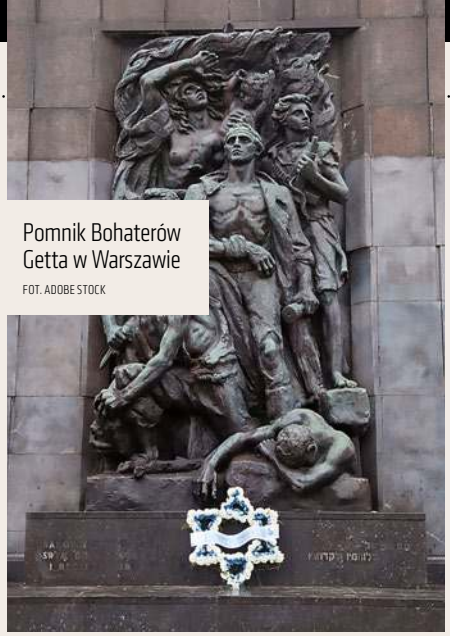
W kolejnych dniach Niemcy krwawo rozprawiali się z ostatnimi obrońcami. Bohaterscy straceńcy często walczyli ramię w ramię, jak wspomniany oddział ŻOB pod dowództwem Edelmana, broniący szczotkarni wraz z grupą ŻZW Łopaty. Hitlerowcy likwidowali bunkry. Anielewicz zginął 8 maja 1943 r. wraz z resztą dowództwa ŻOB w bunkrze przy ul. Miłej 18. Wraz z nim samobójstwo popełniło jeszcze 80 powstańców, w tym z dowództwa ŻOB. Frenkel i grupka obrońców reduty przy ul. Grzybowskiej 11/13 odebrali sobie życie po długiej walce przeszło miesiąc później (patrz dalej: Masada w getcie).

Niemcy na miejscu zamordowali kilka tysięcy mieszkańców, wielu paląc żywcem w domach. Pozostałych wywieźli na śmierć do Treblinki. Cały teren dzielnicy żydowskiej metodycznie spalono i zrównano z ziemią, a 16 maja 1943 r. wysadzono w powietrze Wielką Synagogę jako znak stłumienia powstania. Ale strzały ostatecznie umilkły dopiero w czerwcu 1943 r.

Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski wyraził szacunek dla heroicznej walki żydowskich organizacji wojskowych w getcie warszawskim. Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari V klasy odznaczył pośmiertnie Michała Klepfisza. Ów bojowiec ŻOB – student Politechniki Warszawskiej, gdzie uzyskał absolutorium, ale w zdobyciu tytułu inżyniera przeszkodziła mu wojna – kierował produkcją materiałów wybuchowych. Za jego pośrednictwem AK przekazywała broń dla ŻOB. Zginął drugiego dnia powstania, gdy na terenie szopu szczotkarzy własnym ciałem uchronił towarzyszy przed śmiercią, zasłaniając niemiecki karabin maszynowy…

Wyklęci żołnierze getta

To, co przez lata PRL i pierwszą dekadę III RP pisano u nas o powstaniu w getcie, było niepełne i nieobiektywne.



Pomnik Bohaterów Getta w Warszawie

FOT. ADOBE STOCK

Na Zachodzie było jeszcze gorzej. Trafnie ujął tę kwestię Dawid Wildstein:

„[…] na skutek żelaznej kurtyny przez lata Warszawa i Polska kojarzyły się tylko z jednym z powstań, tym w getcie. Żydzi, tak z Izraela, jak i z Zachodu, czcili pamięć zrywu z 1943 r. […]. Dodatkowo przez lata manipulowano historią samego powstania z 1943. Wpierw jeden z jego najważniejszych bohaterów, Marek Edelman, konsekwentnie nie wspominał o udziale prawicowych i nastawionych patriotycznie wobec państwa polskiego organizacji żydowskich, na pierwszy plan wysuwając te o zabarwieniu komunistycznym bądź socjalistycznym. Następnie w latach 90. narracja ta była podtrzymywana przez nastawiony antyprawicowo polski establishment polityczno-intelektualny […]". Sytuacja się zmieniła, gdy „grupa izraelskich badaczy podjęła szeroko zakrojone badania i rozpoczęła pracę nad przywróceniem pamięci o nielewicowych organizacjach biorących udział w powstaniu w getcie. Wyniki tych badań dotarły także do Polski, zmieniły spojrzenie na powstanie z 1943 r., co z kolei zainicjowało powstanie filmów bądź reportaży o zapomnianych bohaterach (np. film dokumentalny »Betar« Roberta Kaczmarka i Piotra Gontarczyka). W Warszawie upamiętniono ŻZW, m.in. odsłonięto tablicę poświęconą Pawłowi Frenkelowi, dowódcy ŻZW…" („Nowe Państwo" nr 4 (86)/2013).

Mosze Arens (1925–2019), znany i ceniony w świecie prawicowy polityk izraelski, cieszył się zasłużonym szacunkiem i autorytetem wielu swych rodaków. Gdy w końcu poświęcił się badaniom historycznym i napisał książkę „Flagi nad gettem. Rzecz o Powstaniu w Getcie Warszawskim", wydaną w Polsce w roku 2011, głównie ona właśnie „zmieniła spojrzenie na powstanie z 1943 r.". Oto zaczerpnięty od niego przykład stosunku lewicowego podziemia żydowskiego wobec polskich ugrupowań niepodległościowych. Mosze Arens relacjonuje mianowicie przebieg rokowań przedstawiciela ŻOB Arie Wilnera „Jurka" z przedstawicielami AK o dostawach broni potrzebnej komunizującym bojowcom:

„Podczas pierwszego spotkania z Polakami […] wytłumaczono mu, że warunkiem, aby AK pomogła podziemiu w getcie, jest to, aby reprezentowało ono wszystkie partie i ruchy żydowskie tam działające. Po umowie z Bundem w listopadzie [1942 r.] i po utworzeniu komitetu koordynującego działalność ŻOB Wilner był w stanie zaraportować AK, że wszystkie partie są reprezentowane w ŻOB. Włączył w to nawet [fałszywie] Rewizjonistów, bo zdawał sobie sprawę, że związki Rewizjonistów z przedwojennym rządem polskim i z Wojskiem Polskim były znane AK. Rozsądnie pominął udział komunistów w ŻOB, bowiem AK była wroga komunistom oraz podejrzewała, że organizacje socjalistyczno-syjonistyczne są bliskie komunistom. Ale teraz AK postawiła ŻOB przed następującym dylematem: Polacy powiedzieli Wilnerowi, że warunkiem poparcia z ich strony jest deklaracja, iż w razie wojny między Polską a Związkiem Sowieckim ŻOB będzie gotowa walczyć za Polskę przeciw Armii Czerwonej. To żądanie dotyczące przyszłej hipotetycznej sytuacji, która w tym czasie była trudna do wyobrażenia, mimo wszystko, spowodowało spore zamieszanie wśród niektórych organizacji członkowskich ŻOB, które pozostawały wierne swym przedwojennym ideologiom. Zamiast machnąć ręką na tę sprawę i powiedzieć AK to, co Polacy chcieli usłyszeć, podjęto długą debatę. Haszomer Hacair i Poalej Syjon Lewica uznały, że taka deklaracja byłaby zdradą ich »najbardziej świętych ideałów«. Przedstawiciel Bundu nie wyraził zdania na ten temat. Odprawa ŻOB, zwołana w celu przedyskutowania polskiego żądania, nie doprowadziła do rozwiązania sprawy.

Spotkano się więc następnego dnia. [Hersz] Berliński wymyślił, jak z tego

eprasa.pl 0b86cb3ec7

wszystkiego się wykaraskać. Zasugerował on, że nie ŻOB, a Żydowski Komitet Narodowy [tworzony przez lewicę…] powinien wysłać do rządu polskiego następującą deklarację: »Jako obywatele Polski jesteśmy zobowiązani do przestrzegania deklaracji rządu RP«. I wtedy Berliński w imieniu Poalej Syjon Lewicy pokazał, że ma czyste sumienie, przemawiając do zebranych:

»Drodzy towarzysze! W razie konfliktu między Polską a Związkiem Sowieckim zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby podminować polski potencjał do walki. Nasze miejsce jest w szeregach Armii Czerwonej i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc jej zwyciężyć. Październik 1917 roku nauczył nas, że wielu z naszych przyjaciół dzisiaj będzie naszymi krwawymi wrogami w decydującym momencie bitwy o władzę nad robotnikami. Zjednoczyliśmy się, aby walczyć przeciwko niemieckiemu okupantowi, przeciwko likwidacji mas żydowskich w getcie warszawskim. Nie można wykluczyć, że oręż, który dostaniemy wspólnym wysiłkiem [od AK], zostanie zwrócony przeciwko tym drugim [polskim niepodległościowcom] w okresie brzemiennej w skutki decyzji o przyszłości świata, o ile polityczne interesy klasy robotniczej i jej wiodącej siły będą tego od nas wymagały«. Reprezentanci Haszomer Hacair pokiwali głowami na zgodę, a przedstawiciel Bundu nie powiedział nic. Po otrzymaniu deklaracji od ŻKN AK nie stawiała już żądań natury politycznej”.

Dwa lata przed wydaniem polskim książka ukazała się na Zachodzie. Rozmowę z Mosze Arensem przeprowadził wtedy Piotr Zychowicz (publikujemy ją tu w kolejnym materiale). Książkę Arensa, który bynajmniej nie krył swego bejtarowskiego rodowodu, wykorzystywano oczywiście do bieżącej gry politycznej w Izraelu. W najmniejszym stopniu nie umniejsza to wartości poznawczej jego badań. Po prostu pisał prawdę. Dzieje Żydowskiego Związku Wojskowego, a następnie ich przemilczanie bądź przeinaczanie, bardzo przypominają historię naszych Żołnierzy Wyklętych, którzy na odkrywanie ich prawdziwej historii musieli czekać aż do XXI w. Żołnierze ŻZW byli właśnie takimi Wyklętymi Żołnierzami Getta.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Masada w getcie



Maciej Rosalak

Masada była twierdzą zbudowaną przez Heroda Wielkiego na 400-metrowym klifie wznoszącym się nad Morzem Martwym. Miała dostęp do wody oraz spore zapasy zboża i oliwy, a wiodły do niej dwie strome drogi, co czyniło fortyfikację łatwą do obrony. Dziś składają tu przysięgę wierności nowi oficerowie armii izraelskiej, uczy się o niej dzieci w szkołach, a liczni Żydzi przychodzą do niej jak do świętego miejsca historii Izraela. Tu bowiem pod wodzą Eleazara bronili się w 73 r. n.e. – po siedmiu latach walk – ostatni z uczestników powstania przeciw dominacji Rzymu. Jerozolima padła trzy lata wcześniej. Dowodzeni przez Tytusa Rzymianie wdarli się wtedy do świątyni, ograbili ją i spalili. W gruzach miasta zginęło zapewne kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców (według Tacyta – 600 tys.). Tytus powrócił do Rzymu i odbył triumf, podczas którego ukazano dowody zwycięstwa: tłumy niewolników i skarby świątynne.

W Masadzie, kiedy dalsza obrona stała się niemożliwa, obrońcy popełnili zbiorowe samobójstwo, uśmiercając najpierw swe rodziny. Woleli śmierć niż niewolę. Wedle Józefa Flawiusza młody wódz Eleazar przekonywał podkomendnych do zadania śmiertelnych ciosów swym żonom, dzieciom i sobie słowami: „Bóg dał nam tę łaskę, żebyśmy mogli umrzeć piękną śmiercią i jako ludzie wolni, co nie było dane innym, którzy musieli ulec wbrew swej nadziei. Lecz my wiemy z całą pewnością, że twierdza padnie, skoro dzień zaświta, ale możemy swobodnie wybrać szlachetną śmierć dla siebie i naszych najbliższych”.

Dokładnie 1870 lat później inny młody Żyd – Mordechaj Anielewicz, dowodzący Żydowską Organizacją Bojową podczas powstania w getcie warszawskim – z uniesieniem pisał 23 kwietnia 1943 r. do Icchaka Cukiermana, utrzymującego poza walczącym gettem kontakty z AK: „Tylko nieliczni wytrwają. Reszta zostanie zgładzona prędzej czy później. Los jest przypieczętowany. Najważniejsze: Marzenie mojego życia spełniło się. Dożyłem i ujrzałem samoobronę żydowską w getcie warszawskim w całej jej wspaniałości i wielkości”. Dożyłem, ujrzałem i mogłem umrzeć... O tym, że on i jego towarzysze z Haszomer Hacair jakby żyli dla godnej śmierci z bronią w ręku, nie myśląc, co będzie dalej, wspominał m.in. Marek Edelman. Z ok. stu towarzyszących Anielewiczowi bojowników, osaczonych i trutych gazem przez wroga w bunkrze przy ul. Miłej 18, większość odebrała sobie życie wraz z nim. Innym udało się uciec. Cywile poddali się Niemcom.

Samobójstwem – o czym nikt u nas długie lata nie wspominał – zakończył zapewne młode życie także dowódca Żydowskiego Związku Wojskowego Paweł Frenkel. Otoczony wraz z grupą podkomendnych przy ul. Grzybowskiej 11/13, po kilkugodzinnej walce i wyczerpaniu amunicji, wysadził 11 czerwca piwniczny bunkier w powietrze. Cóż… I podczas kampanii wrześniowej 1939 r. znajdujemy podobne przykłady. Podziwiamy przy tym obrońcę Kępy Oksywskiej płk. Stanisława Dąbka oraz kpt. Władysława Raginisa broniącego Wizny. O reakcji Rzymian w I w. Flawiusz pisał: „Kiedy natrafili na mnóstwo pomordowanych, nie radowali się, że taki los spotkał ich wrogów, lecz zdumiewali się nad szlachetnością ich postanowienia i podziwiali pogardę śmierci, którą okazało tylu ludzi, nieugięcie wprowadzając ją w czyn”. ©℗

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Ujęci bojownicy żydowscy. Zdjęcie z raportu Stroopa FOT. YAD VASHEM

Rozmowa / Z Mosze Arensem, który przywrócił ŻZW historii

rozmawia Piotr Zychowicz

Prawicowi bohaterowie

Wielu ludzi w Izraelu pytało ze zdumieniem: „Dlaczego nic mi o tym nie mówiono?!”

PIOTR ZYCHOWICZ: Zawsze mówiono mi, że powstanie w getcie warszawskim było dziełem lewicowej Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB)...

MOSZE ARENS: Mnie też. I właśnie dlatego postanowiłem napisać książkę, która przypomni światu o zapomnianych prawicowych bohaterach zrywu sprzed 70 lat. Czyli bojownikach Żydowskiego Związku Wojskowego (ŻZW). Niestety, ich udział w powstaniu był przez kilkadziesiąt lat rozmyślnie wymazywany z historii przez ich przeciwników politycznych. Myślę jednak, że nadszedł wreszcie czas, aby przywrócić tym dzielnym ludziom należne im miejsce.

Kto chciał, żeby o nich zapomniano?

Zacznijmy od tego, że o epopei ŻZW nie miał kto opowiedzieć. Paweł Frenkel i inni dowódcy organizacji zginęli podczas powstania lub zaraz po nim. W wypadku ŻOB było zupełnie inaczej. Choć Mordechaj Anielewicz zginął w bunkrze przy Miłej 18, to dwóch innych przywódców organizacji przeżyło – jego zastępca Antek Cukierman oraz Cywia Lubetkin. Bojowniczka, która później została jego żoną. To oni opowiedzieli światu historię powstania.

I pominęli w niej rolę nielubianych prawicowców.

Oczywiście. Ich opowieść była całkowicie jednostronna. Wyolbrzymiali rolę ŻOB i pomniejszali rolę ŻZW. Gdy Cukierman już mówił o związku, to lekceważąco. Jako o mało ważnej, podrzędnej grupce, która podczas walk nie odegrała większej roli. Cukierman i Lubetkin byli członkami młodzieżowej organizacji syjonistów socjalistów Dror. Anielewicz był zaś członkiem Ha-Szomer Ha-Cair, również grupy mocno lewicowej. Podobnej proweniencji była większość innych dowódców i członków ŻOB. Organizacja uważała, że reprezentuje żydowski proletariat. Nie przez przypadek utrzymywała kontakty z prosowiecką AL. Jeden z dowódców grupy był zresztą otwartym komunistą.

A ŻZW?

To była zdecydowana prawica. Przywódcy związku przed wojną działali w Bejtarze, młodzieżówce syjonistów rewizjonistów Włodzimierza Żabotyńskiego. Do organizacji tej należał m.in. Frenkel, który nawet zaciągnął się do podziemnej prawicowej formacji Irgun walczącej wówczas z Brytyjczykami i Arabami w Palestynie. W oczach bojowników ŻOB wszyscy ci ludzie byli obrzydliwymi reakcjonistami, z którymi nie chcieli mieć nic wspólnego. Rozmawiałem na ten temat z Markiem Edelmanem. On do końca życia uważał prawicowych Żydów z ŻZW za faszystów i bandytów.

Czy to, że w Izraelu przez pierwsze kilkadziesiąt lat rządziła lewica, miało wpływ na wymazanie roli ŻZW?

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Znaczek upamiętniający Pawła Frenkla i ŻZW FOT. DOMENA PUBLICZNA

Naturalnie. Cukierman i Lubetkin już w 1946 r. przyjechali do Palestyny. Opowiadali tam swoją historię, która wywołała olbrzymie zainteresowanie. Jednocześnie w Palestynie trwała zacięta rywalizacja między prawicowymi syjonistami rewizjonistami pod wodzą Menachema Begina a żydowskimi socjalistami Dawida Ben Guriona. Toczyła się wówczas wojna o żydowskie dusze, o kształt przyszłego państwa.

Zakładam, że opowieść o dzielnej ŻOB bardzo się Ben Gurionowi w tej walce przydała.

Rzecz jasna. A jednocześnie lewica nie miała najmniejszego interesu w tym, żeby nagłaśniać heroiczne czyny członków formacji ideowej, którą zwalczała. Walka ta zakończyła się zresztą dla lewicy sukcesem. Po 1948 r., gdy powstał Izrael, socjaliści rządzili krajem przez pierwsze 30 lat. Narracja ŻOB została wówczas implantowana w umysły ludzi, a pamięć o ŻZW do cna wyrugowana. Wzmianek o tej organizacji próżno było szukać w podręcznikach szkolnych, w książkach czy gazetach. W efekcie, gdy pojedzie pan do Izraela i zapyta kogoś na ulicy, kim był Mordechaj Anielewicz, każdy bezbłędnie panu odpowie. Nie ma u nas miasta, w którym nie byłoby ulicy jego imienia. A na nazwisko Paweł Frenkel ludzie tylko wzruszają ramionami.

Tak jak w Polsce.

Nie jestem ekspertem w sprawach powojennej historii Polski, ale zakładam, że komunistycznym władzom także nie zależało na przypominaniu heroizmu prawicowych Żydów. ŻOB była dla nich znacznie bardziej poprawna politycznie. Po powstaniu w getcie wielu bojowników ŻOB trafiło zresztą w szeregi AL. Wszyscy dowódcy ŻZW zostali zaś zabici, a żołnierze się rozpierzchli.

To skąd wiadomo o walce tej formacji w powstaniu?

Choćby z raportów operacyjnych Jürgena Stroopa, SS-Gruppenführera, który zniszczył getto. Pisał on np. o głównej bitwie powstania na placu Muranowskim, gdzie Niemcom czoło stawili właśnie żołnierze ŻZW. Wywiesili oni nad placem dwie flagi: syjonistyczną – która stała się później flagą Izraela – oraz biało-czerwony sztandar Rzeczypospolitej. Te flagi były doskonale widoczne po aryjskiej stronie muru. Część najskrajniejszej nacjonalistycznej prasy podziemnej przyjęła to z oburzeniem, twierdząc, że Żydzi nie mają prawa walczyć pod polskim sztandarem. Jeśli koniecznie chcą się bić, to niech to sobie robią pod sztandarem komunistycznym. Ale większość prasy uznała te flagi za dowód braterstwa między Polakami i Żydami.

Gdy już mowa o tym braterstwie... Na ile silne były związki między ŻZW z AK?

Takie związki oczywiście były, ale nie aż tak bliskie, jak się to wielu ludziom wydaje. Tłumaczowi mojej książki, Michałowi Sobelmanowi, wysłałem już dodatkowy rozdział napisany specjalnie do polskiego wydania „Flag nad gettem". Nazywa się on „Polskie powiązania" i wszystko w nim dokładnie wyjaśniam. Wygląda na to, że wiele opowieści o związkach ŻZW z AK – np. o pośmiertnym awansowaniu przez gen. Sikorskiego żydowskich oficerów WP poległych w getcie – powstało po wojnie na zamówienie reżimu komunistycznego, by podkreślić związki „polskiej reakcji" z żydowską prawicą.

Ale w ŻZW byli przecież przedwojenni polscy żołnierze.

Tak, choć np. Paweł Frenkel i kilku innych dowódców nie służyło w Wojsku Polskim. Byli zaś oczywiście oficerowie rezerwy oraz zwykli żołnierze, którzy odbyli polską służbę zasadniczą. Obie organizacje – ŻOB i ŻZW – starały się nawiązać kontakty z polskim podziemiem, aby otrzymać od niego broń. Generał Grot-Rowecki nie palił się jednak do dawania broni ŻOB, którą uważał za bandę komunistów. Z ŻZW było nieco lepiej. Sporo broni dostarczali członkowie wchodzących w skład ŻZW organizacji PLAN i KB. Większość pistoletów i granatów organizacja po prostu kupiła na dworcach od niemieckich i włoskich żołnierzy, którzy wracali spod Stalingradu.

Wsparcie AK musiało chyba jednak być nie takie małe, skoro ŻZW walczył także pod polską flagą.

Przede wszystkim żołnierze organizacji mieli nadzieję, że jeśli Polacy zobaczą swoją flagę, przyłączą się do powstania i ogarnie ono całe miasto. Ale naturalnie nie można zaprzeczyć, że ci ludzie czuli się blisko związani z Polską i jej sprawą. Już przed wojną Żabotyński podpisał umowę o współpracy z rządem II Rzeczypospolitej.

Podobno syjoniści rewizjoniści lubili powtarzać, że zakończona sukcesem walka Polaków o niepodległość była dla nich inspiracją.

Za wzór stawiali sobie szczególnie Józefa Piłsudskiego, jego podziemną POW i Legiony, które starały się zbudować państwo poprzez czyn zbrojny, a później stały się zaczątkiem polskiej armii. Rzeczpospolita przez ponad 120 lat nie istniała na mapie, ale dzięki determinacji i wierze w zwycięstwo Polaków udało się ją w końcu zbudować. Żydowscy prawicowcy uważali, że skoro udało się Polakom, to oni mogą zrobić to samo na Bliskim Wschodzie. Podczas walk w getcie większość żołnierzy ŻZW rozmawiała ze sobą w języku polskim, a nie w jidysz. Frenkel nosił zaś polskie, chrześcijańskie imię – Paweł.

Ilu żołnierzy biło się w ŻZW podczas powstania?

Dziś trudno to precyzyjnie policzyć. Obie organizacje – ŻOB i ŻZW – miały po kilkuset żołnierzy. Ale liczebność nie była wówczas najważniejsza. Liczyło się, kto jaką ma broń. Większość broni ŻOB stanowiły pistolety, które w walce ulicznej ze znakomicie wyekwipowanym, profesjonalnym niemieckim wojskiem

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Żydzi zatrzymani przez Niemców w czasie powstania FOT. YAD VASHEM

na niewiele się mogły przydać. ŻZW miał zaś pewną liczbę karabinów, w tym dwa karabiny maszynowe, których użyto do walki w bitwie na placu Muranowskim.

Czyli ŻZW był silniejszy niż ŻOB?

Bez wątpienia. Był nie tylko lepiej wyposażony, lecz także lepiej wyszkolony. Nie dość, że w szeregach ŻZW walczyli byli żołnierze Wojska Polskiego, to jeszcze polskie podziemie przysłało na teren getta ekspertów, którzy szkolili bojowników tej formacji w zakresie walki w mieście. To przełożyło się na taktykę obu grup. ŻOB dokonywała głównie zasadzek. Dwie takie akcje przeprowadziła 19 kwietnia 1943 r., pierwszego dnia powstania. ŻZW zdecydował się zaś na frontalną konfrontację z nieprzyjacielem. Na placu Muranowskim związek miał stałe pozycje i przez cztery dni toczył regularną bitwę z Niemcami.

Podobno jego żołnierze zniszczyli nawet pojazd opancerzony.

Rzeczywiście. Stroop rzucił na getto m.in. lekki czołg produkcji czeskiej. Został on obrzucony przez ŻOB koktajlami Mołotowa i musiał się wycofać. Wkrótce jednak wrócił do akcji. Zniszczyli go dopiero – butelkami z benzyną i granatami, które dostali od Polaków – żołnierze ŻZW.

Jakie były straty obu stron podczas powstania w getcie?

Z dokumentów niemieckich wynika, że straty Niemców były znikome. Spośród 2 tys. ludzi, którzy brali udział w akcji tłumienia powstania, stracili 16. To byli doskonale wyszkoleni żołnierze, którzy starali się nie wchodzić w bliski kontakt z przeciwnikiem. Stroop przyjął taktykę „walki z budynkami". Ostrzeliwał kamienice z dział, potem je podpalał i tak niszczył dzielnicę kwartał po kwartale. Żydowscy żołnierze nie mieli więc większych szans na podjęcie równorzędnej walki. Wysokie szacunki niemieckich strat podawane po wojnie przez weteranów ŻOB były niestety nieprawdziwe – chodziło o wyolbrzymienie swojego wysiłku zbrojnego.

A druga strona?

Straty, które ŻOB poniosła w bezpośrednich walkach, również były niewielkie. Tak jak powiedziałem, grupa ta stosowała taktykę zasadzek, po których jej bojownicy odskakiwali i ukrywali się w bunkrach. Bardzo trudno ich było schwytać. Co innego ŻZW. Związek poniósł bardzo poważne straty. Z ręki wroga zginęło ok. stu jego żołnierzy.

Jak zginął Frenkel?

Zabito go już po powstaniu, w czerwcu 1943 r., przy ulicy Grzybowskiej 11. Po wojnie zmieniła się numeracja i dziś jest to chyba dom numer 5. Frenklowi wraz z 10 najwierniejszymi towarzyszami udało się wydostać z getta i ukryć po aryjskiej stronie. Zamierzali, w porozumieniu z polskim podziemiem, przedostać się do leśnych oddziałów partyzanckich. Zostali jednak odkryci przez Niemców. Wywiązała się zacięta walka. Zginęli czterech Niemców i wszyscy żydowscy prawicowcy. Ostatnio poprosiliśmy premiera Beniamina Netanjahu, aby podczas wizyty w Jerozolimie Donalda Tuska zapytał go, czy nie można by upamiętnić tego miejsca tablicą. W końcu Frenkel był najważniejszym z dowódców powstania w getcie. Wasz premier bardzo się sprawą zainteresował, ale powiedział, że leży ona w gestii władz Warszawy. Za pośrednictwem naszego ambasadora Cwi Raw-Nera próbowaliśmy się skontaktować z panią prezydent Warszawy. Na razie jednak bez skutku.

Dlaczego ŻZW zdecydował się podjąć walkę w Warszawie?

Oni stali przed trudnym dylematem. Mogli albo bić się w getcie, albo wyjść do lasu, do partyzantki. W lesie warunki byłyby trudne, ale istniała spora szansa na przeżycie. W getcie takiej szansy raczej nie było. Mimo to zdecydowali się walczyć w Warszawie. Chcieli się zapisać w historii, zrobić coś spektakularnego w proteście przeciwko temu, co Niemcy wyrabiają z żydowską ludnością cywilną. Żołnierze ŻZW wiedzieli, że nie mają najmniejszych szans na zwycięstwo, uznali jednak, że samo stawienie oporu będzie zwycięstwem moralnym.

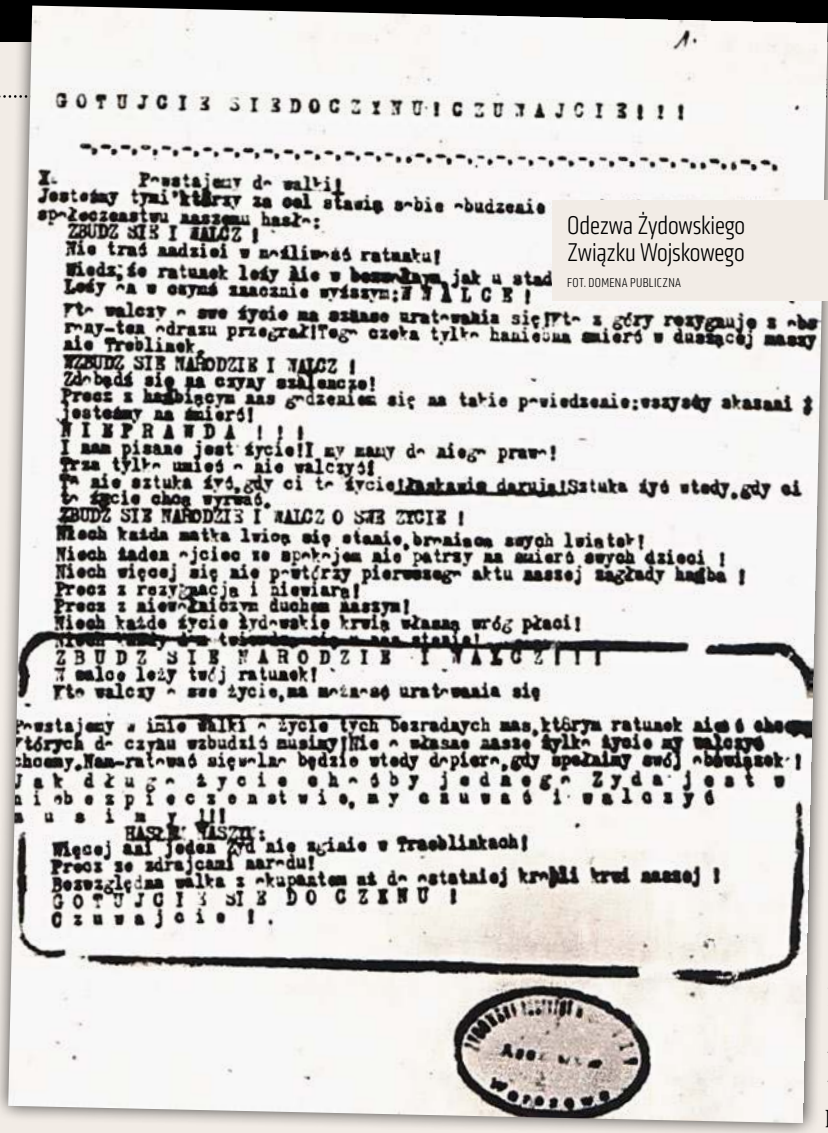
No cóż, to bardzo polskie podejście...

To prawda. Polacy mają bardzo mocno wyrobione poczucie honoru. Przejęli to od nich młodzi, zapatrzeni w Piłsudskiego syjoniści rewizjoniści. Ich beznadziejna walka w getcie odgrywała i wciąż odgrywa olbrzymią rolę w żydowskiej tożsamości. Pokazuje bowiem, że Żydzi wcale nie szli dobrowolnie na rzeź, że podjęli walkę z oprawcami. To jest dzisiaj dla nas, Izraelczyków, wielki powód do dumy. Swoją drogą powstanie w getcie warszawskim było pierwszym powstaniem w okupowanej przez Niemców Europie.

Dlaczego doszło do niego akurat tutaj?

Bo tu było największe getto. Przed wojną Warszawa była największym skupiskiem Żydów na świecie, po Nowym Jorku. Blisko 400 tys. ludzi! Niemcy zgromadzili później w getcie jeszcze więcej Żydów, bo

eprasa.pl 0b86cb3ec7



GOTUJCIE SIĘ DO CZYNU I CZUWAJCIE!!!

I. Powstajemy do walki!
Jesteśmy tymi, którzy za cel stawiają sobie obudzenie
społeczeństwu naszemu hasła:
ZBUDŹ SIĘ I WALCZ!
Nie trać nadziei w możliwość ratunku!
Wiedz, że ratunek leży nie w bezwładzie jak u stad
Leży on w czynie znacznie wyższym: W A L C E !
Kto walczy o swe życie ma szanse uratowania się! Kto z góry rezygnuje z ob
rony-ten odrazu przegrał! Tego czeka tylko haniebna śmierć w duszącej masy
nie Treblinek.
WZBUDŹ SIĘ NARODZIE I WALCZ!
Zdobędą się na czyny szaleńcze!
Precz z hańbiącym nas godzeniem się na takie powiedzenie: wszyscy skazani
jesteśmy na śmierć!
N I E P R A W D A ! ! !
I nam pisane jest życie! I my mamy do niego prawo!
Trza tylko umieć o nie walczyć!
To nie sztuka żyć, gdy ci to życie [illegible] darują! Sztuka żyć wtedy, gdy ci to
życie choć wyrwać.
ZBUDŹ SIĘ NARODZIE I WALCZ O SWE ŻYCIE!
Niech każda matka lwicą się stanie, bronią swych dzieci!
Niech żaden ojciec ze spokojem nie patrzy na śmierć swych dzieci!
Niech więcej się nie powtórzy pierwszego aktu naszej zagłady hańbą!
Precz z rezygnacją i niewiarą!
Precz z niewolniczym duchem naszym!
Niech każde życie żydowskie krwią własną wróg spłaci!
[illegible]
ZBUDŹ SIĘ NARODZIE I WALCZ!!!
W walce leży twój ratunek!
Kto walczy o swe życie, ma możność uratowania się

Powstajemy z imię walki o życie tych bezradnych mas, którym ratunek nie [illegible]
których do czynu wzbudzić musimy! Nie o własne nasze żyjemy życie, my walczyć
chcemy. Nam ratować się wolno będzie wtedy dopiero, gdy spełniony swój obowiązek!
Jak długo życie choćby jednego Żyda jest w
niebezpieczeństwie, my czuwać i walczyć
musimy!!!
HASŁA NASZE:
Więcej ani jeden Żyd nie zginie w Treblinkach!
Precz ze zdrajcami narodu!
Bezwzględna walka z okupantem aż do ostatniej kropli krwi naszej!
GOTUJCIE SIĘ DO CZYNU!
Czuwajcie!.

Odezwa Żydowskiego Związku Wojskowego
FOT. DOMENA PUBLICZNA

prawie pół miliona. To w Warszawie działały wszystkie najważniejsze organizacje młodzieżowe, tu były warunki do pracy konspiracyjnej. Warszawa po obu stronach muru była głęboko zanurzona w robocie podziemnej.

W innych polskich miastach chyba także istniało silne żydowskie podziemie?

Na przykład w Wilnie, gdzie jednak nie doszło do powstania i żołnierze wyszli do lasu. Obawiali się bowiem, że ludność getta w razie zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom nie udzieli im wsparcia. Oczywiście ze strachu przed zbiorowymi represjami. A proszę pamiętać, że Niemcy obiecywali wówczas, że ci Żydzi, którzy pracują na potrzeby ich gospodarki wojennej, zostaną oszczędzeni. Ludzie łapali się tej nadziei jak tonący brzytwy. Dopiero gdy machina Zagłady działała już pełną parą, zrozumieli, że wszyscy są skazani na śmierć. Nie przypadkiem do powstania w getcie warszawskim doszło tak późno, gdy blisko 300 tys. Żydów już wywieziono do Treblinki. Wtedy bowiem umarła ostatnia nadzieja i młodzi bojownicy ŻZW i ŻOB mogli wystąpić z bronią bez obawy, że spotka się to z wrogą reakcją cywilów.

Jak zachowywał się ŻZW wobec żydowskiej policji?

Pierwsze działania, które podjęła ta organizacja w getcie – podobnie było zresztą z ŻOB – wymierzone były w policję. Przeprowadziła całą serię zamachów na jej funkcjonariuszy i innych Żydów, którzy kolaborowali z Niemcami. Jeszcze na długo przed powstaniem dokonano zamachu na komendanta policji Józefa Szeryńskiego, przedwojennego oficera polskiej policji, który nawrócił się na katolicyzm. Dla Niemców nie miało to jednak większego znaczenia i zamknęli go w getcie razem z innymi Żydami. Bojownicy podziemia strzelali do Szeryńskiego, został jednak tylko ranny i przeżył. W tych akcjach chodziło o to, by pokazać ludności, że władza w getcie przechodzi z rąk Judenratu i policji w ręce żydowskiego podziemia.

Pańska książka „Flagi nad gettem" została wydana w Izraelu w 2009 r. Z jakim spotkała się odzewem?

Przede wszystkim wywołała wielkie zaskoczenie. Wielu ludzi pytało ze zdumieniem: Dlaczego nic mi o tym nie mówiono?! Wydawałoby się, że o takim ważnym wydarzeniu jak powstanie w getcie powiedziano już wszystko. Po publikacji mojej książki wybuchła w Izraelu wielka debata publiczna. Pierwsze efekty już widać. Minister edukacji wydał niedawno instrukcję, by umieścić informacje o ŻZW w szkolnych podręcznikach. O związku i jego heroicznej walce coraz więcej pisze się w prasie i mówi w telewizji. Epopeja polskich prawicowych Żydów, którzy 70 lat temu na ulicach Warszawy rzucili wyzwanie Trzeciej Rzeszy, powoli przebija się do masowej świadomości Izraelczyków. Mam nadzieję, że podobnie będzie w Polsce. Dzieje ŻZW są bowiem chwalebną kartą nie tylko historii Żydów, lecz także historii Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Mosze Arens (1925–2019) urodził się w Kownie. Już w młodości związał się z prawicowym ruchem syjonistycznym. Świetnie wykształcony absolwent uczelni technicznych w USA, dokąd wyjechał w 1939 r., po drugiej wojnie światowej znalazł się w Izraelu. Był jednym z założycieli i przywódców Likudu. Pionier i weteran walczącego zbrojnie o państwo izraelskie Irgunu, „bejtarowiec z krwi i kości", syjonista, był naukowcem i politykiem o szerokich horyzontach. Przez wiele lat stał na czele przemysłu obronnego Izraela. Był profesorem na politechnice w Hajfie, długoletnim członkiem izraelskiego parlamentu, ambasadorem w USA, ministrem obrony oraz spraw zagranicznych w rządach prawicowych (m.in. Begina, Szamira i Netanjahu), a także w rządzie zgody narodowej Peresa. Trzykrotnie sprawował funkcję ministra obrony, raz – szefa dyplomacji. Napisał książkę o Żydowskim Związku Wojskowym: „Flagi nad gettem". Rozmowa została przeprowadzona w roku 2009.

eprasa.pl 0b86cb3ec7

1939–1944 / Kraków, Białystok, Łódź



Budowa muru odgradzającego getto w Krakowie FOT. USHMM

Najpierw wykorzystać, później zabić



Tomasz Stańczyk

Getta w okupowanej Polsce były umieralniami i obozami niewolniczej pracy na rzecz Niemców

Trwały jeszcze działania wojenne w Polsce, gdy Reinhard Heydrich, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, w telefonogramie z 21 września 1939 r. do dowódców grup operacyjnych policji bezpieczeństwa sformułował pierwszą instrukcję w sprawie Żydów – obywateli polskich.

„Pierwszym założeniem prowadzącym do ostatecznego celu jest koncentracja Żydów z prowincji w większych miastach. Należy przeprowadzić ją we wzmożonym tempie […]. Należy starać się przy tym, aby tylko te miasta wyznaczać na punkty koncentracji, które są węzłami kolejowymi lub przynajmniej leżą przy liniach kolejowych […]. Koncentracja Żydów w miastach będzie wymagała prawdopodobnie […] wydania zarządzeń w tych miastach całkowicie zabraniających Żydom przebywania w niektórych dzielnicach oraz np. opuszczania getta”.

Co z nimi zrobić?

Choć w instrukcji Heydricha pojawiło się złowrogie określenie „ostateczny cel”, to jednak jesienią 1939 r. nie oznaczało ono jeszcze planu wymordowania całej ludności żydowskiej Polski. Niemcy rozważali najpierw stworzenie na Lubelszczyźnie żydowskiego „rezerwatu”.



Niemiecki plakat propagandowy FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Jednak plan ten zarzucono, m.in. z powodu trudności logistycznych – transport kolejowy miał być podporządkowany planom wojennym, a Niemcy szykowali się do napaści na Europę Zachodnią. Po pokonaniu Francji zrodziła się koncepcja przesiedlenia Żydów na Madagaskar, afrykańską wyspę będącą kolonią francuską. Ale i ten plan zarzucono.

W każdym razie tworzenie i istnienie gett miało być rozwiązaniem tymczasowym – i takim też się było dopóty, dopóki nie powstał plan wymordowania wszystkich Żydów. Historyk Christopher Browning pisał: „Żydowskie getta w miastach, pierwotnie mające pełnić rolę tymczasowych przystanków na drodze do całkowitej deportacji, stały się niespodziewanie czynnikiem, z którym lokalne władze niemieckie musiały sobie radzić przez dłuższy czas. Nie mogły przy tym liczyć na konstruktywne wskazówki Berlina, który nadal snuł plany deportacji i nie chciał przyznać, że są one niewykonalne".

Wbrew instrukcji Heydricha, polecającej dokonanie koncentracji Żydów „we wzmożonym tempie", proces tworzenia gett został rozciągnięty w czasie. Pierwsze getto na ziemiach polskich powstało już w październiku 1939 r. w Piotrkowie, ostatnie getta ustanowiono latem i jesienią 1941 r., m.in. w Białymstoku, Wilnie i we Lwowie, gdy wojska niemieckie zajęły okupowane dotąd przez Związek Sowiecki ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Zgodnie z instrukcją Heydricha zwożono ludność żydowską do większych miast, ale getta powstawały też na prowincji, były nawet getta wiejskie. I również, według jego sugestii, oddzielano obszar getta, zakazywano Żydom opuszczania go.

Heydrich kazał tłumaczyć powstawanie gett względami bezpieczeństwa. Ludność żydowska miała – rzekomo – brać udział w partyzanckich napadach i akcjach rabunkowych, a zamknięcie jej w gettach miało to uniemożliwić. Później pojawiły się inne argumenty. Izolacja Żydów miała zlikwidować ich – również rzekomy – wpływ na ludność polską, w duchu antyniemieckim, oraz zapobiegać rozprzestrzenianiu się chorób zakaźnych. Rzeczywiście Niemcy się ich bali, ale stała za tym propaganda celowo kojarząca Żydów z nosicielami tych chorób (osławiony plakat niemiecki z napisem „Żydzi, wszy, tyfus plamisty"). A tego rodzaju przesłanie miało też zrazić Polaków do kontaktów z Żydami. Oczywiście stłoczenie ludności żydowskiej w gettach i fatalne warunki życia sprzyjały rozwojowi chorób zakaźnych.

Powstawanie gett w pierwszym okresie zależało od inicjatywy lokalnych niemieckich władz okupacyjnych. Pierwsze z gett powstało w Piotrkowie Trybunalskim w październiku 1939 r., następne stworzono w Radomsku i Puławach. Dopiero latem 1940 r. rozpoczęła się zorganizowana akcja tworzenia gett. Powstało ich w Generalnym Gubernatorstwie ok. 400, a ok. 200 kolejnych na okupowanych przez Niemców ziemiach wschodnich Polski. Natomiast getta na



Chaim Rumkowski, przewodniczący Judenratu w getcie w Łodzi FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 0b86cb3ec7

terenach wcielonych do Niemiec powstawały – tak jak w Łodzi – gdy upadł plan wywiezienia wszystkich Żydów z tych terenów do Generalnego Gubernatorstwa.

Ambicją Hansa Franka było maksymalne „odżydzenie" Krakowa, gdyż był on stolicą Generalnego Gubernatorstwa. Dlatego też większość krakowskich Żydów została wypędzona z miasta – trafili do gett w innych miastach – a kilkanaście tysięcy z nich, potrzebnych Niemcom do pracy, stłoczono na Podgórzu. Podobne wypędzenia miały miejsce w Lublinie i Radomiu.

Getta nie było wolno Żydom opuszczać. W 1940 r. wprowadzony został zakaz przemieszczania się Żydów na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a jesienią 1941 r. Hans Frank wydał rozporządzenie wprowadzające karę śmierci za opuszczenie getta; groziła ona także Polakom za ukrywanie Żydów zbiegłych z gett, a także za dostarczanie im i sprzedawanie żywności.

Dwie koncepcje

Gdy się okazało, że getta będą istnieć w trudnym do przewidzenia czasie, aż do momentu, gdy w stolicy Niemiec zapadną ostateczne decyzje o deportacji, w niemieckiej administracji okupowanej Polski zaczęły się ścierać dwa stanowiska. Jedni uważali, że getta będą miejscem fizycznego wyniszczania Żydów poprzez głód i choroby. Gubernator warszawski Ludwig Fischer oświadczył, że warunki w gettach sprawią, że ich mieszkańcy będą ginęli z głodu i nędzy, a w ten sposób „z kwestii żydowskiej pozostanie cmentarz". Ludność żydowska otrzymywała przydziały żywności niepozwalające przeżyć, pokrywające w najlepszym razie jedną trzecią normalnego zapotrzebowania na kalorie, a jeśli mimo tego nie wymarła, to dzięki szmuglowi jedzenia z „aryjskiej" strony i czarnemu rynkowi, dostarczającemu ogromną większość żywności.

Śmiertelność z powodu wycieńczenia i chorób spowodowana niedostateczną ilością pożywienia – w tym także śmierć głodowa – była zastraszająca. Friedrich Uebelhoer, wysoki urzędnik w Warthegau (Kraju Warty), stwierdził w sprawie ludności żydowskiej, że celem ostatecznym jest „całkowite wypalenie tego wrzodu".

Inni reprezentanci władz okupacyjnych uważali, że trzeba wykorzystać dla niemieckiej gospodarki, w tym szczególnie dla potrzeb armii, pracę Żydów – oczywiście przymusową, o charakterze niewolniczym. Niektóre więc getta, jak w Warszawie i Łodzi, były też obozami pracy na rzecz Niemiec. Christopher Browning nazywał zwolenników takiego wyzysku „produktywistami" i stwierdzał, że „stopniowo zyskiwali przewagę nad zwolennikami wyniszczenia, dopóki Berlin nie opowiedział się po stronie nie tyle wyniszczenia, ile natychmiastowego i systematycznego masowego mordu".

Oprócz zakładów produkcyjnych w gettach powstawały także obozy pracy, a ich więźniów wykorzystywano m.in. do budowy dróg, umocnień granicznych, prac melioracyjnych. Jednak warunki tej pracy i niedostateczne żywienie niejednokrotnie powodowały fizyczne wyniszczenie Żydów. Część krakowskich Żydów skoncentrowano w obozie pracy w Płaszowie, gdzie znajdowały się m.in. warsztaty ślusarskie, stolarskie, samochodowe, a filią płaszowskiego obozu była fabryka naczyń emaliowanych, którą przejął i był jej właścicielem Oskar Schindler. Ocalił on swoich żydowskich pracowników. Żydzi pracowali także m.in. w obozie w Trawnikach, dla Waffen-SS, lecz w październiku 1943 r. Niemcy ich wymordowali.

Koncentracja w gettach służyła też w inny sposób gospodarce niemieckiej – poprzez ułatwienie konfiskaty żydowskiego majątku, co regulowały odpowiednie zarządzenia władz okupacyjnych, eliminujące też Żydów z życia gospodarczego.

Nadzór nad wykonywaniem zarządzeń dotyczących ludności zamkniętej w gettach Niemcy wykonywali rękoma żydowskich organów administracyjnych – Judenratów. Zajmowały się one zbieraniem podatków i kontrybucji nakładanych przez Niemców, były zobowiązane dostarczać im robotników. Z drugiej strony spadał na nie obowiązek i trud organizowana wyżywienia dla ludności getta, sprawowania opieki społecznej, co było dramatycznie trudnym zadaniem. Historyk Robert Szuchta stwierdzał: „Już w czasie okupacji oskarżano członków Judenratów o zbyt gorliwą współpracę z Niemcami. Zarzucano im nierównomierny rozdział społecznych kosztów wyniszczającej polityki okupanta oraz preferowanie interesów ludzi zamożnych. Oskarżano o nieskuteczność w walce z epidemią tyfusu plamistego i głodem". Oczywiście ta nieskuteczność była w wielkiej mierze pochodną polityki niemieckiej wobec Żydów.

Wśród stłoczonych w getcie ludzi panowały drastyczne kontrasty. Byli tacy, którzy umierali z głodu i wywoływanych nim chorób, byli też zamożni, syci i dobrze ubrani. Jednak jednych i drugich czekał ten sam tragiczny los – w obozach zagłady.

Judenraty dysponowały policją – Służbą Porządkową, oczywiście także kontrolowaną przez Niemców. Niestety, i Judenraty, i policja wykonywały także polecenia związane z deportacją Żydów do obozów zagłady. Calel Perechodnik, jeden z żydowskich policjantów, brał udział w ładowaniu swoich rodaków z Otwocka do transportów śmieci – w tej grupie były jego żona i córka.

Historyk Artur Eisenbach nazwał żydowską policję ekspozyturą Gestapo i Kripo. „Policja gettowa wykorzystała iluzoryczne okruchy swej władzy – pisał Eisenbach – „do »używania życia« w drodze szantażu i wymuszeń wobec sterroryzowanej ludności żydowskiej. Policja żydowska była najbardziej zdemoralizowaną i skorumpowaną instytucją w getcie".

Powstanie w Białymstoku

Powstanie w getcie w Warszawie nie było jedynym aktem zbrojnego oporu wobec eksterminacji. W getcie w Białymstoku powstało kilka grup bojowych, związanych z różnymi nurtami politycznymi; przemycano na jego teren broń, wytwarzano ją także chałupniczo. Zjednoczyły się one w Antyfaszystowskim Bloku Bojowym. W nocy z 15 na 16 sierpnia 1943 r. do getta wkroczyli Niemcy z zamiarem wywiezienia jego mieszkańców do obozów zagłady.

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Getto w Łodzi było wielką fabryką produkującą dla Niemców
FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

Żydowscy bojownicy rozpoczęli nierówną walkę. Szymon Datner, uczestnik białostockiej konspiracji, pisał: „Trwał silny ogień z automatów i karabinów ręcznych. To bojowcy likwidowali silne patrole niemieckie krążące ulicami ghetta i ochraniające płoty. Zaskoczeni Niemcy stawiają słaby opór i wycofują się. Grupy bojowców rzucają się na płoty, uzbrojeni w granaty i butelki z benzyną. Równocześnie śmielsi, nie czekając na wyrwy w płotach, próbują sforsować je szturmem".

Niemcy jednak szybko opanowali sytuację, wprowadzając do walki czołgi, a nawet samoloty. Rozstrzelali schwytanych 72 bojowców. Opór trwał do 26 sierpnia, kilka dni później części bojowców udało się przedrzeć z getta. Stworzyli oddział partyzancki, który następnie wszedł w skład sowieckiego zgrupowania partyzanckiego.

Po stłumieniu oporu wywieziono ludność getta do obozów zagłady. „Niemcy inscenizują jeszcze ostatni żart, w ciężkim, niemieckim stylu – pisał Datner – ok. tysiąca dzieci zostaje odebranych nieszczęsnym rodzicom, odprowadzonych do getta, by je »odwieźć do Szwajcarii«. Dzieci trafiły do obozu Auschwitz-Birkenau, gdzie zostały zamordowane".

Opór stawili także bojowcy w gettach w Wilnie i Częstochowie.

Strategia Rumkowskiego

Wśród części Judenratów panowało przekonanie, że ochronią ludność żydowską, jeśli przekonają Niemców o ich użyteczności, co oznaczało nie tylko pracę na rzecz wojennej niemieckiej gospodarki, lecz także konieczność wysyłania przez Judenraty na śmierć Żydów „nieużytecznych", czyli chorych, niedołężnych, dzieci. Przewodniczący białostockiego Judenratu, Efraim Barasz, zgodził się zrobić listę 6 tys. Żydów, licząc, że w ten sposób ocali pozostałych. Podobnie postępował w getcie wileńskim Jakub Gens.

Dzięki polityce „użyteczności" dla Niemców do lata 1944 r. przetrwało getto w Łodzi, którego władcą był Chaim Rumkowski, przewodniczący Judenratu. Jednak cena przedłużenia istnienia getta była straszna. Rumkowski w porozumieniu z Niemcami i dla ich potrzeb zamienił getto w wielką wytwórnię, uznaną za przedsiębiorstwo przemysłu wojennego. Powstało ok. 100 warsztatów nazywanych resortami. Były m.in. resorty odzieżowe, szewskie, stolarskie, metalowe. Od połowy 1942 r. getto produkowało właściwie tylko na potrzeby armii niemieckiej, m.in. buty i aparaty telefoniczne. Większość Żydów znalazła zatrudnienie.

Skoro Niemcy uznali, że getto w Łodzi jest fabryką, postanowili pozbyć się z niego „nieproduktywnych", a to oznaczyło ich wymordowanie. Judenrat pod przewodnictwem Rumkowskiego robił listy „zbędnych" Żydów. Początkowo Rumkowski nie wiedział, jaki jest los wywiezionych, jednak od początku 1942 r. nie było to już dla niego tajemnicą. Mimo to postanowił dostarczać Niemcom mieszkańców getta na śmierć, licząc, że ocali pozostałych. W pewnym momencie musiał zwrócić się do rodziców: „Ojcowie i matki, dajcie mi swoje dzieci". Tłumaczył: „Ja i moi najbliżsi współpracownicy pomyśleliśmy najpierw nie o tym, ilu zniknie, ale jak wielu jest możliwe ocalić". Było jasne, że „ilu zniknie" oznacza „ilu zostanie zamordowanych"

W czerwcu i lipcu 1944 r. zaczęły się ostatnie wywózki z getta na śmierć. W transporcie do Auschwitz-Birkenau pojechał także Chaim Rumkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Adam Loret – zarządca lasów

FOT. ARCHIWUM LASÓW PAŃSTWOWYCH

Ludzie lasu

Ludzie, którzy tworzyli historię leśnej administracji

Bez ukochania lasu, bez szerokiego otwierania uszu i oczu na to, co się w nim dzieje, bez chęci służenia mu całą duszą nie można być dobrym opiekunem tego wielkiego dobra publicznego – pisał L. Tinz, przywoływany w publikacji „Leśna niepodległa". A takich osobowości polskim lasom państwowym nie brakowało. Jan Miklaszewski, Adam Loret, Józef Zagórski – to wielka trójka, która miała ogromny wpływ na podwaliny leśnictwa w Polsce

Aby polskie leśnictwo mogło podołać wyzwaniom, które stały przed nim po pierwszej wojnie światowej, niezbędni byli ludzie kompetentni, przedsiębiorczy i oddani leśnym sprawom. Do takich postaci II Rzeczpospolita miała wyjątkowe szczęście.

Jan Miklaszewski – specjalista od mrówczej pracy w lasach ojczystych

Postać imponująco silna duchem i umysłem, przepiękny wzór wielkiego obywatela. Urodzony w 1874 r. w Łowiczu Jan Miklaszewski po ukończeniu studiów powrócił w rodzinne strony i zamiast „kariery i złotego runa w państwowej służbie rosyjskiej" wybrał „mrówczą pracę w lasach ojczystych i wśród rodzimego ludu".

Miklaszewski był stałym współpracownikiem czasopisma naukowego „Sylwan" (najstarszego periodyku leśnego w Polsce i na świecie), przyczynił się do powstania czasopisma „Leśnik Polski". W 1918 r. ogłoszono go szefem nowo powstałej Sekcji Lasów Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Koronnych. Stanął przed trudnym zadaniem uporządkowania administracji oraz odbudowy polskiego leśnictwa i drzewostanów po czasach zaborów i wojennej pożodze.

Na przełomie lat 1920 i 1921 Sekcję Lasów przekształcono w Departament Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Miklaszewski został tam dyrektorem i sprawował tę funkcję do końca 1930 r., gdy w wyniku reorganizacji jednostkę zlikwidowano. Jego niewątpliwą zasługą było zaprowadzenie porządku w gospodarce leśnej, a także przygotowanie administracji przyszłych Lasów Państwowych. Stworzył podwaliny leśnych prac badawczych i doświadczalnych, opracowując ich metodykę. Dzięki niemu rozwinęła się również edukacja w dziedzinie leśnictwa.

Jeszcze w trakcie pracy w Departamencie Leśnictwa, w 1928 r., Miklaszewski wydał fundamentalne dzieło „Lasy i leśnictwo w Polsce", które zyskało ogromną sławę i zostało zaliczone przez Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelektualnej w Paryżu do najważniejszych dzieł fachowego piśmiennictwa światowego. Od 1931 r. Jan był związany

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Lasy Państwowe

z Wydziałem Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, gdzie piastował stanowisko prodziekana wydziału, a następnie rektora uczelni. W czasie drugiej wojny światowej pod pseudonimem Zagłoba organizował tajne nauczanie i pomagał personelowi SGGW. Poszukiwany przez gestapo ukrywał się jako Władysław Baranowski. Właśnie pod tym nazwiskiem został pochowany na warszawskich Powązkach. Zmarł nagle 5 lutego 1944 r.

Adam Loret – zarządca lasów

Twórca nowoczesnej organizacji polskiego leśnictwa Adam Loret urodził się 26 grudnia 1884 r. w Jaśle. W 1925 r. Loret został dyrektorem nowo utworzonej Dyrekcji Lasów Państwowych. Opowiadał się za sprawowaniem przez organy państwowe jak najściślejszej kontroli nad krajowymi lasami, która miała przynieść istotne korzyści ekonomiczne i społeczne.

W 1931 r. Loret objął funkcję kierownika Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych, która zyskała status odrębnej organizacji, bezpośrednio podległej ministrowi rolnictwa i posiadającej niezależny budżet. 1 lutego 1934 r. prezydent RP Ignacy Mościcki mianował Loreta dyrektorem naczelnym Lasów Państwowych.

W okresie działalności Loreta na najwyższych szczeblach administracji Lasów Państwowych przeprowadzono liczne reformy, wdrożono wiele zmian organizacyjnych i ekonomicznych. To właśnie on doprowadził do skupienia krajowych zasobów leśnych w rękach państwa. Lasy Państwowe zajęły się również przerobem i dystrybucją drewna. Powstał państwowy przemysł drzewny z prawdziwego zdarzenia, m.in. sieć tartaków i powołana w 1931 r. spółka Polska Agencja Drzewna (PAGED) – oczko w głowie Loreta – wraz z otwartym w maju 1935 r. portem drzewnym w Gdyni.

Loret uczynił z Lasów Państwowych dochodową, samofinansującą się instytucję, co wcale nie oznacza, że miarą sukcesu było tu wyłącznie kryterium ekonomiczne. Zysk podporządkowano bezapelacyjnie sztuce leśnej. Cele gospodarcze zaczęły współgrać z ochroną przyrody. Miał on duży udział choćby w przywróceniu do Puszczy Białowieskiej stada dziko żyjących koników leśnych, potomków tarpanów. Zgodnie ze swoim programem gospodarczym inicjował również akcję zarybiania wód, którymi zarządzały Lasy Państwowe. To za jego kadencji rozpoczęto odbudowę populacji żubra.

Ponadto Loret dał się poznać jako specjalista do spraw promocji i popularyzator wiedzy o leśnictwie. Chciał przybliżyć społeczeństwu problematykę lasów i propagował ideę ich ochrony. Pod jego nadzorem od 1933 r. organizowano doroczne Święto Lasu, którego zadaniem było m.in. „pouczanie obywateli o konieczności szanowania, chronienia i opiekowania się lasami i drzewami".

Dzięki Adamowi Loretowi została przeprowadzona m.in. inwentaryzacja zasobów leśnych. Pod jego rządami powołano także pierwsze parki narodowe, które były jednostkami specjalnymi Lasów. Przedwojenne Lasy Państwowe, zarządzane przez Adama Loreta, były jednymi z najnowocześniejszych w Europie – powiedział 15 września 2017 r., podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Adama Loreta przed siedzibą Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych w Warszawie, ówczesny minister środowiska prof. Jan Szyszko.

Dyrektor rozumiał również, jak ważne dla ochrony lasów i wizerunku kierowanej przez niego instytucji jest zyskanie przychylności mediów. Organizował wycieczki dla dziennikarzy i sam brał w nich udział, m.in. do Puszczy Augustowskiej czy Puszczy Białowieskiej.

Okoliczności śmierci Adama Loreta pozostają niewyjaśnione. Nieznane jest też miejsce jego wiecznego spoczynku.

Józef Zagórski: pierwszy prezes Związku Leśników Polskich

Józef Zagórski, urodzony w 1882 r. we Włocławku lub – jak podają inne źródła – w rosyjskim Berdyczowie, znalazł się w gronie inicjatorów powstania Związku Leśników Polskich (ZLP). 15 sierpnia 1919 r. został wybrany na pierwszego prezesa tej organizacji, pełnił funkcję głównego inspektora lasów. To pierwszy redaktor czasopisma „Las Polski", wydawanego przez ZLP.

Dzięki gruntownemu wykształceniu, dużej wiedzy i ponadprzeciętnym zdolnościom organizacyjnym stał się jednym z najważniejszych fachowców zajmujących się krajowymi lasami.

Z początkiem 1925 r. Zagórski został dyrektorem nowo utworzonej bydgoskiej Dyrekcji Lasów Państwowych. Jego zasługi na tym stanowisku obejmowały koordynację działań naprawczych w lasach zniszczonych przez sówkę choinówkę

> Loret uczynił z **Lasów Państwowych** dochodową, samofinansującą się instytucję

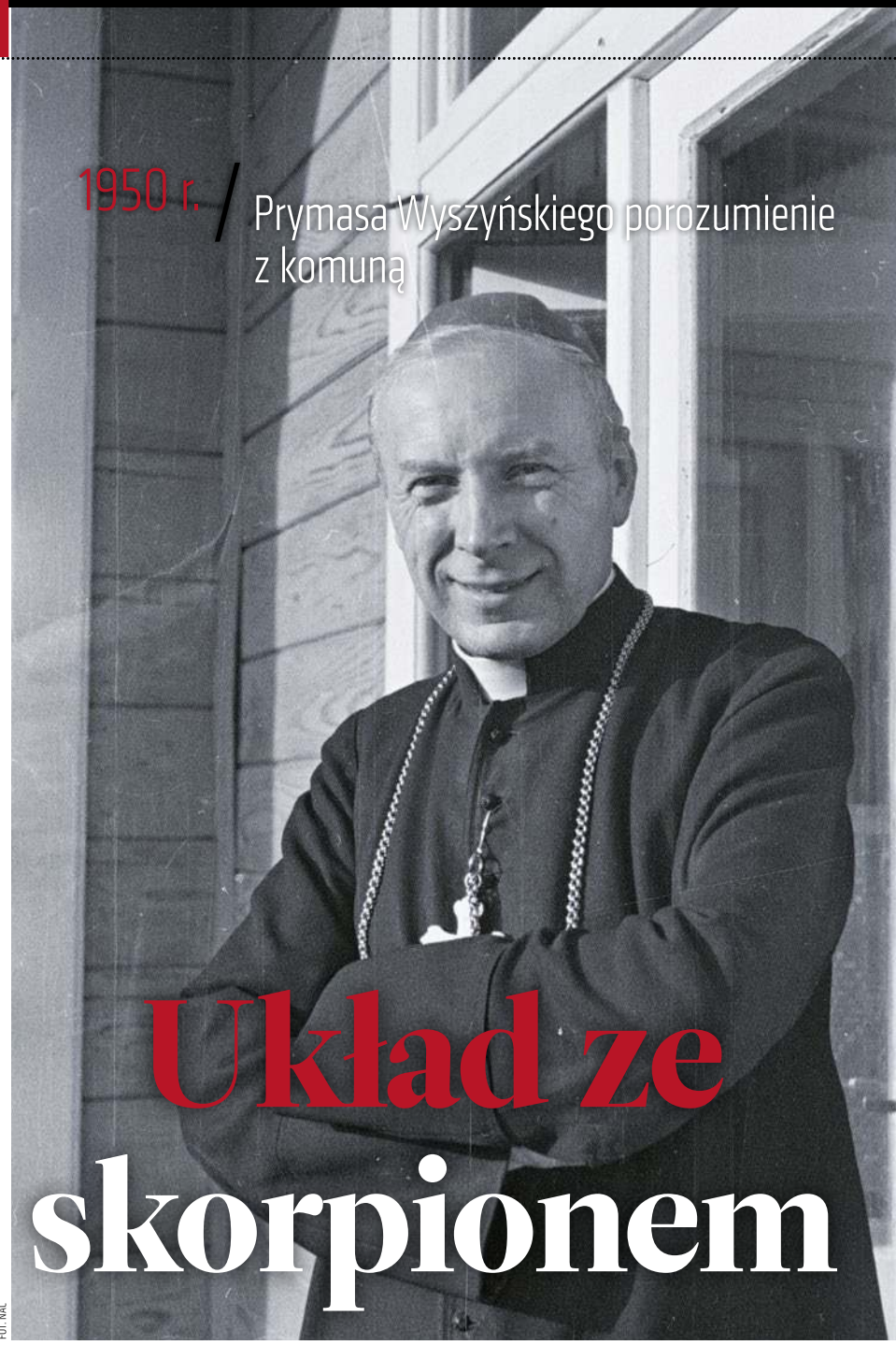
(gatunek motyla, in. strzygonia choinówka) czy akcji zalesiania ponad 40 tys. ha gruntów. Dowodem uznania dla dokonań dyrektora było przyznanie mu w 1928 r. Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

W 1932 r. Zagórski stanął na czele Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Skutecznie chronił lasy przed drugą klęską, którą mogła spowodować sówka choinówka. Podczas drugiej wojny światowej był niezmiennie przekonany, że leśnicy powinni pozostać na stanowiskach pracy i bronić lasów przed okupantami tak długo, jak tylko się da. Zmarł 9 stycznia 1944 r. Przez kolegów po fachu i podwładnych został zapamiętany jako niezwykle kompetentny i życzliwy leśnik.

Chociaż czołowi fachowcy często mieli odmienne wizje polityki leśnej i bywało, że prywatnie nie pozostawali w dobrych stosunkach, potrafili zgodnie współpracować dla dobra krajowego leśnictwa i polskiej gospodarki. Dzięki nim powstały struktury sprawnie łączące cele ekonomiczne z misją ochrony przyrody, podwaliny pod dzisiejszy kształt administracji Lasów Państwowych.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 0b86cb3ec7



1950 r. / Prymasa Wyszyńskiego porozumienie z komuną

Układ ze skorpionem

FOT. NAC



Rafał Łatka

Strategiczny plan, efekt złudzeń czy chęć powstrzymania antykościelnej ofensywy?

Biskup Stefan Wyszyński nominacje na arcybiskupa metropolitę gnieźnieńskiego i warszawskiego oraz prymasa Polski otrzymał 12 listopada 1948 r. Swoje funkcje zaczął pełnić od początku kolejnego roku. Urząd objął w niezwykle trudnym momencie zwiększającej się antykościelnej ofensywy władz Polski „ludowej". Jego sytuacji nie ułatwiało także to, że był wówczas najmłodszym polskim biskupem, dalekim od autorytetu jakim cieszył się kard. August Hlond. Wraz z objęciem najważniejszych w polskim Kościele funkcji abp Wyszyński, podobnie jak jego poprzednik, otrzymał od Stolicy Apostolskiej szerokie uprawnienia specjalne. Do śmierci kard. Adma Stefana Sapiehy współdzielił je z metropolitą krakowskim, a od 1951 r. dysponował nimi samodzielnie. Zostały one przyznane, by w trudnych realiach komunistycznej dyktatury prymas mógł podejmować konieczne decyzje w kluczowych dla Kościoła sprawach.

Litera i interpretacja

Od samego początku swojej posługi abp. Wyszyński realizował strategiczny plan zawarcia porozumienia z komunistami, umożliwiającego Kościołowi prowadzenie działalności. Jego działania wynikały z przekonania, że system komunistyczny w Polsce szybko nie upadnie, w związku z tym zachodzi konieczność wypracowania z władzami pewnego rodzaju modus vivendi. W liście pasterskim na ingres do Gniezna i Warszawy ze stycznia 1949 r. hierarcha wyłożył najważniejsze elementy swojego duszpasterskiego przesłania i misji Kościoła w nadchodzących latach: „Nie jestem ci ja ani politykiem, ani dyplomatą, nie jestem działaczem ani reformatorem. Ale natomiast jestem ojcem Waszym duchownym, pasterzem i biskupem dusz Waszych, jestem apostołem Jezusa Chrystusa. Posłannictwo moje jest kapłańskie, pasterskie, apostolskie, wyrosłe z odwiecznych Bożych myśli, ze zbawczej woli Ojca, dzielącego się radośnie szczęściem swoim z człowiekiem. Zadaniem moim jest: chrzcić, bierzmować, konsekrować, święcić, ofiarować, nauczać i sądzić". Przytoczone wyżej słowa jasno pokazywały, że nowy prymas chciał być przede wszystkim pasterzem i nauczycielem, jednakże sytuacja społeczno-polityczna spowodowała, że z konieczności stał się również politykiem, który musi się układać z przedstawicielami komunistycznej władzy.

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Intencje Kościoła, jeśli chodzi o relacje z państwem, prymas przedstawił w czasie swojej rozmowy z ministrem Administracji Publicznej Władysławem Wolskim 17 lipca 1949 r. Jasno wówczas podkreślił, że Kościół nie ma zamiaru prowadzić walki z władzami, oraz w czterech punktach wymienił stanowisko biskupów wobec istniejącej rzeczywistości społeczno-politycznej:

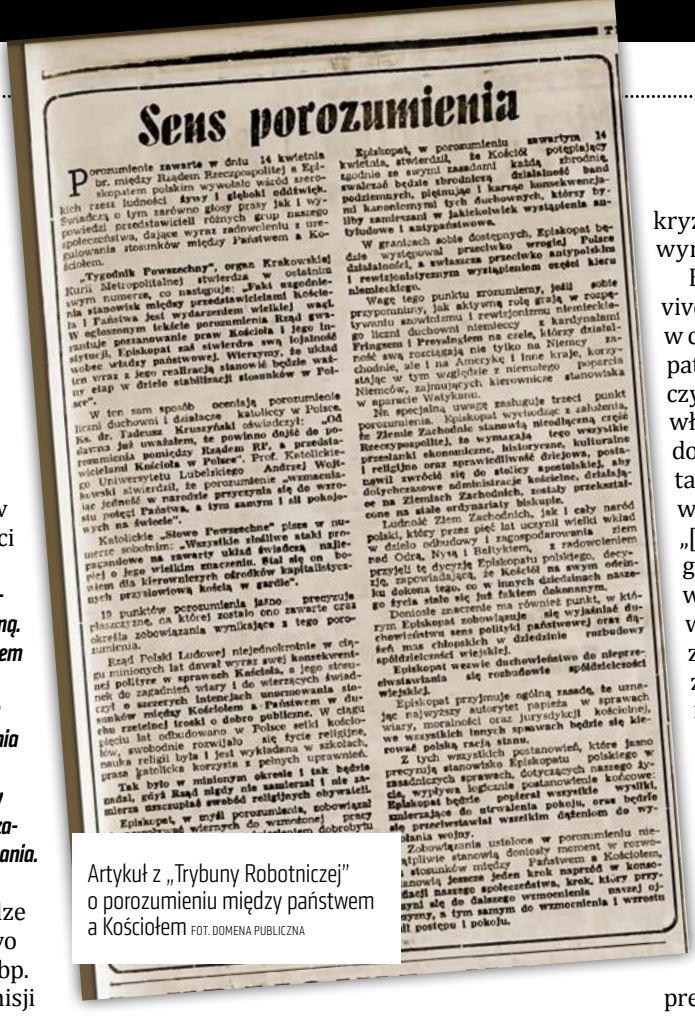
1/ Papież jest głową Kościoła – bez Papieża Kościół byłby nie Kościołem, a schizmą.

2/ Naród nie jest najważniejszym dobrem według kanonów Kościoła.

3/ Ale władza – rząd – jest szanowana przez Kościół jako powołana do regulowania spraw doczesnych.

4/ Jednak sprawa wychowania dotyczy zagadnień moralnych i Kościół musi mieć zastrzeżony swój wpływ na kierunek wychowania. Nie może ono być materialistyczne.

Pierwszym krokiem na drodze do uregulowania relacji państwo – Kościół było w przekonaniu abp. Wyszyńskiego utworzenie Komisji Mieszanej Rządu i Episkopatu, która miała za zadanie wypracować model porozumienia z władzami, a także omawiać i rozwiązywać powstałe spory. Regularne rozmowy tego gremium rozpoczęły się w sierpniu 1949 r. Episkopat wyznaczył do Komisji Mieszanej biskupów Zygmunta Choromańskiego (sekretarza episkopatu), Michała Klepacza i Tadeusza Zakrzewskiego. Komunistów reprezentowali z kolei poseł Franciszek Mazur, Edward Ochab (późniejszy pierwszy sekretarz KC PZPR) i wspomniany już wyżej Władysław Wolski. Arcybiskup Wyszyński nie wszedł w skład Komisji ze względów prestiżowych, czyli przekonania, że w negocjacje bezpośrednie z władzami nie należy angażować autorytetu prymasa Polski, jednakże to on kierował de facto stroną kościelną. Dodać należy także, że decyzję o ewentualnym zawarciu „Porozumienia" hierarcha traktował jako strategiczną dla Kościoła. Z tego względu uważał, że wszyscy biskupi powinni zająć w tej kwestii stanowisko podczas obrad plenarnych episkopatu. Chodziło nie tyle o zabezpieczanie własnej pozycji, ile przede wszystkim o tak poważnie traktowaną przez abp. Wyszyńskiego jedność episkopatu.



Sens porozumienia

Porozumienie zawarte w dniu 14 kwietnia br. między Radą Rzeczypospolitej a Episkopatem polskim wywołało wśród szerokich rzesz ludności żywy i głęboki oddźwięk. Świadczą o tym zarówno głosy prasy jak i wypowiedzi przedstawicieli różnych grup naszego społeczeństwa, dające wyraz zadowoleniu z uregulowania stosunków między Państwem a Kościołem.

„Tygodnik Powszechny", organ Krakowskiej Kurii Metropolitalnej stwierdza w ostatnim swym numerze, co następuje: „Fakt uzgodnienia stanowisk między przedstawicielami Kościoła i Państwa jest wydarzeniem wielkiej wagi. W ogłoszonym tekście porozumienia Rząd gwarantuje poszanowanie praw Kościoła i jego instytucji, Episkopat zaś stwierdza swą lojalność wobec władzy państwowej. Wierzymy, że układ ten wraz z jego realizacją stanowić będzie ważny etap w dziele stabilizacji stosunków w Polsce".

W ten sam sposób ocenią porozumienie liczni duchowni i działacze katoliccy w Polsce. Ks. dr. Tadeusz Kruszyński oświadczył: „Od dawna już uważałem, że powinno dojść do porozumienia pomiędzy Radą RP, a przedstawicielami Kościoła w Polsce". Prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Andrzej Wojtkowski stwierdził, że porozumienie „wzmacnia jedność w narodzie przyczynia się do wzrostu potęgi Państwa, a tym samym i all pokojowych na świecie".

Katolickie „Słowo Powszechne" pisze w numerze sobotnim: „Wszystkie złożone stałi prospacondowe na zawarty układ świadczą najlepiej o jego wielkim znaczeniu. Stał się on bowiem dla kierowniczych ośrodków katolicyzmu przysiowową kością w gardle".

19 punktów porozumienia jasno precyzuje stanowisko, na której zostało ono zawarte oraz określa zobowiązania wynikające z tego porozumienia.

Rząd Polski Ludowej niejednokrotnie w ciągu minionych lat dawał wyraz swej konsekwentnej politrze w sprawach Kościoła, a jego stosunek do zagadnień wiary i duchowieństwa świadczył o szczerych intencjach uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem w duchu rzetelnej troski o dobro publiczne. W ciągu pięciu lat odbudowano w Polsce setki kościołów, swobodnie rozwijało się życie religijne, nauka religii była i jest wykładana w szkołach, prasa katolicka korzysta z pełnych uprawnień.

Tak było w minionym okresie i tak będzie nadal, gdyż Rząd nigdy nie zamierzał i nie zamierza naruszać swobód religijnych obywateli.

Episkopat, w myśl porozumienia, zobowiązał [illegible] do [illegible] pracy [illegible] dobrobytu

Episkopat, w porozumieniu zawartym 14 kwietnia, stwierdził, że Kościół potępiający zgodnie ze swymi zasadami każdą zbrodnię, zwłaszcza będzie zbrodniczą działalność band podziemnych, piętnuje i karze kanonicznymi tych duchownych, którzy byliby zamieszani w jakiekolwiek wystąpienia antypaństwowe i antypaństwowe.

W granicach sobie dostępnych, Episkopat będzie występował przeciwko wrogiej Polsce działalności, a zwłaszcza przeciwko antypolskim i rewizjonistycznym wystąpieniom części kleru niemieckiego.

Wagę tego punktu zrozumiemy, jeśli sobie przypomnimy, jak aktywną rolę grają w rozpętywaniu zawodzeniu i rewizjonizmu niemieckiego liczni duchowni niemieccy z kardynałami Frings em i Preysingiem na czele, którzy działalność swą rozciągają nie tylko na Niemcy zachodnie, ale i na Amerykę i inne kraje, korzystając w tym względzie z niemałego poparcia Niemców, zajmujących kierownicze stanowiska w aparacie Watykanu.

Na specjalną uwagę zasługuje trzeci punkt porozumienia. Episkopat wychodząc z założenia, że Ziemie Zachodnie stanowią nieodłączną część Rzeczypospolitej, że wymagają tego wszystkie przesłanki ekonomiczne, historyczne, kulturalne i religijne oraz sprawiedliwość dziejowa, postanowił zwrócić się do stolicy apostolskiej, aby dotychczasowe administracje kościelne, działające na stałe ordynariaty biskupie, zostały przekształcone na stałe ordynariaty biskupie.

Ludność Ziem Zachodnich, jak i cały naród polski, który przez pięć lat uczynił wielki wkład w dzieło odbudowy i zagospodarowania ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, przyjęli tę decyzję Episkopatu polskiego, decyzję, zapowiadającą, że Kościół na swym odcinku dokona tego, co w innych dziedzinach nasze go życia stało się już faktem dokonanym.

Doniosłe znaczenie ma również punkt, w którym Episkopat zobowiązuje się wyjaśniać duchowieństwu sens polityki państwowej oraz dążeń mas chłopskich w dziedzinie rozbudowy spółdzielczości wiejskiej.

Episkopat wzywa duchowieństwo do nieprzerwanego wyjaśniania się rozbudowie spółdzielczości wiejskiej.

Episkopat przyjmuje ogólną zasadę, że uznając najwyższy autorytet papieża w sprawach wiary, moralności oraz jurysdykcji kościelnej, we wszystkich innych sprawach będzie się kierował polską racją stanu.

Z tych wszystkich postanowień, które jasno precyzują stanowisko Episkopatu polskiego w zasadniczych sprawach, dotyczących naszego życia [illegible] ciu, wypływa logicznie postanowienie końcowe: Episkopat będzie popierał wszystkie wysiłki, zmierzające do utrwalenia pokoju, oraz będzie się przeciwstawiał wszelkim dążeniom do wywołania wojny.

Zobowiązania ustalone w porozumieniu niewątpliwie stanowią decydujący moment w rozwoju stosunków między Państwem a Kościołem, stanowią jeden krok naprzód w konsolidacji naszego społeczeństwa, krok, który przybliży nas do dalszego wzmocnienia naszej ojczyzny, a tym samym do wzmocnienia i wzrostu [illegible] postępu i pokoju.

Artykuł z „Trybuny Robotniczej" o porozumieniu między państwem a Kościołem FOT. DOMENA PUBLICZNA

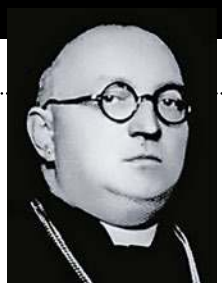
Wbrew nadziejom prymasa utworzenie Komisji niewiele w rzeczywistości zmieniło w stosunkach państwa z Kościołem. Władze zaś uzyskały platformę do stałego nacisku na hierarchów i przypominania o swoich żądaniach. Co więcej, komuniści w dalszym ciągu wydawali kolejne antykościelne regulacje i prowadzili wzmożoną działalność wymierzoną w duchowieństwo. W styczniu 1950 r. dokonali zaboru Caritasu, najważniejszej charytatywnej organizacji kościelnej. W obliczu tych wydarzeń i nasilających się represji (takich jak choćby tymczasowe aresztowanie 14 lutego bp. Kazimierza Kowalskiego, ordynariusza chełmińskiego) nic nie zapowiadało, że porozumienie z władzami uda się osiągnąć. Mimo agresywnych działań komunistów biskupi na czele z abp. Wyszyńskim zdecydowali się kontynuować rozmowy, równocześnie domagając się zarządzeń zmierzających do odprężenia napiętej sytuacji. Prymas w czasie obrad episkopatu z 2 marca podkreślał, że uzgodnione „Porozumienie" będzie dokumentem, do którego Kościół będzie mógł się odwoływać w razie kryzysowych sytuacji czy dalszych wymierzonych w niego represji.

Biskupi o warunkach modus vivendi z władzami dyskutowali w czasie obrad plenarnych episkopatu z 3 kwietnia. Nie byli zgodni, czy zawarcie wiążącej umowy to właściwy krok. Przekonała ich dopiero zdecydowana argumentacja abp. Wyszyńskiego. Prymas w swoich notatkach podkreślał: „[…] w chwili koniecznej decyzji, gdy episkopat był niezdecydowany, rzuciłem na szalę dyskusji własną formację umysłową, z jej cechami i brakami. I ona zdecydowała w czasie konferencji episkopatu, w obecności kard. Sapiehy, że »Porozumienie« zawrzeć trzeba". Z takim stanowiskiem zgodzili się niemal wszyscy biskupi; padł jeden głos sprzeciwu. Do dziś nie udało się ustalić, kto z hierarchów go oddał, można przypuszczać, że był to bp. Czesław Kaczmarek, który prezentował najbardziej antykomunistyczne stanowisko.

Dokument regulujący stosunki państwo – Kościół, określony mianem „Porozumienia", został ostatecznie podpisany 14 kwietnia 1950 r. Wspomniany akt był z wielu powodów istotny, również ze względu na odcięcie się episkopatu od walki zbrojnej prowadzonej w dalszym ciągu przez niepodległościowe podziemie (choć dodać trzeba, że były to już wówczas tylko pojedyncze oddziały). Biskupi zobowiązali się także do nieprzeszkadzania w kolektywizacji rolnictwa, a także zadeklarowali, że będą piętnować „bandytyzm" – pod tym określeniem kryły się działania organizacji antykomunistycznych (stosunek prymasa do działalności oddziałów leśnych był dość krytyczny; hierarcha uważał, że jest to beznadziejna walka skazana na porażkę).

Władze z kolei zadeklarowały poszanowanie zasady władzy papieskiej nad polskim Kościołem (w kwestiach wiary i moralności), niezwalczanie obecności Kościoła w szkołach oraz zwrot części odebranych wcześniej tzw. dóbr martwej ręki. Tej ostatniej kwestii prymas nie uważał za istotną. W jego przekonaniu paradoksalnie odebranie własności

eprasa.pl 0b86cb3ec7


Edward Ochab, biskupi Tadeusz Paweł Zakrzewski i Michał Klepacz

FOT. WIKIPEDIA, NAC

ziemskich przyniosło korzystny efekt, gdyż księża skupili się przede wszystkim na pracy duszpasterskiej. Tak to tłumaczył na kartach swojego dziennika: „Nie domagamy się zwrotu majątków kościelnych, ich strata stanowi dobrodziejstwo. Księża przestają być latyfundystami, są bliżej ludu".

Aprobata papieża

Wbrew temu, co twierdzi wielu badaczy, celem prymasa, gdy episkopat negocjował, a następnie podpisywał porozumienie, nie było odsunięcie w czasie represji antykościelnych, ale całościowe ułożenie stosunków Kościoła z państwem. Wpisywało się to w przekonanie abp. Wyszyńskiego, że w niektórych sferach publicznej aktywności kooperowanie z władzami jest nieodzowne. Prymas tłumaczył to w czasie obrad plenarnych episkopatu w Gnieźnie w dniach 21–22 kwietnia 1950 r.

Dodawał także: „Stanowisko Episkopatu było jasne – Episkopat miał obowiązek i chciał ratować Kościół – jeżeli Rząd chciał rozmawiać i dążył do jakiegoś porozumienia, to odrzucenie takiej oferty nie byłoby zgodne ze stanowiskiem Kościoła; Stolica Apostolska pozostawiła Episkopatowi dużą swobodę – Watykan nie chciał nas krępować – Stolica Apostolska była informowana o toku rozmów, a będąc informowana, nie wniosła sprzeciwu; Episkopat nie widział możliwości stałego układu i ratował, co mógł; wobec braku warunków na stałe uregulowanie stosunków Episkopat do pewnego stopnia stworzył Stolicy Apostolskiej wygodne stanowisko – »zawarte porozumienie« będzie sprawdzianem, czy możliwe jest w naszej rzeczywistości dalsze normowanie stosunków".

Biskupi jednogłośnie postanowili skierować do wiernych komunikat, w którym akcentowali potrzebę zawarcia modus vivendi z władzami. W dokumencie datowanym na 22 kwietnia 1950 r. (i ogłoszonym 8 dni później) podkreślali, że mimo niedających się usunąć ideologicznych różnic należało uzgodnić najważniejsze dla polskiego narodu kwestie. Zwracano uwagę przede wszystkim na zabezpieczenie nauczania religii w szkołach oraz zapewnienie ścisłej łączności polskiego Kościoła ze Stolicą Apostolską. Równocześnie ordynariusze zgodnie z postanowieniem obrad KPE mieli za zadanie wyjaśnić duchowieństwu powody zawarcia „Porozumienia" oraz ustnie zakazać im wszelkiej aktywności politycznej (szczególnie konspiracyjnej), a także sprawić, „by na ambonie unikano wszelkich tematów politycznych i wszelkich zadrażnień". Chodziło o zabezpieczenie kapłanów przed represjami ze strony władz.

Inną ważną przesłanką do zawarcia porozumienia były pewne złudzenia prymasa związane z osobą Bolesława Bieruta i przekonanie, że możliwy jest system komunistyczny w Polsce bez antykatolickiego, a szerzej patrząc – antyreligijnego komponentu. Prymas uważał także, że gdyby nie nacisk Sowietów, rząd Polski „ludowej" nie prowadziłby walki z Kościołem. Arcybiskup Wyszyński aż do swojego uwięzienia uważał pierwszego sekretarza KC PZPR za patriotę, któremu leży na sercu dobro Polski, choć widzi je inaczej niż katolicy. Elementem tego sposoby myślenia było głosowanie na Bieruta podczas wyborów z 1952 r.

Porozumienie początkowo wywołało zdziwienie Stolicy Apostolskiej, a zwłaszcza Sekretariatu Stanu (i to mimo faktu, że prymas informował o negocjacjach Watykan). Dyplomatycznie określono, że Kościół katolicki w Polsce poszedł na zbyt daleko idące ustępstwa. Wydaje się, że chodziło przede wszystkim o samo określenie umowy między państwem a Kościołem mianem „Porozumienia" (accordo), a do podpisania tego typu umowy ma prawo wyłącznie Stolica Apostolska. Zaskoczony jego zawarciem był także kard. Sapieha, przebywający wówczas w Watykanie. Metropolita krakowski był zwolennikiem przeciągania rozmów i niezawierania wiążącego porozumienia, mimo to bronił w Rzymie działań abp. Wyszyńskiego. Wszystkie wątpliwości Watykanu, zwłaszcza te związane z podejrzeniami o sprzyjanie komunistom, prymas osobiście wyjaśnił w 1951 r. papieżowi Piusowi XII. Uzyskał wówczas pełną aprobatę dla swoich działań, mimo nieprzychylnych komentarzy płynących z watykańskiego Sekretariatu Stanu.

Kres złudzeń

Podpisane porozumienie, jak dość szybko się okazało, nie spełniło nadziei pokładanych w nim przez prymasa i episkopat. Niemal żadne zadeklarowane w nim zobowiązanie strony rządowej nie zostało dotrzymane. Już 19 kwietnia 1950 rząd powołał Urząd do Spraw Wyznań, który miał za zadanie prowadzić oficjalną politykę władz wobec Kościoła (uzupełniając tajne działania bezpieki). W czerwcu biskupi pod presją władz zostali zmuszeni do poparcia Apelu Sztokholmskiego o pokój, który był elementem propagandy bloku sowieckiego. Był to jednak zaledwie początek wymierzonych w Kościół represji i żądań wysuwanych pod jego adresem, z którymi prymas musiał sobie radzić przez kolejne trzy lata.

Koncepcji, że z władzami komunistycznymi należy rozmawiać oraz stale odwoływać się do litery „Porozumienia", prymas trzymał się konsekwentnie aż do swojego aresztowania w nocy z 25 na 26 września 1953 r. Inne uzasadnienie hierarcha przedstawił po latach w Zapiskach więziennych, sugerując, że zawarcie umowy z komunistami służyło głównie do powstrzymania antykościelnej ofensywy: „Cały rozwój przemian społecznych może doprowadzić do konfliktu: chrześcijaństwo – bezbożnictwo. By jednak ten konflikt nie zastał nas nieprzygotowanych, trzeba zyskać czas, by wzmocnić siły do obrony bożych pozycji. […] Wydało mi się, że ułożenie kliku punktów tego modus vivendi jest możliwe i niezbędne, jeśli Kościół nie ma stanąć w obliczu nowego – może i drastycznego w formach wyniszczenia". Szczęśliwie po okresie uwięzienia prymas wyzbył się jakichkolwiek złudzeń co do systemu komunistycznego, dzięki czemu po 1956 r. stał się bardzo skutecznym przywódcą nie tylko Kościoła, ale i narodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Polska kawaleria
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zbrodnia katyńska / Oficerowie największego męstwa

Trzech z VM



Marek Gałęzowski

Każdy bił bolszewików 20 lat wcześniej. W 1939 r. dostali się do ich niewoli i stali się ofiarami ludobójczego mordu

Jeden z ostatnich walczących jeszcze oddziałów Wojska Polskiego, pod dowództwem płk. dypl. Tadeusza Zieleniewskiego, dążąc na południe kraju, w rejonie Janowa Lubelskiego znalazł się w kleszczach między Niemcami a Sowietami. Stoczywszy najpierw walki z Wehrmachtem, a później wyczerpawszy amunicję w ciężkim, okupionym stratami z obu stron boju z Armią Czerwoną pod Krzemieniem, rankiem 1 października 1939 r. musiał się poddać. Powstał jednak dylemat, przed kim kapitulować.

Pułkownik dyplomowany Władysław Płonka, dowódca grupy „Chełm", która jako jedyna w zgrupowaniu Zieleniewskiego nie starła się z wojskami sowieckimi, przekonywał, że należy złożyć broń przed nimi, zwłaszcza że dowódca bolszewicki zaręczył, iż po „rejestracji" jeńcy zostaną zwolnieni. Do tego zdania przychylili się pozostali oficerowie. Wiosną następnego roku – dokładnie 80 lat temu – płk dypl. Płonka wraz z tysiącami innych oficerów WP służby czynnej i rezerwy, wśród których wielu podobnie jak on było kawalerami najwyższego polskiego odznaczenia wojskowego, został zgładzony przez NKWD.

Legionowy ułan

Rodowód tego pochodzącego spod Limanowej absolwenta gimnazjum przyrodniczego w Stanisławowie przypominał genezę licznych oficerów WP, urodzonych w latach 90. XIX stulecia. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny 19-letni Władysław Płonka wstąpił do powstających Legionów Polskich. Najpierw służył w 2. pp późniejszej II Brygady i wziął udział w ciężkich bojach karpackich. Kontuzjowany nie wrócił już do piechoty. Przeniesiony do nowo utworzonego szwadronu ułanów rtm. Józefa Dunina-Borkowskiego przeszedł z nim resztę legionowego szlaku. I z kawalerią związał całą swoją dalszą wojskową drogę.

Kiedy w końcu 1918 r. Dunin-Borkowski objął dowództwo 9. pułku ułanów, pod jego komendą znalazł się ponownie także Płonka. Uczestniczył w ciężkich walkach z Ukraińcami na linii kolejowej Przemyśl – Lwów, ale przede wszystkim wyróżnił się w czasie wojny z bolszewikami: „Wybitnie odważny i doskonały bojowo oficer, dwukrotnie ciężko ranny. Odznaczył się, dowodząc szwadronem przy pozostałej na froncie grupie [...] w zdobyciu Smolawy, niespodziewaną szarżą w nocy. Smolawa zajęta była przez dwa pułki konnicy bolszewickiej. Rtm. Płonka wpadł niespodziewanie do środka wsi, wzniecił panikę i zmusił wroga do bezzwłocznej ucieczki. Po raz wtóry, ranny w szarży pod Antonówką, osłaniał odwrót dywizji". Ten wniosek o odznaczenie Virtuti Militari podpisał już nowy dowódca pułku, który zastąpił poległego w walkach z bolszewikami ppłk. Dunina-Borkowskiego. Był nim rtm. Tadeusz Komorowski, w polskich dziejach bardziej znany jako gen. „Bór", dowódca armii podziemnej.

Po zakończeniu wojny przez wiele lat Płonka służył w macierzystym pułku, a w tym czasie ukończył Wyższą Szkołę Wojenną. Mianowany w 1937 r. pułkownikiem został dowódcą 22. pułku ułanów Kresowej Brygady Kawalerii i wraz z nim dwa lata później wyruszył na wojnę z Niemcami. Na czele swoich ułanów

eprasa.pl 0b86cb3ec7


Stanisław Hejnich FOT. WIKIPEDIA


Władysław Płonka FOT. WIKIPEDIA/CAW

bił się nad Wartą, by później w odwrocie dołączyć do grupy kawalerii gen. Władysława Andersa. Utraciwszy z nią kontakt, 23 września 1939 r. włączył pod swoje rozkazy kilka mniejszych oddziałów i utworzył grupę „Chełm", która weszła w skład zgrupowania płk. dypl. Zieleniewskiego (także zresztą dawnego legionisty).

Dlaczego płk dypl. Płonka, który tak świetnie się bił z bolszewikami prawie 20 lat wcześniej, teraz decydował się im poddać? Nie było to spowodowane owym uniemożliwiającym opór paraliżem woli, który charakteryzował wielu wobec nowego agresora, na co tak często zwracali uwagę Jerzy Łojek i Ryszard Szawłowski. Gdy żołnierze płk. dypl. Płonki zadali Niemcom dotkliwe straty, ci zaczęli się mścić na ludności cywilnej, mordując grupę mieszkańców Janowa Lubelskiego. Zbrodnia niemiecka była powodem tego, że – jak pisał Janusz Wielhorski – dalszego boju „nie można nazwać »walkami w rękawiczkach«". I przede wszystkim to wpłynęło na decyzję pułkownika, by poddać się Armii Czerwonej. Tym bardziej że podczas ostatniej odprawy wyraził przekonanie, iż „bolszewicy dzisiejsi to regularna armia, a nie hołota jak w 1920 r.".

Może najlepszym świadectwem, że przekonanie to należało wówczas do rozpowszechnionych, była decyzja Jana i Kazimierza Piłsudskich, braci marsz. Józefa Piłsudskiego, o pozostaniu w Wilnie; Jan przypuszczał, że największą represją, jaka może go spotkać, było wysiedlenie z miasta. Obaj zostali aresztowani i zesłani, a Jan Piłsudski, wycieńczony pobytem w ZSRS, zmarł jeszcze w 1941 r., wkrótce po zwolnieniu.

Pierwszy w bitwie

W niewoli sowieckiej znaleźli się także oficerowie rezerwy, z których wielu miało wybitne zasługi w zwycięstwie nad bolszewikami 1920 r. Tacy jak kpt. Karol Katz, o którym jego przełożeni pisali, że w bitwie był zawsze pierwszy. Uważany był przez swojego dowódcę z 38. pp za bardzo dobrego, odważnego, energicznego, samodzielnego i sumiennego oficera.

Po maturze Katz studiował chemię we lwowskiej szkole politechnicznej, ale szybko został zabrany do armii austriackiej. Wróciwszy do kraju po rozpadzie Austro-Węgier, wstąpił do WP, do 38. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich. „Podporucznik Katz [...] brał udział we wszystkich walkach pułku, w każdej dając dowody dzielności, zimnej krwi, szybkiej orientacji i samodzielności", najpierw podczas wojny polsko-ukraińskiej, następnie jako dowódca kompanii z bolszewikami na froncie litewsko-białoruskim. I tam wielokrotnie odznaczył się męstwem. „W dniu 4 lipca br., tj. w czasie przełamania frontu nad rzeką Lutą, z rewolwerem w ręku nie pozwala ani jednemu żołnierzowi ze swojej kompanii odejść, broni się do ostatniego naboju i dopiero okrążony i bez amunicji decyduje się na odwrót. Tym ratuje resztę pułku, bo całą uwagę nieprzyjaciela zatrzymał na sobie. Otoczony ze wszystkich stron przebija się przez pierścień kawalerii nieprzyjacielskiej i zajmuje pozycje pod wsią Szczerby".

Po zwycięskiej Bitwie Warszawskiej i rozpoczęciu kontrofensywy we wschodniej części byłego zaboru austriackiego we wszystkich walkach wykazał „wprost nieprawdopodobną odwagę i pogardę śmierci. [...] Szczególną odwagą wyróżnił się pod Bełzem, gdzie ratuje baon od niechybnej klęski: bolszewicy wpadli do miasta niespodzianie – por. Katz wtedy z okrzykiem »Za mną chłopcy!« rzuca się naprzód i tym sprawił, że nieprzyjaciel umknął w popłochu. W ostatnich walkach pod Nowokonstantynowem por. Katz na czele swej kompanii atakuje pierwszy i pierwszy wchodzi do miasta. We wszystkich walkach z szalenie zimną krwią [jest] wprost ubóstwiany przez swoich żołnierzy". Szczególnym męstwem wyróżnił się w akcji zaczepnej, przeprowadzonej 23 sierpnia 1920 r. na Mosty Wielkie (wówczas powiat sokalski, obecnie obwód lwowski na Ukrainie): „W trakcie ataku podporucznik Katz wraz z kompanią natrafił na teren bagnisty, dostając się równocześnie pod silny ogień karabinów ręcznych i maszynowych nieprzyjacielskich na odległość 800 kroków. Podporucznik Katz bez utraty zimnej krwi energicznym rozkazem i swoim przykładem porwał kompanię naprzód [i] pomimo silnego ognia nieprzyjacielskiego, prąc ciągle naprzód, przebył teren bagnisty, zajął pozycje bolszewickie, zdobywając jeden km i kilku jeńców. Swoim zachowaniem się podporucznik Katz prawie bez strat przyczynił się do szybkiego zajęcia Mostów Wielkich, w ogóle do zwycięstwa, jakie odniósł wówczas 38 pp".

Za te czyny został odznaczony Virtuti Militari. Wniosek ten poparli wśród innych oficerów gen. Władysław Jędrzejewski i gen. Józef Haller. „Pierwszy w ataku, ostatni w odwrocie. Podczas odwrotu z Litwy kompania jego zachowała największy stan bojowy mimo ciągłego trwania w ogniu, dzięki jedynie zimnej krwi, zdolnościom wojskowym oraz pełnemu poświęceniu się por. Katza" – tę opinię można uznać za najlepszą wizytówkę jego udziału w zmaganiach o wschodnią granicę państwa polskiego.

Wyrazem uznania było też objęcie przezeń dowództwa batalionu w 38. pp. Nie wiązał jednak swoich losów z czynną służbą wojskową. Wrócił na studia, a ukończywszy chemię na Politechnice Lwowskiej, do wybuchu kolejnej wojny pracował jako inżynier w Karpackiej Stacji Geologicznej w Borysławiu; napisał trzy rozprawy, m.in. „Analizy wgłębnych i wód rzecznych regionu Borysławskiego". Jako oficer rezerwy pozostawał początkowo w 38. pp, mianowany kapitanem. „Bardzo dobry oficer, obowiązkowy, dbały o żołnierza, o wielkiej ambicji i obyciu towarzyskim [...]. Inteligentny, dobrze orientujący się [...]. Pełen samodzielności, odwagi, zachowanie się

eprasa.pl 0b86cb3ec7

pewne jako dcy [dowódcy] w boju [...]. Pod każdym względem b. dobry i inteligentny oficer" – pisano w opinii z 1923 r., podkreślając również duże zdolności organizacyjne, pracowitość, energię, inicjatywę oraz bardzo dobre zachowanie w służbie i poza nią: „bardzo przykładne – koleżeńskie, dla żołnierzy ojcowskie".

Na początku lat 30., w związku ze swoim wykształceniem, został przydzielony do 4. batalionu saperów. W styczniu 1939 r. batalion ten przekształcono w 4. pułk saperów. Kapitan Katz został najpewniej zmobilizowany i wziął udział w wojnie z Niemcami w jednej z jednostek sformowanych w ramach tego pułku. Wzięty do niewoli sowieckiej został uwięziony w obozie w Kozielsku i wiosną 1940 r. zamordowany w Katyniu.

Coś więcej do uratowania...

Grupa kawalerii gen. Andersa 23 września 1939 r. przedarła się pod Krasnobrodem przez niemieckie okrążenie. Otwarciem drogi pod Broszkami „pokierował gen. Anders osobiście, co pozwoliło mi podziwiać go jako dowódcę. Ogniem umiejętnie pokierowanej baterii przygwoździł Niemców, po czym rzucił do natarcia w pierwszej linii w szyku pieszym 26. p. uł., a za nim nasz. Wieś została zdobyta, nieprzyjaciel rozbity i odrzucony, a my, przebiwszy się w ten sposób, mogliśmy kontynuować marsz na południe" – pisał uczestnik boju mjr Michał Tadeusz Brzęk-Osiński.

Tym pułkiem, idącym w awangardzie ułanów gen. Andersa, dowodził płk Ludwik Schweitzer, a jego zastępcą był mjr Stanisław Tadeusz Hejnich, starszy o rok od Płonki i Katza. Wywodził się z Kielecczyzny, ale uczył się w szkole realnej w Winnicy i po wybuchu pierwszej wojny został wcielony do armii rosyjskiej. Po jej rozpadzie w 1917 r. dotarł do III Korpusu Polskiego i służył w nim aż do jego rozwiązania.

W czasie wojny z bolszewikami był szefem szwadronu 201. pułku szwoleżerów. 11 sierpnia 1920 r., „w nocy, pod naporem nieprzyjaciela, oddziały piechoty cofnęły się, nie powiadamiając o tym szwadronu. Wioska [Międzylesie], w której odpoczywał szwadron, została okrążona i zaatakowana. W sytuacji beznadziejnej, nie dysponując żadnym kaemem, por. Hejnich zebrał szwadron i zaatakował linię bolszewicką, przerwał pierścień, ocalając szwadron i garść piechoty, która pozostała we wsi". Później odznaczył się w słynnym wypadzie kawaleryjskim na Korosteń, kiedy jego „pułk został zaatakowany pod wsią Białka. Por. Hejnich z rkm kilkakrotnie podchodził pod okopy nieprzyjaciela, »oczyszczając je«, w końcu sam się w nich ulokował i mimo kilkakrotnych kontrataków pozycję utrzymał". Te czyny dały mu Virtuti Militari.

Po zakończeniu wojny służył jako rotmistrz w 3. pułku szwoleżerów i kawalerii brygady KOP „Grodno". Mianowany w 1931 r. na stopień majora został przeniesiony na stanowisko kwatermistrza 4. pułku ułanów Zaniemeńskich, zaś rok przed wybuchem wojny objął funkcję zastępcy 26. Pułku Ułanów Wielkopolskich im. Hetmana Jana Karola Chodkiewicza, przydzielonego do Nowogródzkiej Brygady Kawalerii gen. Andersa. We wrześniu 1939 r. wraz z nim wyruszył do boju z Niemcami.

Kiedy ułani gen. Andersa, pobiwszy Niemców, parli dalej ku Węgrom, drogę do granicy zablokowała Armia Czerwona. 27 września w okolicach Sambora, w pobliżu wsi Władypol, natknął się na nią idący w awangardzie 26. Pułk Ułanów. Jak pisał Wiktor K. Cygan, mjr Hejnich „rozwinął pułk w kolumny szwadronów" i maszerował ku Władypolowi. Zastępujący mu drogę Sowieci zajęli pozycję nad rzeczką Błażenką Nową, „ustawiając karabiny maszynowe i działka. Większość sił nieprzyjaciela pozostała w tyle za spieszonymi. Oficer operacyjny brygady rtm. Władysław Zgorzelski podjechał do mjr. Hejnicha, wołając, aby ten szarżował. Między dwoma oficerami wywiązała się krótka ostra wymiana słów, po czym mjr Hejnich zatrzymał pułk". Generał Anders liczył na możliwość wolnego przejścia do granicy, ale Sowieci odpowiedzieli ostrzelaniem wysłanego przezeń parlamentariusza, a następnie ułanów Hejnicha, który zarządził cofnięcie swojego pułku do Woli Sadkowskiej. Wkrótce wywiązała się tam, a także na skraju lasu rajtarowickiego i pod Władypolem bitwa z czerwonoarmistami, przeważającymi liczebnie i wspieranymi przez broń pancerną. Polacy nie dali się rozbić, ale jako zwarta jednostka nie byli już w stanie się przebić przez sowiecki mur.



Krzyż srebrny Orderu Virtuti Militari
FOT. DESA

Wedle płk. Schweitzera mjr Hejnich miał polec w czasie walki w lasach rajtarowickiech. Jego losy były jednak inne. Otóż po nierozegranym boju z Armią Czerwoną gen. Anders zdecydował o rozwiązaniu swoich pułków i przedzieraniu się ku granicy w małych grupach. W jednej z nich, liczącej 10 oficerów i podoficera, był także mjr Hejnich. Po trzech dniach wędrówki po górskich bezkresach, skrajnie wyczerpani, zostali schwytani przez lokalną bojówkę ukraińską; wszystkich odstawiono do Sambora i oddano w ręce sowieckie. O dalszych losach mjr. Stanisława T. Hejnicha wiadomo, że został zamordowany wiosną następnego roku w Bykowni, dziś leżącej w granicach aglomeracji miejskiej stolicy Ukrainy – Kijowa.

Uderzająca i godna podziwu jest determinacja tych oficerów, by przedrzeć się na Węgry. Odpowiedź o jej powody znajduje się w słowach gen. Władysława Andersa, który również dostał się wtedy do niewoli sowieckiej: „My tu mamy do uratowania coś więcej jeszcze. Wojna na Zachodzie dopiero się zacznie, będzie długa i wierzymy, że zwycięska, ale nie może się ona toczyć dalej bez naszego w niej udziału. I dlatego trzeba z tej katastrofy wyprowadzić, kogo się tylko da, aby odtworzyć u boku sprzymierzonych nasze siły zbrojne".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Józef Mackiewicz i jego słynne słowa
FOT. SŁAWEK KASPER/IPN



Tomasz Kornaś

W Roku Józefa Mackiewicza najciszej było o tym, co najważniejsze – o nowych tomach dzieł pisarza

Józef Mackiewicz / Nowe tomy dzieł pisarza

Nie trzeba mówić głośno?

U części fascynatów pisarstwa autora „Kontry" zauważyć można było pewien rodzaj ekscytacji, radości, że oto Sejm RP uroczyście uchwalił, iż jednym z patronów 2022 r. będzie Józef Mackiewicz, „jeden z największych w dziejach pisarzy polskich". Nie podzielałem tej radości, nie spodziewając się, żeby uchwała sejmowa mogła mieć jakiekolwiek realne skutki dla rozpropagowania czy zrozumienia twórczości autora „Drogi donikąd". Mój sceptycyzm się wzmógł, kiedy przeczytałem uchwałę. Akt ten był pełen błędów, nieścisłości, nieprawd.

Autorzy rezolucji nie wiedzieli np., gdzie Mackiewicz spędził okupację sowiecką 1940–1941 (wskazano Wilno zamiast Czarnego Boru), przekręcili nazwę periodyku, w którym pisarz publikował po wojnie („Wilno i Lwów" zamiast „Lwów i Wilno"), powieść „Nie trzeba głośno mówić" i zbiór opowiadań „Ściągaczki z szuflady Pana Boga" zakwalifikowali do działu „Eseje i publicystyka", uznali, że „Droga donikąd" powstała nie wcześniej niż w 1956 r. (napisana została kilka lat wcześniej, a wydana w 1955 r.), podali, że setna rocznica urodzin pisarza (rok urodzenia: 1902) przypada na rok 2022. W debacie sejmowej jeden z posłów (litościwie pominę personalia) obwieścił, że Józef Mackiewicz był… poetą.

W uchwale stwierdzono, że poznanie jego twórczości „stało się możliwe dzięki rozwojowi wydawnictw drugiego obiegu", słowem nie wspominając o wydawaniu od półwiecza przez londyńską Kontrę książek pisarza, które były podstawą przedruków nakręcających koniunkturę na jego książki. Żona Mackiewicza, też świetna pisarka – Barbara Toporska – pisała w 1984 r. do Janusza Kowalewskiego: „My musimy być im [Ninie Karsov i Szymonowi Szechterowi, właścicielom wydawnictwa Kontra] wdzięczni za przerwanie emigracyjnej cenzury, która nie dopuszczała szmuglu książek Józefa do PRL. To się skończyło pod naciskiem »popytu«, ale ów popyt stworzyli Szechterowie, przemycając te książki za darmo".

Kiepski to był zatem początek całej inicjatywy. Potem było różnie. Pojawiło się trochę artykułów w prasie i audycji radiowych, lepszych lub gorszych; Poczta Polska wypuściła znaczek z podobizną pisarza, TVP zorganizowała teleturniej wiedzy o pisarzu, podczas którego prof. Kazimierz Maciąg przekonywał, że rzekomo książki Mackiewicza są trudno osiągalne; w Sejmie odbyła się konferencja, na której prof. Andrzej Nowak zadziwił stwierdzeniem, że dzisiaj w wojnie Rosji z Ukrainą Mackiewicz zapewne optowałby za tą pierwszą…

Ale przecież rzeczą najważniejszą dla pamięci po wielkim pisarzu, dla recepcji jego twórczości, dla poznania meandrów jego losów, tak życiowych, jak i literackich, nie była ani uchwała, ani żadne przejściowe aktywności podejmowane w ramach „roku". Rzeczą najważniejszą były kolejne tomy jego dzieł. W minionym roku otrzymaliśmy tomy oznaczone liczbami 34 i 35. Oba zawierają listy pisarza (i Barbary Toporskiej) wymieniane z różnymi postaciami z kręgów pojałtańskiej emigracji. Listy te (w znakomitej większości) nigdy dotąd nie były publikowane. Tom 34 w całości zawiera korespondencję z Michałem Kryspinem Pawlikowskim, pisarzem, publicystą, autorem fantastycznej wspomnieniowej dylogii „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego"/"Wojna i sezon". Tom 35 („Wielka niewiadoma") to z kolei korespondencja z szeregiem bardzo różnych osób – z Czesławem Miłoszem, Sergiuszem Piaseckim, ze Zbigniewem Siemaszką, z Karolem Zbyszewskim i innymi, mniej lub bardziej znanymi postaciami z kręgów polskiej emigracji.

Wątków, tematów jest mnóstwo w tych niezwykle starannie wydanych tomach. Mamy tam i fakty i plotki, momentami są w tych zbiorach wręcz

eprasa.pl 0b86cb3ec7

mikroeseje, analizy historyczne, przywoływane są wspomnienia. Wartość tych nowych tomów polega na tym, że jeszcze lepiej, wyraźniej pozwalają Mackiewicza zobaczyć. Mackiewicza pisarza, Mackiewicza antykomunistę, Mackiewicza za swoją bezkompromisowość skazanego na ciągłe trudności w publikowaniu i, co za tym idzie, na biedę (pisał do Władysława Wińczy: „Reperowałem pończochy, żeby pisać dalej"), ale i Mackiewicza mającego – jak każdy – swoje sympatie i antypatie, słabości (zwierzał się np. Pawlikowskiemu, że mocno imprezował przed wojną). Kapitalna to lektura, i to nie tylko dla admiratorów autora „Lewej wolnej", lecz także dla wszystkich zainteresowanych historią, pojałtańską emigracją i jej literackim, politycznym, a nawet codziennym życiem.

Mackiewiczowska zaciekłość

Józef Mackiewicz był piewcą wolnego słowa – i takiego widać go przez pryzmat listów. Do Józefa Godlewskiego, przedwojennego senatora, pisał: „Jestem zawsze za wolnością słowa i wymianą poglądów. Tylko ona może do czegoś doprowadzić i stanowi o ciekawości życia". Z zasady nie oburzał się na krytykę, z zasady nie polemizował z recenzentami swoich książek, uważając, że ich świętym prawem jest tak, a nie inaczej, daną rzecz widzieć, interpretować, oceniać. Kiedy został pominięty w jednej z literackich antologii, oburzyło to część znajomych pisarza: że skandal, że niedopuszczalne, że trzeba protestować. Pojawił się wtedy pomysł listu otwartego, zbiorowego protestu wobec tego pominięcia. Ale to pominięcie nie oburzyło… Józefa Mackiewicza.

W liście do Pawlikowskiego (1964) zareagował tak: „Moja liberalna natura aż wzdryga się przeciwko tego rodzaju reakcji. Reprezentuję pogląd, że każdy ma prawo pisać, co chce, wymieniać albo pomijać, kogo chce, z pobudek, jakie chce. Takoż odwrotnie, każdy ma prawo mu to wytknąć, skrytykować, wykpić czy w inny sposób zaatakować". Świetna była też reakcja pisarza na oburzenie Pawlikowskiego, że poeta Józef Łobodowski nie zgłosił akcesu do Koła Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza: „Z jakiej racji właściwie ma podpisywać? Rzadko podzielam jego poglądy, a on moje".

Autor „Buntu rojstów", jako bezkompromisowy antykomunista, nie był przy tym człowiekiem zapiekłym, zasklepionym w świecie swoich poglądów i wyobrażeń – w tym sensie, że nie przekładały się one na stosunek do człowieka, do interlokutora. Przyjaźnił się z ludźmi, z którymi ideowo było mu mocno nie po drodze, lubił rozmawiać, dyskutować. A o swojej „zaciekłości", którą zarzucał mu Miłosz, w 1970 r. pisał do przyszłego noblisty, że jest to „jedynie zaciekłość w obronie wolnej myśli […]. Nigdy jednak zaciekłość w stosunku do ludzi i ludzkich motywów ich działania". Ten brak zaciekłości w stosunku do ludzi niepodzielających jego poglądów kapitalnie pokazuje Włodzimierz Sznarbachowski w swojej książce „300 lat wspomnień".

Sznarbachowski, przed wojną narodowy radykał, po wojnie PPS-owiec i pracownik rozgłośni Wolna Europa, kierowanej przez zdeklarowanego wroga autora, „Karierowicza", mimo radykalnej różnicy poglądów był nieraz serdecznie goszczony przez Mackiewiczów. Wspominał: „Ilekroć Mackiewiczowie zapraszali mnie do siebie na kolację, pan Józef witał mnie w przedpokoju nieodmiennie jednakowo: »A my Pana, Panie Włodzimierzu, pod stjenku postawimy«". Po tej żartobliwej deklaracji – jak wspominał Sznarbachowski – pani Barbara podejmowała podwładnego Jana Nowaka-Jeziorańskiego albo po „wileńsku" (barszcz czerwony z uszkami, kołduny), albo po „rzymsku" (spaghetti z sosem pomidorowym). Nie tylko Sznarbachowskiego Mackiewicz nie zamierzał stawiać pod stjenku, lecz także (jak pisał w jednym tekście) „Bieruta by nie wieszał", bo de facto nie on wydawał zbrodnicze rozkazy, on je jedynie wydawane przez Stalina wypełniał. Taka to była mackiewiczowska zaciekłość.

Mackiewiczowi wypominano, że zbyt ostro, zbyt szeroko, niemal wszędzie widział działania, widział postacie, które jego zdaniem obiektywnie przysługiwały się sprawie światowego komunizmu. Atakował – to fakt – papieży, kościelnych dostojników, „dysydentów", „demokratyczną opozycję". Często w ich słowach, deklaracjach, postępowaniu widział – nie zawsze uświadomione – sprzyjanie komunizmowi. Bywał podejrzliwy, ale jakżeż często słusznie! W 1955 r. pisał do Pawlikowskiego, że gazeta „Tygodnik" (naczelny – Jan Matłachowski) wydaje mu się opłacana przez bierutową ambasadę. Kilka lat później o chęć wydawania progomułkowskiego pisma oskarżył emigracyjnego wydawcę Bolesława Świderskiego. I oczywiście miał rację! Obaj byli – jak się po latach okazało – na liście płac u czerwonych.

Albo sprawa słynnego noblisty Aleksandra Sołżenicyna – Mackiewicz kilkakrotnie zgłaszał mocny sceptycyzm co do szczerości jego postawy, do jego antykomunizmu (nie odmawiając przy tym wielkiej wartości „Archipelagowi GUŁag"). Kazimierzowi Okuliczowi klarował w liście (1974), że przecież Sołżenicyn nie pali się wcale do szybkiego obalania komunizmu, że zaprzyjaźnia się z prokomunistą Heinrichem Böllem, a stanowczo unika rosyjskiej antykomunistycznej emigracji; że godzi się na cenzurę w Sowietach itp. Sceptycyzm wobec fetowanego na Zachodzie Sołżenicyna miał być dowodem na absolutną antykomunistyczną fobię Mackiewicza, niemal z całą emigracją był tutaj w sporze. Ale czyż i tu nie miał sporo racji? Przecież podobne wątpliwości (nawet ostrzej formułowane) zgłaszał choćby wybitny węgierski pisarz Sándor Márai. W dzienniku notował np.: „Sołżenicyn, podobnie jak Sacharow i większość inteligenckich dysydentów, nigdy nie krytykował komunizmu, z którego logicznie wynika całe to bezprawie, oni krytykowali zawsze tylko metody, »wypaczenia« komunizmu". W innym miejscu: „Sołżenicyn, ten nadmuchany literacki dysydent, podejrzany typ, siedzi w Szwajcarii, obficie się odżywia, utył".

Kapitalna jest historia sporu pisarza z ks. Walerianem Meysztowiczem, w której Mackiewicz pokazał niedzisiejszą klasę. Pisał do Pawlikowskiego (1970): „Mam taki śmieszny casus z ks. Meysztowiczem. Obraził się na mnie za »Lewą wolną«, a później za moje »antykatolickie« wystąpienia przeciwko Rubinowi et comp. […] Podał do publicznej wiadomości, że mojej książki »Zwycięstwo prowokacji« […] »nawet nie czytał« […]. Tymczasem niespodziewanie znalazłem jego list z 1963: »Kochany

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Panie Józefie, z największym zainteresowaniem przeczytałem «Zwycięstwo prowokacji»« – a dalej idzie cały memoriał, 5 stron maszynopisu, z oceną, analizą, pochwałą i polemiką". Mackiewicz zastanawiał się, jak zareagować; ostatecznie sprawy nie upublicznił, chociaż byłoby to w pełni zrozumiałe i uzasadnione – wszak ks. Meysztowicz deklarację o nieczytaniu książki złożył publicznie, otwartym tekstem napisał to w londyńskim „Dzienniku Polskim". Pisarz wysłał księdzu prywatny list, w którym przypomniał, że ten jednak „Zwycięstwo…" czytał. Meysztowicz odpisał: „[…] Dotąd nie zdawałem sobie sprawy że cierpię na tak silną amnezję: dowodem jej jest zupełne zapomnienie o przeczytanej przed sześciu laty książce […]. Jestem Panu wdzięczny, że Pan z mojej pomyłki, stawiającej mnie w nieprzyjemnym świetle, nie zrobił użytku".

Małżonkowie nie zawsze zgodni

Frapującym tematem, nadającym się na szersze opracowanie, jest kwestia różnic w poglądach, gustach literackich pomiędzy pisarzem a jego żoną Barbarą Toporską. Powszechnie dosyć uważa się (nie bez sporej dozy racji), że małżonkowie wyznawali podobne przekonania, byli nieprzejednanymi antykomunistami nieskorymi do rozumienia – a co dopiero do akceptacji – „realiów". Tak faktycznie było, ale te różnice między nimi, z rzadka uwypuklane (po trosze dlatego, że – niestety! – o Toporskiej mało się pisze) są przeciekawe. Zasygnalizuję tutaj dwie kwestie. Józef Mackiewicz ze swoimi poglądami, stosunkiem do wiary raczej nie nadaje się na sztandary jej obrońców. Autor „Kontry" zwierzał się w listach Pawlikowskiemu, że z Panem Bogiem jest na bakier, że w życie pozagrobowe gruntownie nie wierzy, bo wie na pewno, że nic nie ma, deklarował wprost, że nie lubi katolicyzmu. W tekstach, publicystyce Mackiewicza „niepolitycznych" wzmianek o wierze, o sacrum, niełatwo się doszukać.

U Toporskiej – inaczej. W swojej publicystyce nieraz zahaczała o te tematy, z ogromnym szacunkiem i wdzięcznością wspominała ojca – niewierzącego! – który ją wychowywał w wierze. Napisała przepiękny tekst o św. Marii Goretti, nieraz w jej artykułach przewija się szacunek dla wiary, dla chrześcijaństwa. W tekście „O racjonalizmie w wychowaniu" (1962) napisała: „Jeśli nawet przyjąć dzisiejszą tezę za ostateczną, że wszechświat powstał z wodoru i energii, to ciągle brakuje odpowiedzi, kto ten wodór stworzył i do kogo należała owa energia". Józef był przekonany, że po śmierci „na pewno nic nie ma", a Barbara z kolei pisała, że kocha pewność, iż pewnego dnia rozstanie się z tym wszystkim (w sensie – ze światem doczesnym) „dla czegoś zupełnie, zupełnie innego".

Wyraźnie dzieliły też małżonków niektóre czysto literackie kwestie. Barbara oprócz pisania powieści i artykułów do prasy emigracyjnej tworzyła też poezje, w 1973 r. wydała tom wierszy „Athene noctua". Tymczasem Józef wprost klarował np. Józefowi Godlewskiemu: „Na wierszach się nie znam i nigdy nie znałem". Toporska pisała do Wita Tarnawskiego: „Bardzo często bywały u nas w domu kłótnie literackie, gdy nie mogłam pojąć, jak Józef może odmawiać talentu Gombrowiczowi czy Straszewiczowi, uważać Kafkę za niezgułę itp.". Józef zaś o prozie Straszewicza pisał: „Dla mnie to bełkot", a o utworach Gombrowicza, że „zawierały często bełkot pozbawiony każdego sensu".

W obu nowych tomach wątków, tematów, historii jest ogrom; jedynie drobną ich część tutaj zasygnalizowałem. Nie wspomniałem choćby o – jakżeż ciekawych – listach wymienianych z Józefem Godlewskim, dotyczących zbrodni katyńskiej, starań o przekłady i rozpropagowanie katyńskiej książki Mackiewicza.

Teraz trzeba zadać – retoryczne niestety – pytanie. Jaka była – w Roku Józefa Mackiewicza! – recepcja tych tomów? Ile odbyło się dyskusji? Ile powstało tekstów analizujących czy to te najnowsze tomy, czy może całą serię dzieł pisarza, ukazującą się od 30 już lat? Cisza, zupełna niemal cisza! Na olbrzymi szacunek zasługuje dr Paweł Chojnacki, który niestrudzenie, z oddaniem, w wielu miejscach propaguje, omawia, recenzuje, przybliża kolejne tomy Mackiewicza. Ale – jest w tym praktycznie sam. W jednym z tekstów napisał wręcz, że nowe tomy Mackiewicza (osiem tomów w ciągu trzech lat!) doświadczają powszechnego ignorowania.

Mackiewicz nie śpi i czuwa

Nieszczęściem, problemem, trudnością naszej polskiej, współcześnie definiowanej tożsamości jest okoliczność, że – niestety! – w każdym z możliwych sensów i znaczeń kontynuujemy tradycje, jesteśmy duchowymi spadkobiercami PRL. Dotyczy to również literatury czy – szerzej – kultury. Media nas w tym – znowu niestety – umacniają, stąd ani Józef Mackiewicz, ani Marian Hemar, ani Zygmunt Nowakowski, lecz Maryla Rodowicz, Agnieszka Osiecka czy aktorzy częstokroć znani z udziału w propagandowych akcjach, filmach są poważani, cenieni, fetowani, a ich biografie przypominane są serialami, benefisami, co tylko ugruntowuje dziedzictwo PRL. Tym mocniej należy więc docenić to, co dostajemy od londyńskiej Kontry. Bo te edycje to – podkreślę raz jeszcze – nie tylko rzecz dla miłośników Mackiewicza. Przez lekturę tych tomów dostajemy też wgląd w świat biednej, może nawet rachitycznej kultury (bo prężnie to na pewno ona nie funkcjonowała), ale jednak polskiej kultury w wolnym świecie, niezdominowanej przez komunizm i czynione z większym bądź mniejszym entuzjazmem trybuty ideowe na rzecz dziejowej – podobno – konieczności.

Na koniec – żeby nie kończyć zbyt minorowo – mała anegdota. Mackiewiczowie żyli bardzo, bardzo skromnie. Szczęściem było, że stosunkowo niewiele płacili za wynajem niewielkiego mieszkania w Monachium. Dlaczego kwota najmu była niska, wyjaśniał przyjaciel Mackiewiczów, niezwykle ofiarnie ich wspierający finansowo Alfons Jacewicz. W jednym z listów z 1971 r. (którego kopia znajduje się w spuściźnie po pisarzu) pisał: „Mackiewiczowie mieszkają w domu zamożnego i sympatycznego Niemca, który bierze od nich niewielkie komorne i którego żona ma stały strach przed złodziejami. Kwaterant, który po nocach pisze stale na maszynie, jest dla niej dobrodziejstwem, gdyż może spać spokojnie w przekonaniu, że ktoś nie śpi i czuwa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



„Polski pan" i białogwardyjski oficer pod bolszewicką kosą FOT. DOMENA PUBLICZNA

Polonofobia / Nasz obraz po moskiewsku

Wróg nr 1 – Polska



Mikołaj Iwanow

Od Rosji carów przez Związek Sowiecki do Rosji Putina oczernianie Polski i Polaków było elementem polityki państwowej

Dziś, kiedy na Ukrainie trwa krwawa wojna o niepodległość tego państwa, w Rosji głównie na użytek wewnętrzny trwa i z każdym dniem zaostrza się wojna propagandowa w celu zjednoczenia narodu rosyjskiego wokół swego przywódcy i przekształcenia agresji wobec Ukrainy w nową tzw. wojnę ojczyźnianą. Jednym z nieodzownych najważniejszych elementów tej wojny jest oczernianie wszystkiego, co polskie, pogłębienie i rozszerzenie istniejącej w tym kraju od setek lat polonofobii. Badania opinii publicznej przeprowadzane w dzisiejszej, niekomunistycznej już Rosji wykazują niepokojącą tendencję do szerokiego rozpowszechnienia antypolskich fobii. Przezwyciężenie tych nastrojów wcale nie byłoby dziś sprawą łatwą.

Obraz Polaka – jako odwiecznego wroga Rosji i społeczeństwa rosyjskiego – kształtował się długo przed powstaniem Związku Sowieckiego. W Rosji carskiej, pomimo obecności wielu Polaków na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych (nawet w wojsku), Polska i Polacy uważani byli za prawie oficjalnych wrogów ustroju. Jednak okres międzywojenny odegrał kluczową unikatową rolę w utrwaleniu

eprasa.pl 0b86cb3ec7

negatywnego obrazu Polski i Polaków w społeczeństwie rosyjskim, obrazu, który niestety dominuje do dziś.

Po rewolucji

Rewolucja bolszewicka 1917 r. w swoich podstawowych założeniach miała ten negatywny stereotyp Polaka gruntownie zmienić. Polacy, jako jedna z najbardziej uciskanych mniejszości narodowych imperium, mieli stać jednym z filarów nowej władzy. Polacy bolszewicy, razem z Łotyszami, przez wielu przywódców partii uważani byli za swoistą gwardię Lenina. Symbolem niezłomnej wierności partii mógł być nie tylko Feliks Dzierżyński, lecz także wielu innych czołowych działaczy bolszewickich. Spis członków partii komunistycznej z 1922 r. zanotował w składzie RKP(b) 5646 komunistów Polaków. Pod węglem członkostwa, w odniesieniu do ogólnej liczby Polaków – mieszkańców kraju, komuniści polscy zajmowali drugie miejsce, ustępując pod tym względem jedynie Łotyszom. Odsetek członków partii wśród polskiej mniejszości narodowej był prawie trzykrotnie wyższy niż podobny wskaźnik u Rosjan, siedmiokrotnie wyższy niż u Białorusinów i dziesięciokrotnie wyższy aniżeli u Ukraińców.

Proces kształtowania obrazu „Polaka wroga" najbardziej intensywnie trwał w okresie wojny polsko-sowieckiej w latach 1919–1920. Jednocześnie dla komunistów sowieckich, którzy całkiem niedawno przegrali na przedpolach Warszawy wojnę z Polską, II Rzeczpospolita była idealnym wrogiem na użytek wewnętrzny. Zarówno w sensie ekonomicznym, jak i militarnym Polska była najpotężniejszym państwem demokracji parlamentarnej mającym wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim. Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw po prostu nie nadawało się do roli potencjalnego „imperialistycznego agresora", zdolnego do realnego zagrożenia stabilności władzy sowieckiej. Propaganda komunistyczna traktowała Polskę jako wroga numer jeden i bardzo często posługiwała się „polską kartą" jako swego rodzaju straszakiem w kolejnych kampaniach walki z wewnętrznymi przeciwnikami ustroju, mającym uzasadniać stalinowski terror.

Zagrożenie wojną ze strony Polski podkreślano zwłaszcza, przy każdej nadarzającej się okazji, w oficjalnych dokumentach Międzynarodówki Komunistycznej. Po przewrocie majowym w 1926 r. sowieckie środki masowego przekazu zaczęły określać II Rzeczpospolitą nie inaczej jak „Polska faszystowska", a marszałka Józefa Piłsudskiego „przywódcą faszyzmu polskiego".

Szczególne nasilenie polonofobii nastąpiło w czasach stalinowskich. Reżim totalitarno-komunistyczny stworzył w ZSRS niezwykle rozbudowany system ściśle scentralizowanej propagandy, kierowanej przez Biuro Polityczne i osobiście przez Stalina, wykorzystywanej prawie wyłącznie dla osiągnięcia doraźnych celów politycznych. Była ona prawie powszechna i stosunkowo skuteczna przy absolutnym braku konkurencji w postaci informacji alternatywnej. Celem tej oraz innych akcji na froncie ideologicznym było formowanie w świadomości narodu trwałego obrazu wroga (Polaka), niezbędnego dla rozpętania kolejnych akcji represyjnych wewnątrz kraju, a także dla osiągnięcia celów zewnątrz politycznych (zniszczenie II RP).

W 1935 r. Stalin uznał, że postępy sowietyzacji wśród sowieckich Polaków są niewystarczające i aby zwalczać lojalność wobec II Rzeczypospolitej i Kościoła katolickiego, potrzeba nie przekonywania, a środków o wiele ostrzejszych. Chętnych do zastosowania tych środków w jego imperium nigdy nie brakowało. Rozpoczęła się pierwsza fala antypolskich represji. Paradoksalnie jednym z głównych wykonawców stalinowskiego planu był Polak, namiestnik Stalina na Ukrainie, pierwszy sekretarz Ukraińskiej kompartii – Stanisław Kosior, który sam niedługo miał zginąć w kolejnej fali antypolskich represji.

Przeprowadzona w latach 1935–1938 tzw. operacja polska NKWD przeraża nawet doświadczonego badacza swymi rozmachem i bezwzględnością. Rozstrzelano w tym okresie 111 tys. Polaków, obywateli sowieckich, czyli co siódmego, mającego w swym paszporcie zapisaną narodowość polską. Polacy w tym okresie stanowili mniej więcej 0,6 proc. ludności Kraju Rad, natomiast wśród ofiar terroru stalinowskiego było ich prawie 15 proc.

Zniszczenie polskości na tzw. dalszych Kresach stanowiło kolejny etap konsekwentnej polityki „odpolonizowania" tych terenów, prowadzonej przez Rosję carską w ciągu całego XIX w. Antypolska polityka caratu i stalinowskie niszczenie narodu miały wyraźny wspólny cel: doprowadzić do powstania zupełnie nowej sytuacji narodowościowej, do przekształcenia niegdyś licznych Polaków kresowiaków w kategorię wyłącznie historyczną.

Polska na łamach prasy sowieckiej przedstawiana była jako główne narzędzie agresji w rękach imperializmu światowego, najgorszy wróg ze wszystkich wrogów Rosji Sowieckiej. W ZSRS nigdy nie pamiętano o istnieniu tych „dobrych" Polaków: biednych chłopów, robotników, komunistów. Partia komunistyczna ZSRS i Międzynarodówka Komunistyczna, mająca swą siedzibę w Moskwie, rygorystycznie przestrzegały zasady podejścia klasowego na każdym tzw. odcinku narodowościowym. Jedynie w sprawach polskich ten czujny instynkt klasowy nieco zawodził. Stalina i jego partię opanowała psychoza antypolska, która coraz częściej wychodzi poza ramki klasowości i przekształcała się w propagandę etnicznie antypolską. Obraz „polskości" jako wroga numer jeden „ojczyzny światowego proletariatu" zaczyna dominować w propagandzie sowieckiej. Zniszczenie KPP tuż przed drugą wojną światową powoduje, że już każdy Polak, mimo swego pochodzenia klasowego, jest wrogiem.

Bękart wersalski

Polska w propagandzie sowieckiej coraz bardziej staje się symbolem agresywnych planów imperializmu światowego wobec ZSRS. Czołowe hasła propagandy sowieckiej w drugiej połowie lat 30. brzmią:

– Polska – potencjalny agresor;

– Polska zbrojona przez Anglię i Francję szykuje się do napadu na ZSRS;

– Agresja dla Polski – jedyne wyjście z sytuacji kryzysowej we własnym kraju;

– Faszyzm Polski – główne zagrożenie dla ZSRS.

W okresie międzywojnia czołowi sowieccy karykaturzyści malują obraz Polski jako kraju powszechnego głodu,

eprasa.pl 0b86cb3ec7



„Polska, ostatni pies Ententy" FOT. DOMENA PUBLICZNA

analfabetyzmu, bezrobocia, prostytucji i ostrych konfliktów społecznych. Podkreśla się również podporządkowaną, służebną pozycję Polski wobec czołowych państw kapitalistycznych.

Świadectwem nasilenia antypolskiej kampanii propagandowej może być liczba zamieszczonych karykatur na polską tematykę w czołowym czasopiśmie humorystycznym „Krokodyl". Polska pod tym względem w latach 20. i 30. prawie nie ustępuje takim czołowym rekinom świata kapitalistycznego jak Niemcy, Wielka Brytania, Francja i Stany Zjednoczone. Kształtuje się obraz Polaka wroga poprzez częste i dość umiejętne wykorzystanie hasła „polscy faszyści" w stosunku do kół rządzących II Rzeczypospolitej. Dziś trudno w to uwierzyć, ale dla charakterystyki „polskiego faszyzmu" wykorzystywano swastykę, mającą tak mało wspólnego z II Rzecząpospolitą.

14 września 1939 r., trzy dni przed rozpoczęciem sowieckiej agresji na Polskę, „Prawda" zamieściła artykuł redakcyjny określający podstawy polityki ZSRS wobec Polski, przedstawionej jako państwo wewnętrznie zgniłe, niemające racji bytu. Jako główną przyczynę upadku Polski Stalin (a to on redagował artykuł) podawał konflikt narodowościowy między polską większością a uciskanymi Ukraińcami i Białorusinami. Polska jako państwo niepodległe nie miała racji bytu w granicach 1921 r. i z systemem politycznym przez wiele lat piętnowanym przez propagandę komunistyczną (również polskojęzyczną) jako państwo „faszystowskie". I tak w przededniu agresji na Polskę sowieckie organy propagandy otrzymały od Stalina nieodzowne wskazówki prowadzenia dalszej kampanii antypolskiej.

Wypowiedziane przez Wiaczesława Mołotowa na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRS obraźliwe określenie „potworny bękart układu wersalskiego" na stałe weszło do arsenału sowieckiej propagandy. Wykonując zadanie partii, armia zawodowych propagandystów – dziennikarzy, pisarzy, filmowców, malarzy i innych pracowników tzw. frontu ideologicznego – aktywnie włączyła się w proces oczerniania wszystkiego, co polskie, w proces jeszcze głębszego zakorzenienia w świadomości własnego narodu negatywnego obrazu Polski i Polaków.

W związku z podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow i zawarciem sowiecko-niemieckiego sojuszu strategicznego w ZSRS w latach 1939–1942 prawie całkiem zaprzestano propagandy antyniemieckiej i antyfaszystowskiej, a słowo „faszysta" na prawie dwa lata przekształciło się w swoiste tabu dla propagandy komunistycznej. Nie używano go też w odniesieniu do polskich tematów. O nasileniu antypolskiej kampanii propagandowej świadczyć może to, że na ekranach kinoteatrów sowieckich pokazywano dziesiątki filmów dokumentalnych nakręconych w latach 1939–1941. Ich agresywność wobec wszystkiego, co polskie, przeraża. Jednym z głównych tematów propagandy sowieckiej było pokazywanie porażki wojennej armii polskiej. Polski oficer to w wydaniu sowieckim tchórz i zacofany reakcjonista, niezdolny do poświęcenia i ofiarności. Na łamach „Prawdy" i innych centralnych gazet sowieckich jesienią 1939 r. drwiono z powodu wojskowej porażki Polski, wyolbrzymiano jej rozmiary, wyśmiewano „paniczną" ucieczkę z kraju przywódców II Rzeczypospolitej, kpiono z polskich żołnierzy na rozmaite sposoby. W karykaturze często sięgano do przykładu z 1920 r., kiedy Armia Czerwona po raz pierwszy „rozgromiła" polskie wojsko, a w 1939 r. dokończyła po prostu swą misję niesienia „wolności" narodom II RP.

Obraz druzgocącej polskiej porażki (w walce z Armią Czerwoną) nabrał nowych barw w okresie przygotowania nowej agresji sowieckiej, tym razem przeciwko Finlandii. „Prawda" na swych łamach zamieszcza serię materiałów ostrzegających fińskie kierownictwo, że czeka go los „polskich przywódców". Cały kraj pod koniec listopada ogarnęły zebrania partyjne i mityngi solidarności z kierownictwem kraju, których uczestnicy gniewnie przepowiadali Finom los Polski.

Trwały stereotyp

Tę antypolską kampanię przerwano dopiero po 22 czerwca 1941 r., po napaści III Rzeszy na Związek Sowiecki. Polski temat prawie całkowicie zniknął z łamów sowieckich gazet i innych środków masowego przekazu. Dopiero po podpisaniu układu Sikorski-Majski (sierpień 1941 r.) polski temat powoli wraca. Trzeba było znów o 90 stopni zmieniać orientację. Nowe zadanie partii polegało na uznaniu Polaków za odważnych żołnierzy i propagowaniu antyniemieckiego polsko-sowieckiego sojuszu wojskowego.

W odróżnieniu od poprzedniej bardzo intensywnej kampanii propagandowej oczerniającej Polaków nowy kurs w dziedzinie propagandy wdrażał się z wielkimi oporami i stosunkowo powoli. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że nowy kurs nie zdążył nabrać rozmachu do momentu, gdy w związku z odejściem do Iranu II Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa (październik 1942 r.) trzeba już było ją gruntownie zmieniać. Polacy znów stali się „zdrajcami" i „tchórzami". Krótki okres współpracy polsko-sowieckiej (1941–1942) nie był w stanie chociażby częściowo zachwiać wcześniej ugruntowanego stereotypu. A już w 1943 r., po ujawnieniu przez III Rzeszę zbrodni katyńskiej, wszystko wróciło na stare tory.

Propaganda sowiecka z podwójną siłą zaczęła rozpętywać wir propagandy antypolskiej, tym razem pod hasłem „antylondyńskiej". Po zerwaniu stosunków z polskim rządem w Londynie, wiosną 1943 r., wściekła antypolska propaganda sąsiadowała na łamach prasy sowieckiej z propagandą gloryfikującą przyjaźń polsko-sowiecką z nową Polską ludową, Polską opartą o sojusz ze Związkiem Sowieckim. Podobne przeciwstawienie Polski naszej i Polski wrogiej na długie lata miało zostać kamieniem węgielnym propagandy sowieckiej w sprawie polskiej. Dziś ta atmosfera wrogości wobec Polaków niestety powraca na tle wojny na Ukrainie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Piotr Zaremba na wiecu w Szczecinie 13 maja 1945 r. FOT. ZBC POMERANIA

1945 r. / Jak Polacy przejęli gród nad Odrą

Pięć minut Zaremby



Piotr Semka

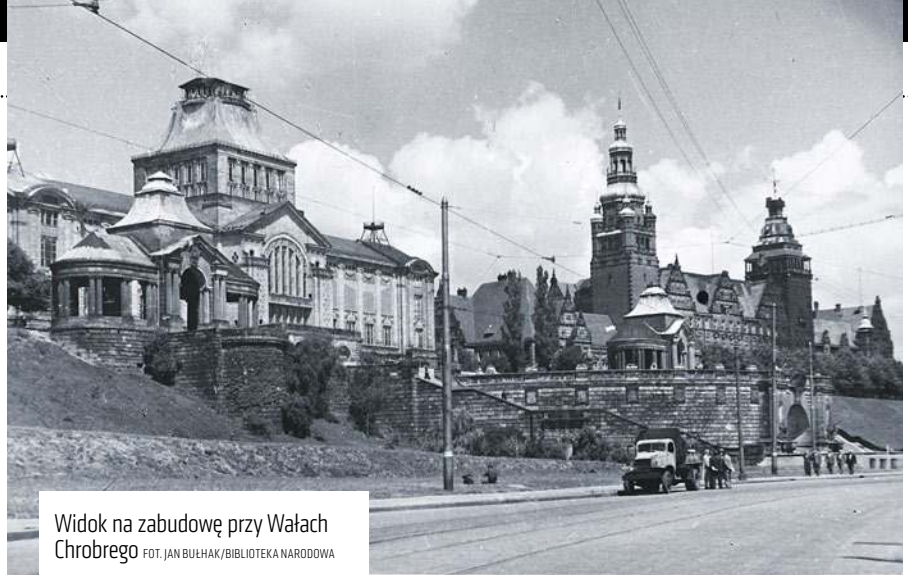
Genialny urbanista w niezwykłych okolicznościach został pierwszym prezydentem polskiego Szczecina

Nazwisko Piotra Zaremby, pierwszego polskiego prezydenta Szczecina, jest w metropolii nad Odrą swoistym symbolem. Jego imieniem uczczono główną magistralę drogową, która przebiega przez centrum miasta, planowana jest budowa jego pomnika, a we wszystkich plebiscytach na temat najbardziej zasłużonych dla Szczecina wygrywa on w cuglach. Reszta Polski słabiej kojarzy to nazwisko, choć powinno być ono lepiej znane, gdyż to, że Szczecin jest polski, było w pewnej mierze wynikiem doskonałego odnalezienia się w danym miejscu i w danym czasie przez tego gospodarza grodu Gryfa.

Piotr Zaremba ukończył przed wojną studia urbanistyczne na Politechnice Lwowskiej. Wojnę przeżył, pracując w Poznaniu w Niemieckiej Dyrekcji Ogrodów Miejskich. Gdy Rosjanie zajęli Poznań w lutym 1945 r., Piotr Zaremba zgłosił się do pracy w magistracie. Nudna praca przy biurku nie satysfakcjonowała go jednak. Dlatego 16 lutego 1945 r. zgłosił się do Biura Pełnomocnika Komitetu Ekonomicznego tzw. Rządu Lubelskiego na województwo poznańskie. Dla wielu ludzi w Poznaniu uwolnionych od długiej, brutalnej okupacji niemieckiej to przedstawicielstwo rządu podległego Bolesławowi Bierutowi było jedyną dostępną formą polskiej państwowości. Po długich latach okupacji tacy ludzie jak Piotr Zaremba mieli głód działania i chęć powrotu do przedwojennych pól aktywności. Łudzono się, że kwestie ideologiczne związane z nową władzą, wobec ogromu wyzwań związanych z dziełem odbudowy, da się zepchnąć na dalszy plan. Zarembie przedstawiono ankietę z pytaniem: „Czy chciałbyś pracować na przyłączonych ziemiach poniemieckich?". Zaremba wspominał po latach: „Oddałem ankietę na Gdańsk lub Szczecin, ale wolę Szczecin".

Skąd się wzięło u Zaremby zainteresowanie miastem nad Odrą? Trzeba się cofnąć do 1943 r., kiedy jeden z jego znajomych, architekt Stanisław Kirkin, który działał w zespole studialnym Polskiego Państwa Podziemnego, zaproponował Zarembie, by ten zaczął zbierać materiały na temat gospodarki Szczecina i jego roli w gospodarce morskiej Rzeszy. Zaremba zaczął czytać dostępne w Poznaniu niemieckie gazety i szybko stworzył opracowanie na temat gospodarczych atutów miasta. Nic więc dziwnego, że kiedy 27 marca 1945 r. przyjechał do

eprasa.pl 0b86cb3ec7



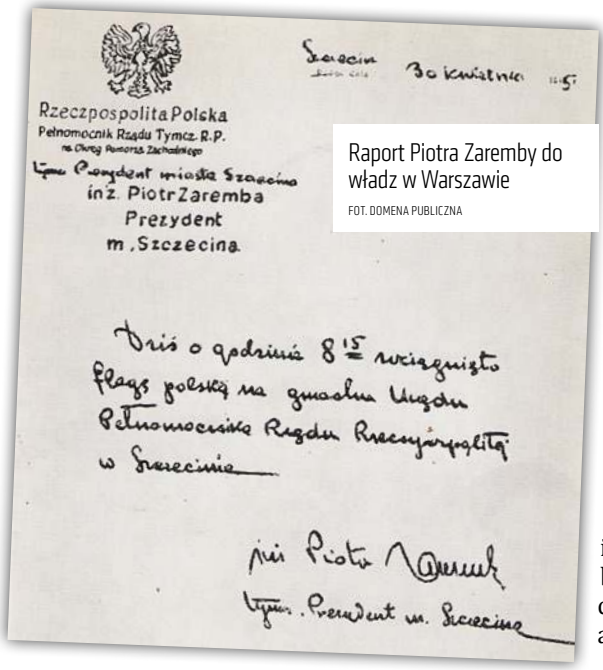
Widok na zabudowę przy Wałach Chrobrego FOT. JAN BUŁHAK/BIBLIOTEKA NARODOWA

Warszawy z racji obowiązków pełnionych w poznańskim magistracie, postanowił zajrzeć do Biura Planowania i Odbudowy przy Prezydium Rządu. Szef tego biura, prof. Michał Kaczorowski, po dłuższej rozmowie był pod wrażeniem rozległej wiedzy Zaremby o znaczeniu portu szczecińskiego, o możliwościach transportu towarów Odrą ze Śląska ku Bałtykowi i wreszcie o wszystkich najważniejszych zakładach przemysłowych w niemieckim Szczecinie. Tacy ludzie byli wówczas potrzebni planistom odbudowy kraju i bez większych ceregieli prof. Kaczorowski zaproponował Zarembie, by zorganizował grupę operacyjną Biura Odbudowy na miasto Szczecin, które wówczas jeszcze było w rękach Niemców. Ale nie trwało to długo.

Trafić na swój czas

27 kwietnia 1945 r. Zaremba czekał w Poznaniu na informacje o zajęciu Szczecina przez Rosjan. Kiedy przechadzał się po poznańskim placu Wyspiańskiego, z głośnika usłyszał komunikat, że „wojska 2. Frontu Białoruskiego zdobyły główne miasto Pomorza – Szczecin". Jak wspominał Zaremba – natychmiast przerwał swój spacer i już po kilku minutach znalazł się obok willi przy ul. Konopnickiej 6, gdzie znajdowała się siedziba pełnomocnika rządu Edwarda Osóbki-Morawskiego na Pomorze Zachodnie – płk. Leonarda Borkowicza. Oddajmy głos Zarembie: „Była trzecia po południu, gdy naciskałem dzwonek furtki wiodącej do ogródka willi. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich zastępca Borkowicza kpt. Wiktor Jaśkiewicz w płaszcz ubrany do wyjścia. Spotkaliśmy się na schodach. Jego pierwszym pytaniem było, co ja robię w Poznaniu. Miałem być w Pile. Przerwał mi, gdy zacząłem tłumaczyć się, i wciągnął mnie do swojego gabinetu".

Jaśkiewicz pokazał Zarembie depeszę od Borkowicza, która nakazywała mu natychmiast objąć miasto. Jaśkiewicz dał Zarembie do zrozumienia, że spadł mu z nieba. Zapytał, czy pojechałby z nim do Szczecina i czy zgodziłby się zostać prezydentem miasta. Zaremba wspominał: „Oszołomiony tymi perspektywami zgodziłem się na wyjazd do Szczecina, nie bardzo zdając sobie sprawę z konsekwencji tej decyzji". Już pół godziny później małym przedwojennym polskim fiatem jechał z kpt. Jaśkiewiczem w kierunku metropolii nad Odrą, by po noclegu w Pile dotrzeć do Szczecina 28 kwietnia 1945 r. Jak wspomina Zaremba: „Zastanawiałem się potem wielokrotnie, jak by się potoczyło moje dalsze życie, gdybym przyszedł do willi przy Konopnickiej pół godziny później?". Można przyjąć, że Jaśkiewicz pewnie znalazłby w Pile – tymczasowej siedzibie województwa zachodniopomorskiego – jakiegoś innego kandydata na prezydenta Grodu Gryfa. Traf chciał, że Zaremba wykazał się refleksem. I potem już tej historycznej szansy długo nie dał sobie wyrwać. Dokładnie przez pięć kolejnych lat.



Szczecin 30 kwietnia 45

Rzeczpospolita Polska
Pełnomocnik Rządu Tymcz. R.P.
na Okręg Pomorze Zachodnie

Tymczasowy Prezydent miasta Szczecina
inż. Piotr Zaremba
Prezydent
m. Szczecina

Dziś o godzinie 8[15] wciągnięto flagę polską na gmachu Urzędu Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej w Szczecinie

inż. Piotr Zaremba
Tymczas. Prezydent m. Szczecina

Raport Piotra Zaremby do władz w Warszawie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W opustoszałym mieście

28 kwietnia 1945 r. Piotr Zaremba ze swoją operacyjną grupą wjeżdża do Szczecina. Wjeżdża do miasta wspomnianym już polskim fiatem przez dzisiejszą ulicę Ku Słońcu. Zwały olbrzymiego wiaduktu tarasują ulicę. Nie ma rady, przybysze muszą dostać się do centrum miasta przez północną dzielnicę Szczecina – Pogodno. Kolejny raz zagradzają im drogę zasieki na obecnej ul. Twardowskiego. Po odsunięciu zapór z beli drewna auto przeciska się między barykadami i przejeżdża pod wiaduktem kolejowym. Jak się potem okazało, Zaremba miał prawdziwe szczęście. Wszystkie inne przejazdy kolejowe były wtedy w Szczecinie zaminowane przez Niemców z wyjątkiem tego jednego. Miasto było przerażające i ciche. Trzeba było jechać niezwykle uważnie, aby się nie zaplątać w druty tramwajowe leżące na jezdni. Zaremba wspominał: „Idziemy chodnikiem dzisiejszej alei Wojska Polskiego, echo odbija się od ścian niezniszczonych kamienic. Byłem już przyzwyczajony do ruin, do zniszczeń i pożarów, natomiast to, co wówczas było przerażające w Szczecinie, to cicha pustka opuszczonego miasta, ani żywego ducha. Cisza, którą

eprasa.pl 0b86cb3ec7

przerywały jedynie szumy naszego samochodu. Stanowimy z kpt. Jaśkiewiczem pierwszą i jedyną parę nowych mieszkańców Szczecina, miasta porzuconego. Owa pustka na ulicach Szczecina była efektem bardzo rygorystycznej akcji hitlerowców, którzy ewakuowali niemal całą niemiecką ludność miasta. Gdy nadeszli Rosjanie, Niemcy bojąc się okrążenia, sami opuścili metropolię nad Odrą, wycofując się poprzez północną część miasta w kierunku Zaodrza. Ta okoliczność od początku została zauważona przez Zarembę jako historyczna szansa. Mógł zasiedlać miasto Polakami, bo dziesiątki tysięcy mieszkań było pustych.



Brama portowa, 1945 r. FOT. WIKIPEDIA

Spotkanie z polskim Szczecinem

30 kwietnia Piotr Zaremba ponownie wjeżdża do Szczecina, przejeżdżając przez jedno z centralnych miejsc – plac Zwycięstwa. Jadąc samochodem, zauważył starszą kobietę, która chciała właśnie przy jednej z pomp miejskich nabrać wody do dwóch wiader. Jak wspominał Zaremba: „Na nasz widok kobieta zmartwiała, ale po chwili zamiast uciekać, rzuciła wiadra na jezdnię, pobiegła przez plac wprost w kierunku naszego samochodu. Siwa staruszka nie mogła złapać tchu. Wykrzykiwała coś bezładnie. Wysiadłem, pytając po niemiecku, czego chce. Odpowiedziała, że wraz z mężem Janem Łabędziem mieszka od 30 lat w Szczecinie, że słyszała, że Polacy mają wejść do Szczecina, i że właśnie zobaczyła polską flagę". Dziś trudno nam sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiła na Polakach niewielka polska chorągiewka przymocowana do samochodu Piotra Zaremby. Zaremba dowiedział się od pani Anny Łabędziowej – bo to o niej tu mowa – że w Szczecinie są Polacy, choć nieliczni. Chowają się dalej piwnicach, gdyż nie wiedzą do końca, do kogo należy teraz miasto i kiedy nastąpi jakakolwiek stabilizacja. Pani Łabędziowa obiecała, że jeszcze tego samego dnia przyprowadzi znanych jej Polaków ukrywających się w gruzach Szczecina do budynku rejencji szczecińskiej na Wałach Chrobrego, który zaplanowany był na siedzibę polskich władz. Polacy, którzy bądź mieszkali przed wojną w Szczecinie, bądź byli tutaj na robotach przymusowych, byli dla Piotra Zaremby bezcennymi przewodnikami po obcym mieście. Sam Zaremba potrafił w miarę sprawnie poruszać się samochodem po Szczecinie tylko dlatego, że kierował się mapką miasta wyrwaną z niemieckiej encyklopedii odnalezionej w gabinecie dyrektora banku w Pile. Miejscowi Polacy szybko zaczęli informować Zarembę, gdzie są porzucone magazyny żywności, gdzie są byłe urzędy i gdzie wreszcie można znaleźć pierwsze kuchnie do wydawania posiłków. A Szczecin wtedy był miastem, które płonęło. Grupy niemieckich dywersantów pozostawione przez wycofujące się Wehrmacht i SS podpalały systematycznie miasto, chcąc maksymalnie zdestabilizować sytuację. Rosjanie jeszcze słabo kontrolowali miasto, a dywersanci dysponowali specjalnie przygotowanymi kryjówkami w gruzach miasta.

Biało-czerwona nad miastem

30 kwietnia 1945 r. ranem Zaremba wraz z kpt. Jaśkiewiczem wkraczają do okazałego gmachu dawnej rejencji. Wraz ze swoim zastępcą por. Franciszkiem Jamrożym Zaremba zaczyna szukać wejścia na wieżę budynku, który dziś mieści urząd wojewódzki. „Torując sobie drogę wśród zwałów leżącej na schodach broni, doszliśmy szerokimi schodami na najwyższe piętro, skąd węższe drewniane drzwi prowadziły na strych do platformy na ściętej wieżyczce, górującej nad stromym, wysokim dachem. Jak wspominał Zaremba, widok z tarasu wieży zapierał dech. I dalej: „Od zachodu ponad szczytami drzew widniały spalone, zakręcone, ruiny śródmieścia. Dął silny wiatr. Niełatwo przyszło nam umocować naszą ogromną biało-czerwoną flagę i wciągnąć ją na wysoki maszt, spuściwszy uprzednio biały obrus, który jako biała flaga kapitulacyjna zawisł z wieży. Jeszcze chwilę patrzyliśmy w łopocącą chorągiew i w ogrom zniszczeń. Dla udokumentowania aktu wciągnięcia polskiej flagi nad Szczecinem Zaremba i Jamroży sporządzili specjalny akt. Nie było jeszcze oficjalnych papierów. Orła bez korony wyrysowano ręcznie, a nagłówek urzędowy odbito za pomocą zabawki – dziecięcej drukarenki, którą jeden z członków polskiej ekipy przywiózł z Poznania. Jak wspominał Zaremba: „Nie mieliśmy jeszcze ani pieczęci, ani innego emblematu władzy, wystarczyło tylko to, że już byliśmy w Szczecinie".

Tak, nie bez pewnego patosu, zaczęła się władza Piotra Zaremby nad polskim Szczecinem. Zarembę czekały jeszcze dwa miesiące sporów dyplomatycznych o przynależność państwową miasta nad Odrą, ale jego intuicyjna decyzja o jak najszybszym tworzeniu faktów dokonanych w postaci polskiej władzy w gmachu na Wałach Chrobrego była trafna. Zaremba przetrwał dwa miesiące politycznych i dyplomatycznych perturbacji i 5 lipca 1945 r. ostatecznie Polska przejęła miasto. Niemieccy komuniści, którzy próbowali zachować władze nad miastem, opuścili gród nad Odrą. Szczecin był polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Plaża naturystów koło Wismaru FOT. BUNDESARCHIV/ WIKIMEDIA COMMONS

XX w. / Naturyści w Niemieckiej Republice Demokratycznej

NRD na golasa



Jakub Ostromęcki

Naturysta był zwykle żonaty, miał dzieci i mieszkał w dużym mieście jako pracownik umysłowy pochodzenia robotniczo-chłopskiego

W czasach słusznie minionych na plaży w Świnoujściu można było usłyszeć miejską legendę. Mówiła ona, iż tuż za miedzą naturyzm jest tak powszechny, że trudno znaleźć plażę, na której ludzie są ubrani w kostiumy. W pruderyjnym PRL informacja ta ściągała pod graniczne zasieki grupki ciekawskich z lornetkami. Inna klechda głosi, że naturyzm był wschodnioniemieckim buntem wobec sytemu komunistycznego. „Gdy jedni rzucali w milicję cegłówkami i strajkowali, drudzy zrzucali ubranie, próbując żyć w zgodzie z naturą". Jak naprawdę wyglądał NRD-owski fenomen?

Miłośnicy nagości występowali licznie w niemieckiej kulturze na długo przed narodzinami NRD. Jaka była tego przyczyna? Czy była to cecha narodów germańskich czy może szerzej – europejskich luteranów? Przypomnijmy jedynie, że już w XVII w. słynny towarzysz chorągwi pancernej Jan Chryzostom Pasek, walcząc w Danii przeciw Szwedom, nie mógł się nadziwić, iż tamtejsze żony rozbierają się bez wstydu przed mężami w świetle świec. W czasach wilhelmińskich ruch naturystyczny przybrał stosowaną po dziś dzień nazwę Freikorperkultur. Stąd dziś plaże naturystyczne określa się w całej Europie skrótem FKK.

XIX- i XX-wieczni naturyści byli częścią większego ruchu społecznego, czyli Lebensreform. Wykwalifikowani robotnicy i nauczyciele. Socjaliści, liberałowie i narodowcy. Pacyfiści i zwolennicy nordyckiej supremacji. Wszyscy przestraszeni wizją gwałtownej industrializacji i warunkami życia w przykrytych smogiem miastach, ale dysponujący już czasem wolnym, zaczęli promować zdrowy styl życia, higienę, mycie zębów, sport, gimnastykę, krajoznawstwo. Oraz opalanie się nago, które miało być antidotum zarówno na grzybicę, jak i na dolegliwości psychiczne. Mieli własne kluby, prasę, organizowali mityngi.

W Republice Weimarskiej jednym z niemieckich propagatorów naturyzmu był nauczyciel gimnastyki Adolf Koch. „Przechrzczony" na socjaldemokratę luteranin, pacyfista, abstynent, zwolennik związków nieformalnych i liberalizacji przepisów aborcyjnych. Na prowadzonych przez niego zajęciach dziewczynki i chłopcy, za zgodą rodziców, ćwiczyli nago. Nie miało to akurat żadnego podłoża seksualnego. Koch twierdził, że aktywność taka nauczy najlepiej młodzież wzajemnego szacunku. W 1930 r. Koch mógł się pochwalić tym, że prowadzone przez niego szkoły ukończyło 60 tys. uczniów. Twierdził też, że naturyzm praktykowało przynajmniej trzy miliony Niemców.

III Rzesza była początkowo nastawiona do naturyzmu nieufnie, węsząc w nim homoseksualizm i dekadencję. Wielu członków NSDAP i SS było jednak zwolennikami ruchu, twierdząc, że kult nagiego, wysportowanego ciała doskonale oddaje pogańskiego ducha dawnych Germanów. Zwyciężyła „naga" frakcja. W 1942 r., gdy krematoria Auschwitz pracowały pełną

eprasa.pl 0b86cb3ec7

parą, III Rzesza wydała przepisy… liberalizujące opalanie się nago. Wystarczyło tylko udać się na odludzie, aby postronni nie mogli zobaczyć plażowiczów w stroju Adama. Jak się okazało, przepis ten przeżył III Rzeszę o kilkadziesiąt lat.

Oblężenie plaż

O dziwo w sowieckiej strefie okupacyjnej postępowano wobec naturystów dość liberalnie. Istniały nawet zaczątki stowarzyszeń praktykujących przedwojenne zwyczaje. Wszystko zaczęło zmieniać się w 1949 r. wraz z powstaniem NRD. Najpierw zdelegalizowano wszystkie organizacje FKK. Legalny pozostał natomiast sam naturyzm. Od tego momentu wschodni Niemcy praktykowali go więc całkowicie nieformalnie, spontanicznie, anonimowo i w wyznaczonych przez lokalne władze miejscach. To paradoksalnie odróżniało ich od demokratycznej, ale znacznie bardziej konserwatywnej RFN, gdzie panował dużo większy formalizm i gdzie naturysta legalista musiał zapisać się do jednego z licznych klubów lub stowarzyszeń, płacić składki członkowskie i paradować nago jedynie po zamkniętym campingu i przynależnej mu plaży.

Na początku lat 50. lokalni NRD-owscy partyjniacy oraz miejscowi funkcjonariusze policji ludowej zaczęli się jednak radykalizować. To pod ich naciskiem w 1954 r. szef MSW Willy Stoph rozpoczął walkę z golizną. Naturyści mogli się opalać jedynie w ogrodzonych miejscach, gdzie nie mógł wejść nikt przypadkowy. Oznaczało to w praktyce kompletny zakaz i ograniczenie plażowania do prywatnych ogródków działkowych. W latach 50. dla wschodnioniemieckich komunistów naturyzm był podejrzany z kilku powodów. Po pierwsze: nazizm! Nagich sportowców uwieczniała przecież z lubością w swoim filmie „Olympia" nadworna reżyserka Hitlera Leni Riefenstahl, a wysportowane ciała aryjskich wojowników wychodziły spod dłuta rzeźbiarza Arno Brekera. Po drugie: Koch. Jego lewicowość ani na milimetr nie zbliżała go do niemieckich komunistów. Pamiętajmy wszak, że socjaldemokraci są dla reżimu komunistycznego wrogiem największym. NRD była państwem zmilitaryzowanym, pozbawionym miejsca na pacyfizm, którym motywowany był z kolei naturyzm Kocha. Po trzecie: Zachód. Zanim Berlin został przecięty zasiekami, a potem murem, większość miłośników nagiego plażowania nad brandenburskimi jeziorami pochodziła z zachodnich sektorów okupacyjnych miasta. To stawiło cały nurt pod NRD-owskim pręgierzem. Naturyzm miał być ukrytą bronią zachodnich imperialistów i rewanżystów.

Komisja sportu NRD-owskiej Izby Ludowej (odpowiednika sejmu) bełkotała nowomową: „Stowarzyszenia nudystów to produkt uboczny rozpadu imperializmu na odcinku kultury i sportu. Stowarzyszenia nudystyczne, będące wyrazem imperialistycznej dekadencji, nie mogą być tolerowane". MSW dodawało: „To nie jest problem zwykłego opalania się nago, ale problem istnienia zachodnioberlińskiej grupy nudystycznej. NRD nie ma żadnego interesu w tolerowaniu wrogich elementów w pięknych rejonach Brandenburgii" […]. Nazwało naturyzm „zagrożeniem dla naturalnych i zdrowych odczuć ludu pracującego". Po czwarte: Afryka. Naturyści dla zabawy przebierali się w plemienne stroje z trzciny, malowali ciała i wybierali plażowego króla czarownika, któremu składali „hołdy". Kolejnemu szefowi MSW, Karlowi Maronowi, nie było jednak do śmiechu: „To obraza etyki i zwyczajów ludów murzyńskich i w żaden sposób nie pomaga w budowaniu przyjaźni miedzy narodami".

Zorganizowano aktyw robotniczy i młodzieżowy. Po plażach przechadzały się patrole Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ), strasząc naturystów słowami: „Dziś mamy prawo solidnie was zlać". Policja Ludowa (Volkspolizei, Vopo) oraz straż graniczna (Grenztruppen der DDR) najeżdżała na kempingi, ku swojemu przerażeniu odkrywając, że golizna panoszy się też między namiotami. Urządzano prawdziwe oblężenia plaż. Świadkowie wspominali, że obławy na naturystów przypominały operacje wojskowe. Vopo i pogranicznicy szturmowali plażowe grajdoły i robili upokarzające zdjęcia zajmującym je plażowiczom.

Według gazety „Der Spiegel" w 1954 r. członkiem aktywu młodzieżowego wspomagającego funkcjonariuszy był późniejszy NRD-owski minister kultury Johannes Becher. Patrolując plażę, natknął się na leżącą na wznak nagą kobietę, która dla osłony przed słońcem zasłaniała twarz gazetą. Wykrzyknął do niej wściekle: „Nie wstydzisz się, stara świnio?". Zlękniona plażowiczka odsłoniła twarz i Becher zamarł. Okazało się, że to słynna pisarka Anna Seghers. Jakiś czas później, na jednej z uroczystości, Becher już jako minister wręczał pisarce państwową nagrodę w obecności tłumu gości. Robiąc dobrą minę do złej gry, zaczął: „Moja droga Anno…", na co Seghers odwarknęła głośno, tak aby wszyscy usłyszeli: „Dla ciebie Hans wciąż stara świnia!".

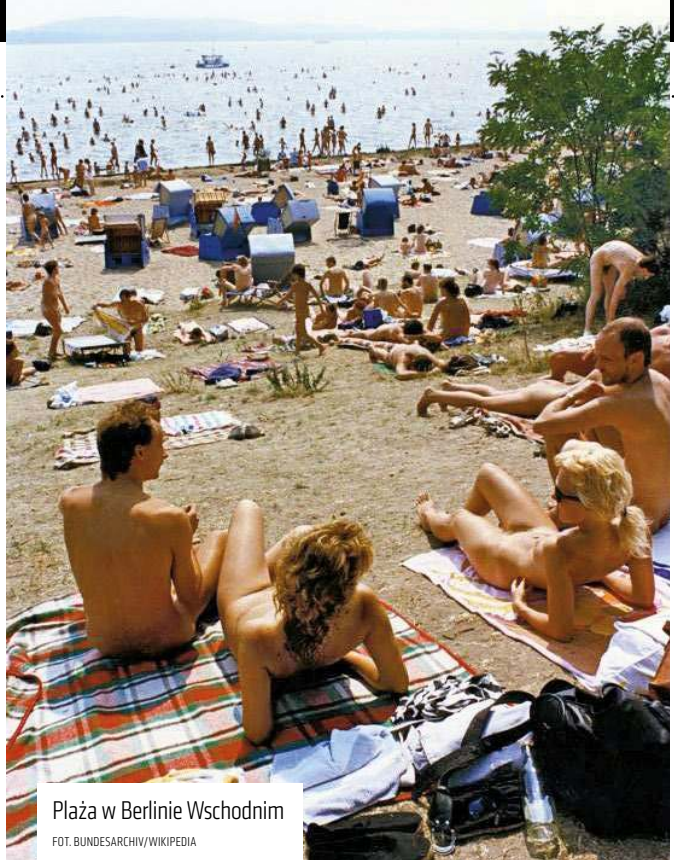
Nagi opór

Vopo witana była indiańskimi okrzykami bojowymi i drwinami. Plażowicze przerabiali znaki zakazujące opalania się nago. Na plaży wyrastały prowizoryczne wieże zbudowane z wyrzuconych przez morze desek, z których nadzy strażnicy ostrzegali naturystów przed nadciągającą Vopo. Na sygnał gwizdka wszyscy rzucali się do wody. Inni paradowali w samych krawatach, tłumacząc funkcjonariuszom, że „przecież są ubrani".

Naturyści powoływali własne służby porządkowe, nazywane w środowisku „przyjaciółmi higieny wyzwolonego ciała". Sami vopowcy musieli przyznać, że kempingi naturystyczne były z reguły czystsze niż te ogólnodostępne. Nie wolno było tam wchodzić z psami, palić papierosów i fotografować. Niechętnie widziani byli również samotni mężczyźni.

Na tekstylnych naturyści reagowali agresywnie. Raport Vopo z 1952 r., z leżącego zresztą niedaleko Świnoujścia Bansin, stwierdzał, że „nudyści zatrzymywali obywateli NRD, którzy chcieli wypocząć nad morzem lub przejść plażą, siłą rozbierali ich i wrzucali do morza. Łódki znajdujące się w pobliżu brzegu, niektóre z kobietami i dziećmi na pokładzie, były przejmowane, a ich pasażerowie wrzucani do wody. Kamery i zegarki obywateli stały się w związku z tym niezdatne do użytku". Historię tę kpiąco opisał w 1954 r. zachodnioniemiecki „Der Spiegel". Współwłaściciel łódeczki o nazwie „Mewa" organizował płatne

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Plaża w Berlinie Wschodnim
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

wycieczki wzdłuż plaż naturystycznych, zabierając na pokład „tekstylnych" z aparatami. Łódkę obrzucono pigułami z mokrego piasku, kamieniami, po czym wywrócono. Opisane czyny, w przeciwieństwie do opalania się nago, były przestępstwem, ale nikomu z krewkich nudystów nie postawiono zarzutów o napaść lub zniszczenie mienia.

Biada też tym, którzy jako czarne owce w rodzinie wzdrygali się przed ściągnięciem kąpielówek. Lutz Thorman, późniejszy etnolog na uniwersytecie w Jenie, zachował z młodości traumatyczne wspomnienia: „Każdy urlop na Bałtykiem zaczynał się od tego małego upokorzenia. Następne dwa tygodnie zwykle spędzałem na brzuchu za grajdołem. Jeśli kiedykolwiek wychodziłem do wody, skrupulatnie upewniałem się, że wszystkie dziewczyny w moim wieku są wystarczająco daleko".

Nagość i system

Opór nie miał jednak nic z działalności antysystemowej. Naturyści pisali listy i petycje do partii, w których oskarżali służby porządkowe o reakcyjność. Jeden z nudystów w liście do lokalnego komitetu partii w Rostoku pisał: „Naturyzm jest częścią postępu społecznego. Nie powstrzymacie tego. Naturyzm należy do „zjawisk nowych". Petycje zarzucały kierownictwu partii… że nie jest zbyt postępowe i że to właśnie naturyści reprezentują prawdziwie socjalistyczne wartości.

Jeden z ocalałych z obozu koncentracyjnego pisał, że nagość leczy jego urazy psychiczne. Nawiązywał do III Rzeszy: „W tamtych czasach naturyści byli bici pałkami przez faszystowską policję. Takie rzeczy nie mogą dziać się w państwie robotników i chłopów!". Inni szli jeszcze dalej: „Naturyzm to integralna część naszego życia partyjnego! Nasi radzieccy przyjaciele tez praktykują naturyzm!". Autorka jednego z listów do partii wskazywała, że naturyzm jest przejawem oporu wobec amerykańskiego kapitalizmu i konsumpcjonizmu, gdzie kostiumy kąpielowe nadmiernie seksualizują kobiecą sylwetkę i są narzędziem zysków dla koncernów odzieżowych. Większość nudystów była lojalna wobec systemu.

Dwa lata po wprowadzeniu drakońskiego zakazu nastąpiła nagła liberalizacja przepisów. Wolno było się opalać na plażach wyznaczonych przez władze lokalne. Od 1956 r. w opalaniu się nago nie było już żadnego niebezpieczeństwa. To nie opór naturystów spowodował zmianę podejścia systemu do naturyzmu. Na plażach zalegało bowiem wielu członków tej samej partii, która oficjalnie naturyzm potępiała. Powtórzyła się zatem sytuacja znana z III Rzeszy! Prawda wyszła na jaw już przy wypisywaniu pierwszych mandatów w nadbałtyckich kurortach. W czasie jednej z inspekcji wśród 110 gołych plażowiczów 19 z nich okazało się członkami partii, a wewnątrz tej grupy było dwóch sędziów. W 1954 r. w Zeesen pod Berlinem bez kąpielówek przydybano dowódców policji i prokuratorów. Jan Koplowitz, jeden z kacyków SED odpowiedzialny za kulturę, nawoływał wręcz do akceptacji naturyzmu.

Władze szacowały, że w 1959 r., po legalizacji plaż naturystycznych, nad samym Bałtykiem skorzystało z nich 13 tys. plażowiczów. Rok później liczba ta wzrosła do 20 tys. (z ogólnej liczby 1,7 mln urlopowiczów). Przeciętny wschodnioniemiecki naturysta miał żonę i dzieci, był pracownikiem umysłowym pochodzenia robotniczo-chłopskiego mieszkającym w dużym mieście i uważał, że głównym powodem, dla którego opala się nago, jest zdrowie. Tylko 19 proc. mężczyzn i 11 proc. kobiet w środowisku naturystów przedstawiało się jako robotnicy.

Na początku lat 70. 62 proc. robotników i 75 proc. studentów pozytywnie wyrażało się o naturyzmie. W 1990 r., zaraz przed zjednoczeniem Niemiec, 68 proc. ankietowanych NRD-owców w wieku pomiędzy 16 a 18 lat opalało się nago. W klasie robotniczej było to 81 proc., a wśród studentów aż 87 proc. Zaczęło dochodzić wręcz do walk o miejsca na naturystycznych kempingach. Był to faktycznie fenomen na skalę europejską. Rosły apetyty konsumpcyjne. Dla NRD-owca możliwość opalania się nago była tak samo ważna jak posiadanie wartburga, lodówki, telewizora i prawa do urlopu. Dla partii okazało się to wentylem bezpieczeństwa: spełniony w ten sposób obywatel nie będzie myślał o buntach.

W latach 70. w państwowej (i jedynej) telewizji pojawiły się reportaże z plaż naturystycznych. Naturyści wystąpili w jednym z filmów fabularnych dla młodzieży. Cenzura zaczęła przepuszczać publikacje i książki afirmujące naturyzm, a wkrótce zaczęto go wręcz propagować w poradnikach dla młodych matek i podręcznikach seksuologii. W 1976 r. otwarto nową siedzibę Izby Ludowej. Ceremonii towarzyszyła wystawa pod tytułem: „Czy komunista może mieć marzenia?". Jeden z eksponowanych plakatów przedstawiał tłum nagich plażowiczów.

W 1987 r. ulicami Berlina przeszła państwowa parada zorganizowana z okazji 750-lecia miasta. Na jednej z platform wdzięczyły się statystki przebrane za syreny, w stroju topless. Honecker był zadowolony. Ostatecznie potwierdziła się symbioza systemu i naturyzmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Arkadiusz Karbowiak

Do historii drugiej wojny światowej przeszedł jako uosobienie prohitlerowskiej piątej kolumny albo „Den siste Viking” (ostatni wiking)

Winston Churchill – mianowany 3 września 1939 r. pierwszym lordem admiralicji, inspirował plan, któremu nadano kryptonim „Catherine”. Zakładał on wdarcie się sił brytyjskich na Bałtyk i przecięcie morskiego szlaku handlowego łączącego Rzeszę ze Szwecją.

Ostatecznie alianci postanowili przystąpić do operacji Wilfred – minowania norweskich wód terytorialnych. Datę akcji wyznaczono na 8 kwietnia 1940 r. Wspomagać ją miało lądowanie w Norwegii, oznaczone kryptonimem „R4”. W międzyczasie zdarzył się incydent z Altmarkiem, będącym statkiem zaopatrzeniowo-transportowym Krigsmarine, który znalazł się na norweskich wodach terytorialnych, gdy przewoził alianckich jeńców wojennych. Brytyjczycy wysłali niszczyciel „Cossack”, który dokonał abordażu i uwolnił 299 jeńców, ale w czasie akcji zabito czterech niemieckich marynarzy, a pięciu raniono. Niemcy doszli do przekonania, że neutralność Norwegii jest fikcją, dlatego przystąpili do opracowania planu operacji „Weserübung" (Ćwiczenia na Wezerze) czyli lądowania w Norwegii.

Niemcy w Norwegii

Adolf Hitler, sceptycznie nastawiony i zdystansowany do tego przedsięwzięcia, spotkał się wcześniej z człowiekiem, którego nazwisko stało się synonimem



Vidkun Quisling FOT. WIKIPEDIA

1942–1945 / Vidkun Quisling – szef kolaboracyjnego rządu Norwegii

Hitlerowiec po norwesku

eprasa.pl 0b86cb3ec7

kolaboracji z III Rzeszą. Był nim Vidkun Quisling, przywódca małej narodowo-socjalistycznej partii Nasjonal Samling (Zjednoczenie Narodowe). Vidkun Quisling był oficerem armii norweskiej w stopniu majora. Po krótkim okresie związków z radykalną lewicą i fascynacji bolszewizmem przeszedł na pozycje zdecydowanie narodowo-radykalne. W 1930 r. z ramienia Partii Chłopskiej, do której należał, objął tekę ministra obrony narodowej. Trzy lata później po ustąpieniu z zajmowanego stanowiska powołał do życia Nasjonal Samling. Celem NS było stworzenie korporacyjnego państwa stanowego. NS występował przeciw marksizmowi, materializmowi, liberalizmowi, kapitalizmowi. W polityce zagranicznej partia częściowo z powodów ideologicznych, a także geopolityczno-militarnych obrała kurs proniemiecki i zdecydowanie antybrytyjski.

Quisling utrzymywał od 1933 r. stały kontakt z czołowym ideologiem NSDAP Alfredem Rosenbergiem. Zdecydowanie wrogie wobec Wielkiej Brytanii nastawienie Quisling ujawnił w rozmowie z adm. Erichem Raederem, kiedy to wskazał na niebezpieczeństwo brytyjskiego desantu w Norwegii. Wypowiedziane przez niego słowa umocniły dowódcę Kriegsmarine w przekonaniu o konieczności uprzedzenia Brytyjczyków i dokonania ataku na Norwegię. Swoje przemyślenia lider NS powtórzył także w czasie dwóch spotkań 14 i 18 grudnia 1940 r. z Hitlerem. Quisling chciał, by Norwegia pozostała krajem neutralnym. Ale mając do wyboru Wielką Brytanię i III Rzeszę, skłaniał się do współpracy z Berlinem. Niemcy nie poinformowali go o swych przygotowaniach do lądowania w Norwegii. Dlatego rozpoczęta 9 kwietnia 1940 r. operacja „Waserübung" stanowiła dla niego zaskoczenie.

Pojawienie się Niemców stworzyło Quislingowi pewną szansę, którą zamierzał wykorzystać. Na falach radiowych ogłosił on powstanie rządu pod swoim przywództwem. Po pięciu dniach poseł pełnomocny Rzeszy w Norwegii, Kurt Bräuer, chcąc stworzyć warunki do współpracy z tradycyjnymi partiami politycznymi i rządem, zmusił go ustąpienia. Akcja przejęcia władzy przez Quislinga, nieuzgodniona z Niemcami, skomplikowała możliwość zastosowania w Norwegii wariantu duńskiego (król i rząd musieliby zaakceptować fakt okupacji i mogli dalej sprawować swe rządy).Po zdecydowanej odmowie króla Haakona VII, Niemcy przyjęli ofertę luterańskiego biskupa Eivinda Berggrva pośredniczenia w rokowaniach w sprawie przejęcia władzy w kraju przez Radę Administracyjną, utworzoną z Ingolfem Christensenem na czele. W jej składzie znaleźli się probrytyjsko nastawieni zwolennicy króla oraz Vidkun Quisling jako pełnomocnik ds. demobilizacji.

W tym czasie komisarzem Rzeszy w Norwegii mianowany został Josef Terboven, który rozpoczął okres swych pięcioletnich rządów od negocjacji nad powołaniem nowego politycznego ciała – Rady Państwa. Miejsce w niej, z ramienia NS, zamierzał przydzielić nie Quislingowi, ale bardziej uległemu politykowi: Jonasowi Lie. Próba zepchnięcia na boczny tor lidera NS spotkała się z kontrakcją ze strony Raedera i Rosenberga, którzy stanęli w obronie Quislinga. Ostatecznie Hitler zezwolił mu na powrót z Niemiec do Norwegii. Zbiegł się on w czasie z fiaskiem negocjacji Terbovena z przedstawicielami tradycyjnych partii politycznych, którzy nie chcieli zgodzić się na uczestnictwo członków NS w prezydium Rady Państwa. Brak porozumienia spowodował rozwiązanie Rady Administracyjnej i wszystkich partii politycznych poza NS. Dzięki temu partia ta zaczęła się rozwijać, osiągając liczbę 52 000 członków.

Premier Quisling

Przywódca NS rozpoczął zasypywanie władz III Rzeszy serią memorandów. W pierwszym, złożonym 25 października 1940 r., stwierdzał: „Norwegia pozostanie wolnym, niepodzielnym i niezależnym krajem". W dokumencie przedstawionym rok później szefowi Kancelarii Rzeszy Hansowi Lammersowi zawarł propozycje zastąpienia administracji niemieckiej administracją norweską. Na początku roku 1942 jego zabiegi na rzecz przejęcia władzy w okupowanym państwie zostały uwieńczone sukcesem. Pierwszego lutego Vidkuna Quislinga mianowano premierem narodowego rządu norweskiego. Kilkanaście dni po jego powstaniu świeżo upieczony prezes rady ministrów udał się do Niemiec celem spotkania z kanclerzem Adolfem Hitlerem i omówienia z nim przyszłości Norwegii.

Sprawę propozycji Quislinga przedstawił w swym dzienniku minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels: „[...] podczas rozmowy z Führerem rozwijał... naiwne wyobrażenia. Wierzy, że zezwoli mu się na sformowanie nowych norweskich sił zbrojnych, ponowne przejęcie ochrony norweskich portów, a w perspektywie na przywrócenie całkowicie wolnej Norwegii. To jest naturalnie naiwność. Führer zareagował na tego rodzaju postulaty wymijająco". Podczas narady 11 sierpnia 1942 r. w gronie najbliższych współpracowników kanclerz zdecydował się odrzucić propozycje Quislinga.

Tymczasem pomiędzy norweskim Førerem (norweski odpowiednik słowa „wódz") a komisarzem Terbovenem zaczęło narastać napięcie. Kością niezgody stały się zagadnienia gospodarcze, a konkretnie penetracja norweskiej gospodarki przez niemiecki kapitał, czemu premier zdecydowanie się sprzeciwiał. Quisling starał się utwierdzić swych rodaków w przekonaniu o stabilności, a przede wszystkim samodzielności swojej władzy. Potwierdzeniem tego miało być wypowiedzenie 16 sierpnia 1943 r. wojny ZSRS. Ochotnicy norwescy brali w niej udział, służąc od 1941 r. na froncie w niemieckich siłach zbrojnych (głównie Waffen-SS).

Przysłowiową polityczną czkawką odbiły się norweskiemu rządowi próby nazyfikacji różnych dziedzin życia. Doprowadziły one do konfliktów z nauczycielami, działaczami związkowymi, kościołem luterańskim. Do aktów nieposłuszeństwa doszło



Vidkun Quisling i Alfred Rosenberg FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Vidkun Quisling i Josef Terboven, komisarz Rzeszy FOT. WIKIMEDIA/NATIONAL ARCHIVES OF NORWAY

także w szeregach policji. W odwecie za niewykonanie rozkazu zatrzymania pięciu dziewcząt, które nie stawiły się do prac przymusowych, rozstrzelany został funkcjonariusz Gunnar Eilifsen. Po tym zdarzeniu w policji dokonano czystki. Część policjantów, niechcących złożyć deklaracji lojalności rządowi, 16 sierpnia 1943 r. aresztowano. Aż 271 z nich zostało deportowanych do KL Stutthoff (13 z nich tam zmarło).

Nieco wcześniej, w listopadzie 1942 r., Niemcy rozpoczęli masowe aresztowania osób pochodzenia żydowskiego. Liczba Żydów zamieszkujących terytorium Norwegii wynosiła 2173. Z tego zatrzymano i wywieziono 767 osób do KL Auschwitz. Zaledwie 26 z nich udało się przeżyć. Natomiast 930 zdołało dzięki pomocy Norwegów przedostać się do Szwecji. W tym kontekście rodzi się pytanie o odpowiedzialność władz norweskich za tę operację. Nasjanal Samling było partią zdecydowanie antysemicką. Quisling wielokrotnie negatywnie wypowiadał się na temat roli Żydów. Jednak to nie rząd norweski, a Niemcy zainicjowali akcję antyżydowską, choć na polecenie władz okupacyjnych wzięli w niej udział funkcjonariusze norweskiej policji. Z pewnością władze quislingowskie musiały być o niej poinformowane. Nie ma jednak dowodów, że Quisling i jego gabinet wiedzieli w momencie deportacji o losie, jaki miał czekać norweskich Żydów.

Kres zdrajcy

24 stycznia 1945 r. Vidkun Quisling spotkał się po raz ostatni z Adolfem Hitlerem. Podczas rozmowy Führer podtrzymał złożoną 28 września 1944 r. obietnicę zgody na niepodległość Norwegii. Naturalnie te składane pod wpływem pogarszającej się sytuacji na frontach deklaracje nie miały już kompletnie żadnego znaczenia. Przywódca ginącej po ciosami aliantów III Rzeszy jeszcze pod koniec stycznia nakazał Terbovenowi stosować zdecydowane represje wobec narastającej fali sabotaży. Podczas ostatnich miesięcy okupacji Norwegii zintensyfikował działalność norweski ruch oporu. 8 lutego 1945 r. członkowie podziemnego Milorgu zabili w Oslo komendanta głównego powstałej w 1941 r. Statspolitiet (policja państwowa), gen. Karla Marthinssena.

Terboven tuż po zamachu zwołał naradę, w której obok niemieckich dygnitarzy wzięli udział premier Quisling, minister policji Jonas Lie i minister sprawiedliwości Sverre Riisnæs. Komisarz Rzeszy domagał się egzekucji 75 norweskich zakładników. Ponieważ uczestniczący w spotkaniu Norwegowie zaprotestowali, liczbę rozstrzelanych obniżono do 34, choć faktycznie zabito 28 osób. Dość trafnie działania premiera w tej – i nie tylko w tej – sprawie opisał członek norweskiego parlamentu, a także działacz NS, Erling Bjørnson: „Quisling musiał pracować na dwa fronty, aby bezpiecznie przeprowadzić naród i kraj przez pięć lat okupacji. […] podczas gdy Quisling nieustannie próbował uchronić Norwegów przed własnym szaleństwem, duża część narodu robiła wszystko, aby się w nim znaleźć. Sabotaż, wysadzanie, zamachy musiały wywołać przeciwdziałanie władzy okupacyjnej".

30 kwietnia 1945 r. Adolf Hitler popełnił samobójstwo w Berlinie. Dwa dni po jego śmierci norweski premier skierował na ręce prezydenta Rzeszy Karla Dönitza telegram kondolencyjny. Znacznie bardziej emocjonalny w tonie był nekrolog napisany przez represjonowanego po wojnie laureata nagrody Nobla Knuta Hamsuna, który w dzienniku „Aftenposten" konstatował: „Nie jestem godzien mówić głośno o Adolfie Hitlerze, a jego życie i jego działalność też nie pobudzają do sentymentalnych wzruszeń. Był wojownikiem sprawy ludzkości i głosicielem ewangelii prawa dla wszystkich narodów. Był postacią reformatorską o najwyższej randze, a jego przeznaczeniem dziejowym było działać w czasach bezprzykładnej brutalności, której w końcu padł ofiarą. Tak powinien widzieć Adolfa Hitlera każdy zachodni Europejczyk. My, jego zwolennicy, schylamy czoło w obliczu jego zgonu".

Tymczasem klęska Niemiec zbliżała się nieuchronnie. Na terytorium Norwegii pod koniec wojny stacjonowały liczące 327 000 żołnierzy siły Wehrmachtu. 8 maja 1945 r. dowódca 20. Armii Górskiej, gen. Franz Böhme, podpisał w Lillehammer akt kapitulacji wojsk niemieckich. Quislinga informacja o tym zastała w prywatnej rezydencji w Villa Grande w Oslo. Niemcy zaproponowali mu możliwość ucieczki, którą stanowczo odrzucił. Swemu sekretarzowi powiedział: „Pozostanę tu, gdzie siedzę. Polityczna próżnia byłaby najgorszą rzeczą, jaka może zaistnieć. W każdym razie jestem zadowolony z tego, że rządziłem Norwegią równie długo jak Olaf Tryggvason i na pewno nie gorzej, jeśli wszystko wziąć pod uwagę. Jeżeli o mnie chodzi, to przekażę ten kraj w dobrym stanie jego przyszłym władcom, zakładając, że nie będą nimi Rosjanie. Przeciwko Rosjanom zmobilizuję każdego zdolnego do noszenia broni, nie bacząc na konsekwencje".

Następnego dnia on i jego ministrowie oddali się w ręce policji. Lidera NS umieszczono w twierdzy Akershus, gdzie oczekiwał na proces. Rozprawa rozpoczęła się 20 sierpnia i trwała do 6 września 1945 r. Niektórzy obserwatorzy, jak generał Otto Ruge, określali toczący się proces mianem farsy. 10 września 1945 r. sąd uznał Quislinga winnym zarzucanych mu czynów – m.in. zdrady kraju – i skazał go na karę śmierci. O uratowanie mu życia walczyła do końca żona Maria (Rosjanka z pochodzenia), pisząc listy z prośbą o łaskę do króla Haakona VII i premiera. Nie przyniosły one efektu. Wyrok na Vidkunie Quislingu został wykonany przez rozstrzelanie na terenie twierdzy Akershus 24 października 1945 r. o godz. 2.40.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Sławomir Koper

Towarzysz Szydlak uznał, że tekst wyśmiewał osiągnięcia ekipy Gierka i osobę I sekretarza. Ofiarą furii aparatczyka padł Krzysztof Jaślar...



Bohdan Smoleń i Zenon Laskowik

FOT. PAP

PRL / Zanim zdobyli sławę Laskowik z kolegami

Początki kabaretu Tey

Kabarety studenckie powstawały podobnie jak zespoły rockowe. Pomysł padał w gronie towarzyskim, potem do składu dołączali koledzy i znajomi znajomych. Zawsze znalazł się ktoś obdarzony talentem muzycznym czy literackim, a ktoś inny posiadał własny instrument. Po pewnym czasie krystalizował się podstawowy skład, a grupa szlifowała pierwszy program, który można było zaprezentować szerszej publiczności. Dalej wszystko zależało od szczęścia i odpowiednich kontaktów, a właściwie od jednego i drugiego.

Poznański Tey powstał w gronie studentów miejscowej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego. Jego bezpośrednim poprzednikiem był kabaret Klops, którego nazwa wcale nie nawiązywała do „najpopularniejszego dania studenckiej stołówki", a do efektów pierwszej premiery. W jego składzie znaleźli się późniejsi członkowie kabaretu Tey: Krzysztof Jaślar, Aleksander Gołębiowski i Zenon Laskowik.

Klops na AWF

„Zaczęliśmy odkrywać prawdę o tej uczelni – wspominał Laskowik – że ona jest bardzo upartyjniona, że wielu kolegów idzie do ZOMO i milicji, to zaczęliśmy zadawać sobie pytanie, co my tu robimy. Zaczęliśmy się wycofywać i robić kabaret Klops". Zespół szybko zdobył popularność na rodzimej uczelni. Jego członkowie obsługiwali akademie i uroczystości rocznicowe, spotkania i bale. W zamian dostali salę na próby, sprzęt nagłaśniający, a także przyznawano im okolicznościowe stypendia.

„Prorektorem uczelni był profesor Fibak (ojciec Wojtka) – relacjonował Jaślar. – Po każdej premierze przychodził z gratulacjami i propozycją, byśmy złożyli w dziekanacie podanie o stypendium losowe. Specjalistą od pisania takich podań był Laskowik. Jeśli komisja traktowała serio to, co podyktował – nie ma siły – musiała wzruszyć się ciężką dolą studenta tułacza, który potrzebował środków finansowych na zakup tenisówek na zimę i węgla dla matki sieroty. Zenek był ponadto ulubieńcem kucharek. Przez całe studia i długo potem żywił się – jak to mówią w Warszawie – na »krzywy ryj« i on jeden nie musiał podrabiać stołówkowych kartek".

Klops był zespołem typowo amatorskim, a jego członkowie nie wiązali przyszłości z działalnością estradową.

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Zespół kabaretu Tey
FOT. PAP

Jednym z ich znajomych był jednak szef uczelnianego ZSP, Zbigniew Napierała, który zaproponował członkom kabaretu, by promowali organizację wśród studentów pierwszego rocznika. Podobno wprawdzie „kusili głównie ładne dziewczyny i to niekoniecznie do przystąpienia do ZSP", ale w weekendy występowali w klubach studenckich Poznania. Zdarzały się im także wyjazdowe imprezy i tak dotarli do warszawskiego Medyka i krakowskich Jaszczurów. Prezentowali wówczas program „Czymu nie ma dymu", który po licznych zmianach miał stać się pierwszą premierą Teya.

Laskowik po uzyskaniu tytułu magistra (specjalizacja trener piłki nożnej!) dostał propozycję asystentury w Zakładzie Psychologii, a do tego prowadził radiowęzeł w akademiku macierzystej uczelni. Gołębiowski został nauczycielem WF i do podobnej roli przygotowywał się Jaślar, który planował powrót do rodzinnego Bytomia. Wtedy w sprawę ponownie wtrącił się Napierała, który w 1970 r. został dyrektorem Estrady Poznańskiej, a kilku jego znajomych z ZSP zaczęło odgrywać znaczącą rolę w mieście.

Wśród nich był Romuald Jezierski (sekretarz ds. propagandy KW PZPR w Poznaniu) i Maciej Frajtak (dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki urzędu wojewódzkiego). Dobre kontakty łączyły go również z Bogdanem Gawrońskim (późniejszym kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR) oraz absolwentem WSWF Bernardem Kamińskim, szefem Wydziału III KW MO w Poznaniu i późniejszym naczelnikiem KW MO. I właśnie w tym gronie zapadła decyzja, że w stolicy Wielkopolski powinien powstać zawodowy kabaret, skoro w Warszawie działała Stodoła, w Krakowie Piwnica pod Baranami, a we Wrocławiu Elita. W efekcie wybór czynników partyjnych padł na wesołych „magistrów od fikołków" z Klopsa.

Duży wpływ na to miał Napierała, który doskonale znał członków kabaretu. Wiedział, że Laskowik miał niesamowite poczucie humoru, a Jaślar pisał niezłe teksty i posiadał zmysł organizacyjny. Kabaret zmienił nazwę i od tej pory miał być znany jako Tey. Nazwa pochodziła z gwary poznańskiej i oznaczało po prostu „Ty", chociaż w jej zapisie zmieniono ostatnią literę. Podobno brzmiało to w sposób nieoczywisty i nieco z angielska…

Władza z kabaretem, a kabaret z władzą

Teyowcy byli pojętnymi uczniami i szybko też zorientowali się w podstawowych zasadach rządzących światem kabaretowym epoki PRL. Najważniejsza z nich głosiła, że „przemiennie występują w cyklu dwa okresy: kiedy wolno szczekać, a karawana jedzie dalej, i kiedy nie wolno szczekać, a karawana też jedzie dalej".

Kabaret od samego początku działalności znajdował się jednak pod ochroną miejscowych czynników partyjnych. Dzięki temu otrzymał stałą siedzibę przy ul. Masztalerskiej w centrum Poznania (pomieszczenie mogło pomieścić ok. 160 osób) i wpisano ich na listę płac poznańskiej Estrady. W założeniach swoich protektorów zespół miał „kanalizować dowcip polityczny", chociaż teksty prezentowane na scenie oczywiście musiały być zatwierdzane przez cenzurę. Laskowik, który najczęściej pojawiał się u cenzorów, przez dłuższy czas nie miał z tym jednak większych problemów, tym bardziej że miejscowa SB nie interesowała się specjalnie programami kabaretu. Niebawem jednak sytuacja miała się zmienić.

„W praktyce – meldował funkcjonariusz poznańskiej SB, Zdzisław Nowicki – nie wykonywali poleceń cenzury i wstawiali fragmenty zakazane, a nawet w ogóle niecenzurowane. Niektóre teksty kabaretu, zwłaszcza zawierające negatywne elementy polityczne, mają być kolportowane w różnych środowiskach społecznych".

Tey miał jednak poparcie Estrady i urzędu wojewódzkiego, których urzędnicy uważali, że kabaret powinien być jak najbardziej popularny. Poza lokalnymi ambicjami dochodził też czynnik finansowy, zespół grał kilka dni w tygodniu, bilety były stosunkowo drogie, a zyski trafiały do Estrady. Bez satyry politycznej popularność byłaby raczej niemożliwa, gdyż nikogo nie zainteresowałyby programy popierające linię PZPR. Podobnego zdania były władze partyjne Poznania, chociaż z wiadomych powodów wolałyby unikać drażliwych tematów. Ale skoro nie dało się tego ominąć, to należało występy kabaretu ograniczyć do małej salki przy Masztalerskiej i odmawiać zaproszeniom z terenu kraju. W Poznaniu Teyowcy byli zawsze pod ręką i można było w praktyce urzeczywistnić leninowską zasadę: zaufanie plus kontrola.

Tymczasem zmieniał się skład kabaretu. Trzon pozostał ten sam (Laskowik, Jaślar, Gołębiowski), ale sprawy muzyczne przejął student Poznańskiej Wyższej Szkoły Muzycznej, Zbigniew Górny (późniejszy słynny dyrygent i aranżer). Do zespołu dołączył również młody aktor po krakowskiej PWST, Janusz Rewiński, który szybko zyskał znaczną popularność. Słynny „Siara" z „Kilera" ważył wówczas o kilkadziesiąt kilogramów mniej, ale posiadał już ogromny talent komiczny. Miał już zresztą za sobą staż u boku Wiesława Dymnego w Piwnicy pod Baranami i teraz bez problemu odnalazł się w składzie Teya.

Układ poznański

Teyowcy stawali się coraz bardziej popularni i coraz mniej zwracali uwagę na zalecenia swoich przełożonych. Wprawdzie zdawali sobie sprawę z tego, że na ich przedstawieniach zaczęli pojawiać

eprasa.pl 0b86cb3ec7

się przedstawiciele SB (zawsze rezerwowano dla nich dwa bilety), ale pewni poparcia miejscowych „czynników" ignorowali zalecenia cenzury. Inna sprawa, że sposób myślenia cenzorów faktycznie czasami potrafił wprawić w osłupienie.

„Tekst »przeszedł« z jedną ingerencją – wspominał Jaślar. – Cenzor »wyciął« słowo »cenzura«. Tłumaczył, że wykreśla ten wyraz, gdyż cenzury w PRL nie ma, a wolność słowa gwarantuje konstytucja. Jeżeli cenzor skreśla w cenzurze słowo »cenzura«, twierdząc, że cenzury nie ma, świadczyć może tylko o daleko posuniętej schizofrenii. Tego nie wymyślił nawet mistrz absurdu – Ionesco".

Gdy na biurko szefa miejscowej SB, ppłk. Kamińskiego, trafiła taśma z nagranymi dowcipami o Sejmie, polecił nie wszczynać postępowania. Uznał, że wentyl bezpieczeństwa jest potrzebny, a kabareciarze swoimi skeczami nie wywołają żadnej „zadymy". Ale nie zawsze było tak spokojnie.

W czerwcu 1974 r. do Warszawy trafił tekst piosenki „Quo vadis, pieronie" autorstwa Laskowika i Jaślara. Cenzor ominął miejscowe władze i przekazał temat bezpośrednio na biurko towarzysza Jana Szydlaka z Komitetu Centralnego PZPR. Był to jeden z najbliższych współpracowników Edwarda Gierka i były szef Komitetu Wojewódzkiego w Poznaniu. Co gorsza, był też człowiekiem pozbawionym poczucia humoru.

Szydlak uznał, że tekst wyśmiewał osiągnięcia ekipy Gierka i bezpośrednio osobę I sekretarza. Zażądał rozwiązania kabaretu i wyrzucenia z pracy urzędników odpowiedzialnych za wydarzenia kulturalne w Poznaniu. Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale ostatecznie skończyło się tylko na jednej głowie. Ofiarą furii aparatczyka padł Krzysztof Jaślar. Wprawdzie autorów tekstu było dwóch, ale wiadomo było, że Laskowik musiał pozostać w składzie zespołu, gdyż jego odejście oznaczałoby koniec kabaretu. Pan Zenon posiadał tak ogromną vis comica, że nikt nie potrafiłby go zastąpić. Natomiast Jaślar był zdolnym autorem tekstów, ale na scenie nie dorównywał koledze. Zatem to na jego osobę i twórczość został nałożony całkowity zakaz cenzorski.

Artysta nie musiał jednak powracać do wyuczonego zawodu, gdyż zadziałał



SŁAWOMIR KOPER
„MISTRZOWIE POLSKIEGO KABARETU"
FRONDA

„układ poznański". Napierała został akurat dyrektorem regionalnego ośrodka TVP i ściągnął Jaślara do redakcji rozrywki. Ten potraktował sprawę bardzo poważnie i ukończył nawet podyplomowe studia dziennikarskie, chociaż nie zerwał kontaktów z Teyem. Po kilku latach wspólnie z Laskowikiem zaczął pisać kolejne programy kabaretu, chociaż nie mógł ich podpisywać, a współpraca miała trwać z przerwami aż do końca działalności zespołu. Od tej pory Laskowik uzyskał pozycję dyktatora w kabarecie. Z reguły przygotowywał zarysy scenariuszy, które dopracowywano na próbach. Ale jako autor figurował tylko pan Zenon.

W wypracowaniu własnego stylu pomogli młodzi krakowscy aktorzy, którzy zasilili szeregi zespołu. Krystyna Tkacz, Janusz Rewiński i Grzegorz Warchoł wzbogacili wizerunek kabaretu i właśnie wtedy pojawiała się też nowa formuła programu. Nie były to już pojedyncze skecze rozdzielane piosenkami, ale od początku do końca zaplanowane przedstawienie o wspólnej tematyce.

Z czasem udało się też osiągnąć pewien konsensus z cenzurą. Smutni panowie z SB dalej bowiem nawiedzali salkę przy Masztalerskiej i pisali notatki służbowe, narzekając na miejscowych artystów. „Wielokrotnie pomimo zakazu cenzury – informował kapitan Jerzy Siejek – przedstawiali programy w pierwszej wersji, względnie uzupełniali je o elementy antysocjalistyczne i antyradzieckie. Znamiennym było także, że teksty członków kabaretu znalazły się w audycji Radia Wolna Europa".

Funkcjonariusz podkreślał, że Teyowcy z całą świadomością podnosili tematy polityczne, chcąc zdobyć aplauz widowni. Programy kabaretu były zresztą w całości nagrywane do późniejszej analizy, gdyż „zabezpieczenie podobnych imprez tylko przy pomocy osobowych źródeł informacji nie dawało pełnego obrazu oraz nie ukazywało faktycznego stopnia zagrożenia". Najwyraźniej członkowie kabaretu także uznali, że sytuacja stała się poważna, gdyż również zaczęli nagrywać programy, a taśmy przechowywano w siedzibie poznańskiej Estrady w celu ewentualnej konfrontacji z zarzutami obserwatorów z SB. Wreszcie sprawa oparła się o najwyższe władze Poznania.

„Na skutek poinformowania władz politycznych – kontynuował kapitan Siejek – o negatywnej działalności kabaretu Tey z aktorami tego kabaretu zostały przeprowadzone rozmowy przez Komitet Wojewódzki PZPR, Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego oraz delegaturę GUKPPIW [cenzurę – przyp. S.K.] oraz ograniczono występy kabaretu. Spowodowano również ponowną interwencję cenzury w sprawę tekstów. Aktualnie, do końca maja br. [1975 – przyp. S.K.] występy kabaretu odbywają się tylko w soboty i w niedziele (po dwa spektakle). Od 1 czerwca br. działalność kabaretu zostanie zawieszona ze względu na remont pomieszczeń, który trwać będzie przez kilka miesięcy".

Zatwierdzone przez cenzurę teksty wręczano wykonawcom, żądając własnoręcznego podpisu. Oznaczało to bowiem zobowiązanie do odgrywania przedstawienia zgodnie z oryginałem, a każde przekroczenie ustaleń groziło usunięciem z zespołu. Przyniosło to efekty, gdyż kapitan Siejek z zadowoleniem zanotował, że „aktorzy zastosowali się do polecenia władz i w programach umieszczane są teksty wyłącznie zatwierdzone przez cenzurę".

Z potyczek z cenzurą Laskowik uczynił ważny element promocji kabaretu. „Co chwila wizyty u dyrektora na dywanie – opowiadał po latach – i dawano mi do podpisu naganę wystawianą za to, że mówiłem treści poza cenzurą w dniu takim i takim. […] Ja brałem taką naganę i naklejałem na ścianę przed wejściem i widzowie czytali. To była dla mnie reklama".

Niebawem miało dojść do kolejnych zmian personalnych i kabaret zasilił przybyły z Krakowa Bohdan Smoleń. W duecie z Laskowikiem zdobyli ogólnopolską popularność, ale to już materiał na kolejny artykuł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

K. Jaślar, „Kabaret Tey 1971–1989. Teksty, wspomnienia, pomówienia", Poznań 1992, s. 16–17.
Zenon Laskowik – wywiad 15.03.2019, https://www.youtube.com/watch?v=nBkRl03lyK4
IPN BU 03264/1561
IPN BU 03264/1561

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Zofia Batycka, Miss Polonia 1930 FOT. BN

Wywiad / Z Markiem Telerem



rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Misstrzostwa II Rzeczypospolitej

ZBIGNIEW ZAPERT: Kto i kiedy wpadł na pomysł krajowych konkursów piękności?

MAREK TELER: Pierwsze inicjatywy pojawiły się jeszcze w czasach zaborów. Podobno już w 1888 r. pewien ekscentryczny polski hrabia chciał zorganizować „wystawę piękności" na wzór tej zorganizowanej w tym samym czasie w belgijskim uzdrowisku spa. W kolejnych latach organizowane były zapewne jakieś pomniejsze konkursy urody, a z pierwszą inicjatywą o ogólnopolskim charakterze wystąpił magazyn „Pani", który w 1923 r. ogłosił konkurs pod chwytliwym tytułem: „»Pani«" szuka najpiękniejszej pani". Triumfowała w nim Halina Dunin-Łabędzka, co okazało się dla niej swego rodzaju trampoliną do sukcesu, bo zagrała potem w dwóch filmach polskich i dwóch francuskich.

Uczestniczki pionierskich zmagań zrazu występowały pod pseudonimami?

Posługiwały się tzw. godłami, zresztą niejednokrotnie bardzo fantazyjnymi, jak Fragonard, Sfinks, Mira Bianca, Jou-Jou czy… Okazja. Dziennikarze zachowali się zresztą bardzo szlachetnie, ujawniając prawdziwe personalia tylko piątki najpiękniejszych dziewcząt wytypowanych w konkursie.

W kolejnej edycji wyborów o powodzeniu decydowały trzy elementy?

W 1925 r. dziennikarze „Expressu Porannego" i „Kuriera Czerwonego" zorganizowali konkurs na Królową Pracy, Urody i Cnoty, określany też potocznie mianem konkursu na Królową Warszawy, ponieważ brały w nim udział wyłącznie mieszkanki stolicy. Jego zwycięzczyni, pracownica cukierni Janina Tuszyńska, ozdabiała rozmaite wydarzenia kulturalne syreniego grodu. Nadmierne zainteresowanie prasy jej osobą sprawiło jednak, że zaczęła strasznie gwiazdorzyć i żądać sporych pieniędzy za publiczne wystąpienia, co stosunkowo szybko zakończyło jej karierę.

Laureatka następnych zawodów została oszukana?

Firma Fanamet, zajmująca się dystrybucją filmów amerykańskich na rynek europejski, zorganizowała w roku 1926 wybory Filmowej Piękności Europejskiej, określane niekiedy mianem pierwszego

eprasa.pl 0b86cb3ec7

konkursu Miss Europy. Udział w przedsięwzięciu wzięły także Polki, a w eliminacjach krajowych wytypowano trzy: Anielę Bogucką, Alicję Konopkę i Maję Rudzką. Wyjechały do Berlina, gdzie międzynarodowe jury wybrało spośród nich Bogucką, która następnie w Wiedniu zmierzyła się z innymi europejskimi pięknościami. Przegrała jedynie ze Stefiką Vidacic z Jugosławii, lecz i tak otrzymała propozycję wystąpienia w amerykańskim filmie. Marzenie o hollywoodzkiej karierze prysło, ponieważ jeszcze w 1927 r. Fanamet został rozwiązany i do wyjazdu za Atlantyk nie doszło. Bogucka pozostała w kraju, wyszła za mąż za Tadeusza Federowicza, dystyngowanego dyrektora Miejskiej Kasy Oszczędnościowej w Krakowie, i porzuciła marzenia aktorskie.



Kandydatki do tytułu Miss Polonia 1930 FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Gdzie te imprezy urządzano? Jak rezonowały?

Kluczową rolę w organizacji konkursów piękności odgrywała prasa. To właśnie na jej łamach publikowano zdjęcia uczestniczek. Po dokonywanej głosami czytelników selekcji kandydatki prezentowały się przed jury złożonym z luminarzy kultury. W przypadku dwóch pierwszych edycji konkursu Miss Polonia, w latach 1929 i 1930, wybory gościły w progach hotelu Polonia. Prasa „rewolwerowa" dokładnie śledziła ich przebieg, a następnie rozpisywała się na temat kolejnych „missek". Powstawały też na ich cześć piosenki, wiersze, a nawet rysunki, zwłaszcza satyryczne. Wybory miss miały bowiem także szereg przeciwników, uważających je za próżną rozrywkę ku uciesze gawiedzi.

Szyld Miss Polonia pojawił się dopiero dzięki inicjatywie warszawskiego koncernu prasowego?

Jak już wspomniałem, za organizację pierwszego w historii konkursu Miss Polonia odpowiadały warszawskie dzienniki „Express Poranny" i „Kurier Czerwony", przy wsparciu krakowskiego tygodnika „Światowid". W wielu źródłach można znaleźć informację, jakoby nazwę konkursu Miss Polonia wymyślił pisarz Tadeusz Boy-Żeleński, ale wiadomość ta wydaje się bardzo wątpliwa. Początkowo pisano o konkursie „Miss Poland", lecz po kilku dniach zaczęto używać nazwy „Miss Polonia", z dopiskiem, że tak właśnie mówią o wyborach zagraniczni dziennikarze. Nazwa „Miss Polonia" – zamiast choćby „Miss Polska" – była uważana za bardziej szlachetną, a przecież ów konkurs miał się kojarzyć z elegancją.

Pierwsza Miss Polonia pokonała córkę marszałka sejmu Ignacego Daszyńskiego oraz przyszłą partnerkę życiową premiera Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego.

Władysława Kostakówna, skromna urzędniczka Miejskiej Kasy Oszczędnościowej w Warszawie, córka głuchoniemych rodziców – po śmierci ojca samotnie opiekująca się schorowaną matką – z dnia na dzień stała się gwiazdą polskiej prasy. Nigdy nie pragnęła sławy, a udział w wyborach starała się wykorzystać do prowadzenia działalności dobroczynnej, zwłaszcza z zakresu obrony praw zwierząt. Podczas wojny przebywała we Francji, pełniąc rolę szyfrantki we francusko-polskiej komórce wywiadu morskiego, podporządkowanej Ekspozyturze „Francja", zwanej „F-2". Wykazała się wyjątkową odwagą i bohaterstwem, a za swoją działalność otrzymała tzw. King's Medal for Courage in the Cause of Freedom (Królewski Medal za Odwagę w Sprawie Wolności) oraz wiele innych wysokich odznaczeń państwowych. Po wojnie mieszkała w Maroku i Francji, wspierając finansowo kilkanaście psich schronisk w Polsce.

Znaczna część bohaterek książki usiłowała zaistnieć na ekranie. Z jakim skutkiem?

Status gwiazdy zyskała przede wszystkim finalistka Miss Polonia Maria Bogda. Skądinąd poślubiła jednego z czołowych amantów krajowego kina, Adama Brodzisza. Wielką karierę aktorską zrobiła też Lidia Wysocka, wyróżniona w konkursie na królową magazynu „Kino", która w Polsce Ludowej była spiritus movens popularnego kabaretu Wagabunda. Janina Wilczówna, finalistka konkursu Miss Judea (wystąpiła tam pod rodowym nazwiskiem Wilczerówna), też zaistniała szerzej w filmie, grając choćby w dramacie „Doktor Murek", adaptacji dyptyku powieściowego Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

Obywatelki polskie wyznania Mojżeszowego walczyły o prymat estetyczny osobno? Inicjatywa spowodowała konflikt w żydowskich kręgach?

Na fali popularności konkursu Miss Polonia przedstawiciele syjonistycznego dziennika „Nasz Przegląd" zainicjowali wybory Miss Judei, czyli najpiękniejszej Żydówki. Mianem tym uhonorowano warszawiankę Zofię Ołdakównę, która wkrótce stała się bohaterką skandalu obyczajowo-religijnego. Po tym, jak działacz syjonistyczny Joszua Heszel Farbstein zaczął publicznie śpiewać na jej cześć „Pieśń nad Pieśniami", zakazano

eprasa.pl 0b86cb3ec7



U dołu: Władysława Kostakówna, pierwsza Miss Polonia (1929)
FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

jej wstępu do synagog i domów modlitwy, a kolejnych edycji Miss Judei zaniechano. Oczywiście poza konkursem Miss Judea Żydówki startowały też w ogólnopolskich konkursach urody, a nawet odnosiły w nich całkiem spore sukcesy, jak choćby finalistka polskiej edycji konkursu na Europejską Piękność Filmową Alina Konopka czy wicekrólowa magazynu filmowego „Kino" Irena Kamieniecka.

Najmilszy Podlotek wzbudził protesty natury prawnej tudzież moralnej?

Ów konkurs został zorganizowany przez tygodnik „Światowid" jako odpowiednik dzisiejszych wyborów Miss Nastolatek. Mogły w nim brać udział już czternasto14-latki, co zapewne wzbudzało pewne kontrowersje obyczajowe, lecz nie sądzę, by właśnie to spowodowało jego efemeryczność. Być może brakowało pomysłu, jak nagrodzić owego „Najmilszego Podlotka". Faktem jest jednak, że uczestniczka konkursu Agnieszka Kuck zagrała główną rolę w filmie „Mocny człowiek" u boku popularnego rosyjskiego aktora Grigorija Chmary, więc miała swoje pięć minut sławy.

Jury drugiego konkursu Miss Polonia nie doceniło aparycji Krystyny Skarbek?

W niektórych publikacjach można znaleźć nieprawdziwą informację, jakoby została wicemiss, więc uznałem, że moja książka stanowi dobrą okazję, by ten błąd sprostować: znalazła się jedynie w gronie 15 finalistek. Życie tej wojennej bohaterki zostało wnikliwie opisane, więc przypomnę tylko w telegraficznym skrócie: była agentką brytyjskich służb specjalnych i zainspirowała Iana Fleminga do stworzenia postaci Vesper Lynd, ukochanej Jamesa Bonda z „Casino Royale".

Międzywojenna prasa sugerowała, że konkursowe jury ulegało rozmaitym naciskom...

Pojawiły się nawet zarzuty o kumoterstwo czy nepotyzm. O ile wybór Kostakówny żadnych kontrowersji nie budził, o tyle już zdjęcie Zofii Batyckiej na konkurs z 1930 r. wysłała dziennikarka Jadwiga Migowa, zaangażowana w organizację imprezy. Trzeba jednak pamiętać, że jury wyborów Miss Polonia składało się z wybitnych przedstawicieli polskiej sztuki, zatem ocena piękności kandydatek była podbudowana jakąś formą artystycznej wrażliwości i wyczucia. Więcej krytyki doświadczali ze strony krajowej prasy francuscy organizatorzy wyborów Miss Europy. Szczególne oburzenie wywołało w 1929 r. zwycięstwo Węgierki żydowskiego pochodzenia – Erzsébet Böske Simon, którą oskarżano (zwłaszcza na łamach gazet endeckich) o to, że jest kuzynką organizatora konkursu. Faworytką publiczności była bowiem Władysława Kostakówna, lecz musiała się zadowolić drugą lokatą.

Największy pokonkursowy skandal obyczajowy dotyczył szefa sztabu Wojska Polskiego?

Generał Tadeusz Kasprzycki stracił głowę dla aktorki Zofii Kajzerówny, finalistki konkursu Miss Polonia A.D. 1930. Romans zakończył się samobójstwem żony generała, utratą jego reputacji, a także szeregiem złośliwych plotek i obelg na temat samej Kajzerówny. Było bowiem tajemnicą poliszynela, że to właśnie wpływowemu kochankowi zawdzięczała swój nagły wzrost popularności pod koniec lat 30. Kasprzycki bez żadnego skrępowania sugerował teatrom, w jakich rolach mają obsadzać jego ukochaną. Mimo tak dramatycznej uwertury Kasprzycki i Kajzerówna spędzili razem cztery dekady, mieszkając po wojnie w Wielkiej Brytanii i Kanadzie.

Niektórymi z missek zainteresowały się tajne służby Polski Ludowej?

Wynikało to przede wszystkim z ich losów wojennych. Sława Wendowa, żona pułkownika dyplomowanego piechoty Wojska Polskiego Zdzisława Zygmunta Wendy, zaangażowała się w działalność konspiracyjną tzw. grupy legionowej na Węgrzech. Była wielką orędowniczką polityki prowadzonej przez marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Po zakończeniu wojny wróciła do Polski, utrzymując kontakty z dawnymi współpracownikami pozostałymi na emigracji, toteż trafiła pod lupę bezpieki. Kostakówna, już jako Władysława Śliwińska funkcjonująca we francusko-polskim ruchu oporu, stała się zaś obiektem ohydnych plotek rozsiewanych przez aparat bezpieczeństwa. Posądzano ją o romans z pasierbem, dyskredytując jej zasługi wojenne.

Jedna z opisanych trafiła do łagru. I to dwa razy!

Krystyna Höflingerówna była faworytką konkursu Miss Polonia 1930, a jedno z pism opublikowało nawet błędną informację, że to właśnie jej przypadł główny laur. W przeciwieństwie do faktycznej zwyciężczyni Batyckiej, także lwowianki, która wojnę przeżyła na emigracji, Höflingerówna zdecydowała się pozostać w rodzinnym mieście. Nie ominęły jej więc represje związane z zajęciem Lwowa przez Sowietów. W styczniu 1945 r. trafiła do obozu kontrolno-filtracyjnego w Krasnodonie koło Woroszyłowgradu, z którego została zwolniona po 10 miesiącach. Trzy lata później, z wyrokiem pięciu lat obozu pracy – za prowadzenie kiosków z tytoniem, czyli zakazanego w komunistycznych realiach „prywatnego interesu" – znalazła się zaś w łagrze w Igarce nad Jenisejem. Nie był to zresztą koniec jej życiowych dramatów. W 1982 r. jej syn zginął w tajemniczych okolicznościach. Wypadł z okna fabryki, gdzie pracował. Uznano, że popełnił samobójstwo. Ponieważ jednak krytykował rozwiązania wprowadzone w swym miejscu zatrudnienia, jego matka uważała, że został zamordowany.

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Agnieszka Kuck FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W 1932 r. wyłoniono dwie królowe piękności?

Pod koniec stycznia w Paryżu organizator konkursu Miss Europy Maurice de Waleffe wybrał jako polską delegatkę na wybory Zofię Dobrowolską z Poznania. Nie mogła ona jednak wziąć udziału w wyborach Miss Universe, które zaplanowano na lipiec 1932 r., więc Waleffe postanowił wysłać tam jako Miss Polonię Sławę Kowalską, polską emigrantkę, która pod koniec lat 20. zamieszkała w Paryżu. Prasa krajowa miała Francuzom za złe, że samodzielnie delegują Polki na konkursy. O ile o Dobrowolskiej niektóre polskie pisma, choćby te z jej rodzinnego Poznania, wypowiadały się pochlebnie, o tyle wybór Kowalskiej spotkał się wyłącznie z negatywnym odbiorem ze strony dziennikarzy. Nie była ona ich zdaniem szczególnie urodziwa, a do tego jeszcze miała męża, co powinno ją z miejsca dyskwalifikować z walki o koronę miss.

Pierwszy zagraniczny sukces w tej dziedzinie osiągnęliśmy za sprawą Rosjanki?

W 1933 r. najpiękniejszą kobietą Starego Kontynentu uznano Tatianę Masłową, emigracyjną Miss Rosji. Na co dzień mieszkała w Wilnie, miała ojczyma Polaka i znakomicie znała nasz język. Jej osiągnięcie eksponowano więc medialnie.

W zagranicznej konkurencji missek z powodzeniem startowała Janina Smolińska...

U schyłku lat 20. brała udział w konkursach piękności w Deauville, Brukseli i Londynie, po czym wyjechała do Stanów Zjednoczonych, licząc na karierę w Hollywood. Skończyło się tylko na epizodach, ale i tak zaistniała na łamach amerykańskich pism. Wszystko za sprawą jej małżeństwa z przedsiębiorcą Wacławem Walterem Grabowskim, wyjątkowo nieudanego. Gazety rozpisywały się o głośnej rozprawie rozwodowej pary, w czasie której małżonkowie zarzucali sobie nawzajem przemoc domową. Smolińska wróciła do Polski, a tu czekały ją kolejne nieprzyjemności, gdyż publicysta Stanisław Brochwicz oskarżył ją o... kradzież i pobicie. Ostatecznie jednak wycofał zarzuty i przeprosił Smolińską za pomówienia. Tuż przed wybuchem wojny trafił do aresztu pod zarzutem szpiegostwa na rzecz III Rzeszy. Na początku okupacji niemieckiej odzyskał wolność, zaczął kolaborować z hitlerowcami i zginął z rąk polskiego państwa podziemnego.

Pretendentki do miana piękności „Kina" też zapisały ciemne karty w polskiej historii?

O romanse z hitlerowskimi dygnitarzami wysokiej rangi, współpracę z gestapo i denuncjowanie Żydów posądzano królową „Kina" z 1934 r. – Lidię Użycką. Inną uczestniczkę tego konkursu, tancerkę Franciszkę Mannównę, widywano podczas okupacji w towarzystwie wpływowych gestapowców. Bez większego problemu przechodziła z getta warszawskiego na „stronę aryjską". Warto jednak wspomnieć, że cały czas cieszy się ona w niektórych kręgach – zwłaszcza wśród amerykańskich Żydów – opinią bohaterki, ponieważ tuż przed śmiercią w obozie koncentracyjnym Auschwitz zastrzeliła SS-mana Josefa Schillingera. Wiem, że powstaje bardzo wnikliwa biografia Mannówny. Trzymam kciuki, by książka ukazała się także w Polsce.

Najtragiczniej potoczyły się chyba losy Ireny Kamienieckiej...

Ta wicekrólowa konkursu urody magazynu „Kino", córka potentata cukierniczego z firmy Plutos, wraz z mężem, lekarzem Tomaszem Wertheimem, przedostała się w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej z Polski do Brazylii. W „kraju kawy" spotkały ją niemal wyłącznie tragedie. Rozstanie z mężem, a następnie nieszczęśliwy związek z wpływowym brazylijskim przedsiębiorcą sprawiły, że wpadła w alkoholizm. Zginęła w niejasnych okolicznościach, wypadając z okna swego mieszkania na ósmym piętrze wieżowca w Rio de Janeiro. Oficjalnie było to samobójstwo, lecz jej syn nie ma wątpliwości, że została zamordowana przez współlokatora. Pod koniec życia poruszała się bowiem na wózku inwalidzkim i nie byłaby w stanie samodzielnie wyskoczyć z okna.

Nasza ostatnia przedwojenna „misska" miała rodowód emigracyjny?

W 1937 r. francuski dziennikarz Maurice de Waleffe wybrał jako polską delegatkę na konkurs Miss Europy Józefę Kaczmarkiewiczównę, której rodzice – rodem z Wielkopolski – mieszkali przez pewien czas w Zagłębiu Ruhry, a następnie przenieśli się do Francji. Nie zajęła znaczącej pozycji, ale zasmakowała egzotyki, gdyż impreza odbyła się w Algierii.

O palmę pierwszeństwa w urodzie konkurowały też polonuski w USA...

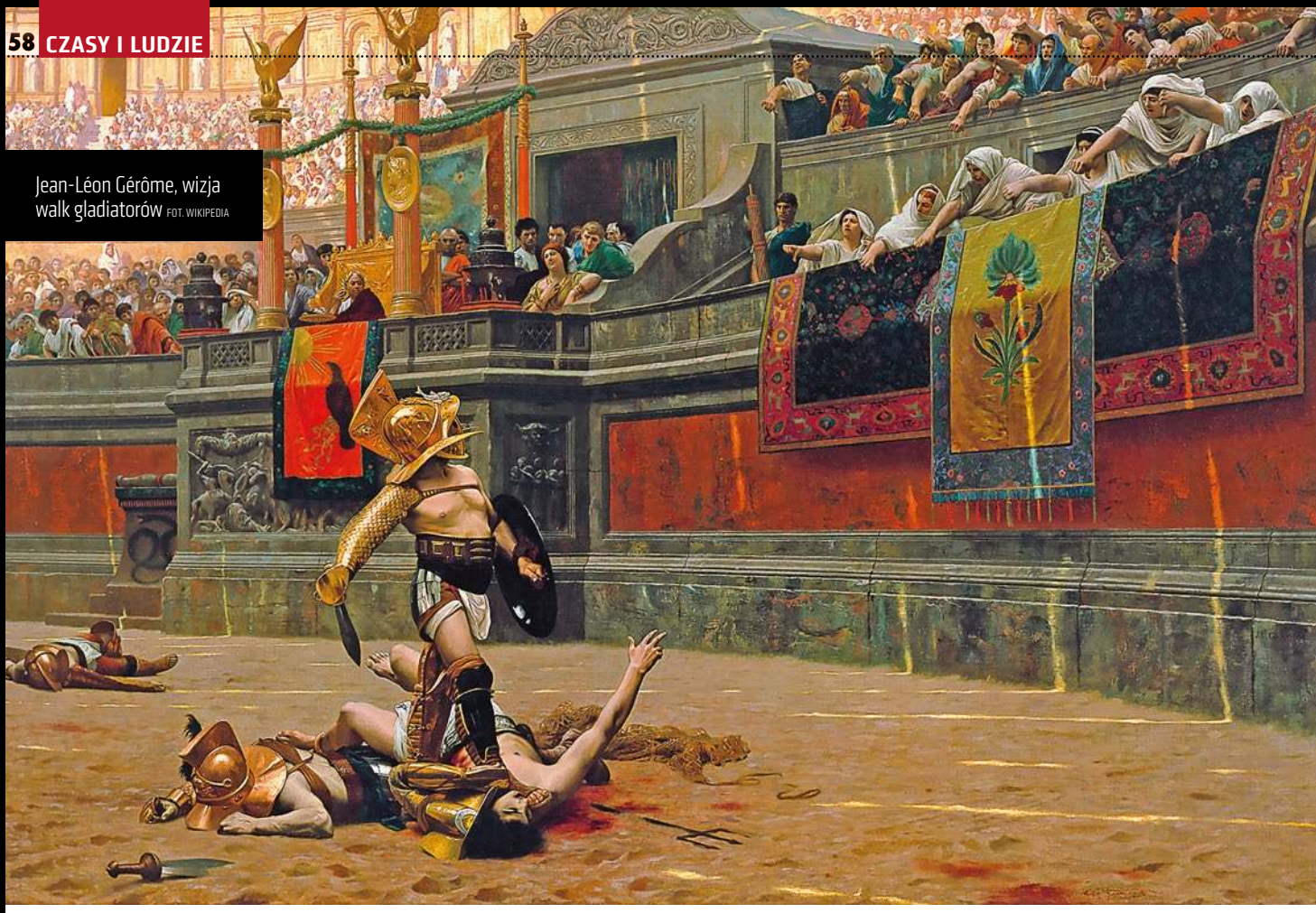
Jedną z ciekawszych inicjatyw środowisk polonijnych w Stanach Zjednoczonych w latach 20. i 30. były wybory Miss Polonii amerykańskiej. Składała się na nie seria konkursów organizowanych przez rozmaite polonijne periodyki na terenie USA. Nagrodą dla zwyciężczyni była podróż do Polski, zwykle znanej jej jedynie z opowieści rodziców czy dziadków. Zaszczytu tego dostąpiły Emilia Jurczakówna, Adela Kowalska, Zefiryna Nowakówna i Jadwiga Bieńko. Polska prasa rozpisywała się na ich temat i chętnie wypytywała je o ich amerykańskie życie. Ostatnia z amerykańskich miss Polonii przybyła do Polski wiosną 1939 r., kiedy u nas panowała już napięta atmosfera związana z widocznym na horyzoncie widmem kolejnej wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Teler – publicysta i pisarz. Autor książek: „AK-torzy kontra kolaboranci. Zagadka Iny Benity", „Upadły amant. Historia Igo Syma", „Amanci II Rzeczypospolitej" i najnowszej: „Piękne skandalistki. Przedwojenne Miss Polonia".

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Jean-Léon Gérôme, wizja walk gladiatorów FOT. WIKIPEDIA

Wywiad / Z Garretem Ryanem, znawcą dziejów antycznego Rzymu



rozmawia Piotr Włoczyk

Lew, pot i łzy

PIOTR WŁOCZYK: W filmie „Gladiator" cesarz Kommodus ginie w spektakularny sposób podczas walki w Koloseum. Czy w rzeczywistości jego śmierć była równie filmowa?

GARRET RYAN: Tak naprawdę jego śmierć była równie dramatyczna, co żałosna. Filmowy Kommodus rządzi krótko, zapewne kilka miesięcy, być może rok. W finałowej scenie widzimy, jak zabija go gladiator grany przez Russela Crowe'a. W rzeczywistości natomiast Kommodus rządził 12 lat i został zgładzony w wyniku przewrotu pałacowego. Jego kurtyzana spiskowała

– Gladiatorzy potrafili w Rzymie osiągnąć status niemal celebrycki. Jednak i poza Rzymem lud podziwiał gladiatorów. Pokazują to doskonale malowidła odkryte w Pompejach – mówi amerykański historyk

eprasa.pl 0b86cb3ec7

z częścią senatorów i dworu. Pierwsza próba morderstwa zakończyła się niepowodzeniem – trucizna, którą dosypano mu do jedzenia, nie zadziałała. Powtórka była już skuteczna. Kommodus zginął w trakcie kąpieli uduszony przez swojego sparingpartnera.

Czy można go nazywać cesarzem gladiatorem?

Jak najbardziej. Historycy wciąż debatują, czy tak dalece posunięta fascynacja walkami gladiatorów była efektem jego zwichrowanej psychiki czy może jednak była to dobrze przemyślana strategia. Koloseum czy Circus Maximus były ogromnymi arenami, gdzie cesarze rzymscy mogli wpływać bezpośrednio na wielkie tłumy. Dziesiątki, setki tysięcy ludzi mogły oglądać swojego władcę. Rozsądni cesarze, nawet gdy sami niezbyt przepadali za taką rozrywką, dbali o to, by pojawiać się tam i budować w ten sposób swój wizerunek wśród ludu. Kommodus robił więc to samo, co jego poprzednicy, choć poprzeczkę zawiesił tu nieco wyżej. Zamiast wygodnie siedzieć w swojej cesarskiej loży i przyglądać się walkom, sam wychodził na arenę. Pokazywał wówczas ludowi swoją odwagę i siłę. Jednak tezie o starannie przemyślanej strategii PR-owskiej zdają się przeczyć inne jego zachowania.

Chodzi panu o to, że Kommodus nieprzesadnie twardo stąpał po ziemi?

Tak, wygląda na to, że ten cesarz nie był do końca zdrowy na umyśle. Cierpiał na manię wielkości, czego dowodem było choćby nakazanie zmiany nazw miesięcy czy też przemianowanie Rzymu na własną cześć.

Kommodus był synem Marka Aureliusza. Zdaje się, że z punktu widzenia rzymskiej elity była to dosyć istotna zmiana jakościowa...

Rzymski historyk Kasjusz Dion stwierdził, że po śmierci Marka Aureliusza skończyła się złota epoka, a zaczęła epoka żelaza. Kasjusz Dion wiedział, co mówił, ponieważ był senatorem za obu cesarzy. Zostawił po sobie opis sytuacji, którą widział na własne oczy w Koloseum. Kommodus odciął wówczas głowę strusiowi i pokazał ją senatorom w czytelnym geście – jesteście następni w kolejce, jeżeli nie spodoba mi się wasze zachowanie.



Gladiatorzy. Mozaika ze Zliten (Libia) FOT. WIKIPEDIA

Jego walki były starannie wyreżyserowane, by cesarzowi nie spadł przypadkiem włos z głowy?

Najprawdopodobniej tak właśnie było. Z przekazów wiemy, że cesarz zawsze walczył niezaostrzonymi lub wręcz drewnianymi mieczami, więc nigdy nie zabił człowieka na arenie. Chcąc pokazać ludowi, że jest miłosierny, nigdy nie przelewał na arenie ludzkiej krwi. Choć z drugiej strony podczas widowisk zabił tysiące zwierząt, m.in. nosorożca, co było absolutną sensacją.

Wygląda na to, że Kommodus świetnie czułby się w towarzystwie Nerona czy Kaliguli.

Cała trójka zajmuje dalekie miejsca na liście najlepiej ocenianych cesarzy rzymskich, ale widać u nich jeszcze jedną wspólną cechę: wszyscy trzej starali się być cesarzami ludu, gardzili elitą i zabili bardzo wielu członków arystokracji.

Bez wątpienia najsłynniejszym gladiatorem w historii Rzymu był Spartakus. Czy jego rebelia miała jakiekolwiek szanse na powodzenie?

Tak, ale musimy pamiętać, o co tak naprawdę mu chodziło. Prowadzona przez niego grupa byłych gladiatorów i niewolników nie miała obalać rzymskich władz. Tym ludziom chodziło o wyrwanie się spod kontroli Rzymian.

Spartakus zebrał dosyć pokaźną, zdyscyplinowaną i nieźle walczącą armię. To, jak zmiażdżył pierwsze legiony wysłane przeciw niemu, musiało zrobić wrażenie na rzymskiej elicie. Tym bardziej że armia Spartakusa znalazła się w pewnym momencie blisko samego Rzymu. Panowała wówczas obawa, że groźny buntownik skieruje swoje siły przeciw miastu, które w tamtym okresie nie miało murów obronnych z prawdziwego zdarzenia. Malowniczości tej historii dodaje to, że armia byłych niewolników i gladiatorów rozbiła obóz w kraterze Wezuwiusza. Rzymianie musieli zaangażować wielki siły, by pokonać Spartakusa.

Co było jego największym błędem?

Plan ucieczki z Półwyspu Apenińskiego, polegający na zdaniu się na usługi piratów i ich okrętów. Zdrada kosztowała go wszystko. Gdyby lepiej to zaplanował, zapewne udałoby mu się uciec z Italii wraz z resztą przywódców buntu. Przewiezienie całej armii było zapewne kompletnie nierealne.

Co sprawiło, że powstanie Spartakusa było największą rebelią niewolników w historii Rzymu?

Sekret leży w liczbach. Niedługo przed powstaniem Spartakusa Rzym podbił cały rejon śródziemnomorski. W trakcie tych kampanii setki tysięcy ludzi trafiło do niewoli. Spośród nich większość wysłano do Italii. Masy tych ludzi pracowały w podobnych warunkach jak czarni niewolnicy w USA. Na wielkich plantacjach właściwie jedyną siłę roboczą stanowili niewolnicy. Powstała w ten sposób masa krytyczna. Byli to ludzie zniewoleni stosunkowo niedawno, którzy dodatkowo w większości posługiwali się tym samym językiem. Podaż niewolników była wówczas tak duża, że ich cena była bardzo niska. W związku z tym właściciele traktowali ich generalnie źle. W tym klimacie pojawia się nagle charyzmatyczny człowiek, który namawia do buntu i pokazuje perspektywę ucieczki. Wieść o tym rozchodziła się z prędkością błyskawicy.

Po powstaniu Spartakusa rzeka niewolników płynących do Italii zaczęła się zmniejszać, co też sprawiło, że byli oni drożsi i przez to lepiej traktowani przez właścicieli. Rzymianie pomni

eprasa.pl 0b86cb3ec7

doświadczeń z czasów powstania stworzyli prawo, które miało zapewnić niewolnikom nieco lepsze warunki. W ten sposób bardzo ograniczono m.in. możliwość legalnego okaleczania takich ludzi. I rzeczywiście, potem nie dochodziło już do podobnych buntów.

Czy Spartakus był prawdziwą gwiazdą wśród gladiatorów?

Niestety, bardzo niewiele wiadomo o jego życiu przed rebelią. Był to tracki gladiator, ale to akurat nie było niczym specjalnym, ponieważ Trakowie znani byli w Rzymie jako doskonali gladiatorzy.

Bardzo wiele napisano na jego temat po powstaniu, ale są to w większości bardzo niepewne informacje.



Amfiteatr Flawiuszów, czyli Koloseum FOT. ADOBE STOCK

Gladiatorzy byli w starożytnym Rzymie kimś na kształt celebrytów?

Szczególnie ci, którzy walczyli w samym Rzymie, byli w stanie osiągnąć status niemal celebrycki. Ale również poza Rzymem lud podziwiał gladiatorów. Pokazują to doskonale malowidła na ich temat odkryte w Pompejach. Wiadomo, że do najlepszych wojowników wzdychały całe zastępy kobiet. Rzymski poeta Marcjalis napisał kilka ciekawych wierszy o najbardziej znanych gladiatorach walczących w Koloseum.

Gladiatorzy byli podzieleni na różne ligi. Ci z samego szczytu inkasowali za walki najwięcej i ich przydomki były doskonałą reklamą dla organizatorów walk. W rzymskich miastach najlepsi gladiatorzy trafiali nawet na ówczesne plakaty. Tacy ludzie mogli mieć pewność, że po przejściu na emeryturę i uwolnieniu będą mogli cieszyć się dostatnim życiem. Nierzadko jednak najlepsi gladiatorzy „zawieszali" swoją emeryturę i brali udział w walkach, za które dostawali bardzo dobre pieniądze.

Podobnie jest dziś, gdy niejeden utytułowany bokser „kończy karierę", po czym wielokrotnie wraca na ring, by zarabiać na takich walkach fortunę.

Jak widać, niewiele się w tych sprawach zmieniło przez dwa tysiące lat.

Jak można było zostać gladiatorem?

Na kilka sposobów. Dobrym źródłem pozyskiwania ich były wojny. Spośród pojmanych wrogów wybierano najlepiej prezentujących się wojowników i wysyłano do szkół gladiatorów. Do tych szkół trafiali też niewolnicy, którzy robili swoim panom problemy. Czasem nawet wolni ludzie szli do szkoły gladiatorów. Były to jednak bardzo rzadkie przypadki.

Dlaczego na okładce pańskiej książki mowa jest o „brzuchatych gladiatorach"?

Piętnaście lat temu w tureckim Efezie odnaleziono pozostałości cmentarzyska gladiatorów. Austriaccy archeolodzy dokonali analizy wykopanych tam kości. Potwierdzono, że dieta gladiatorów składała się głównie z wielkich ilości zupy fasolowej z jęczmiennym kleikiem. Była to istna węglowodanowa bomba. Austriaccy naukowcy zasugerowali początkowo, że z powodu takiej diety gladiatorzy mieli najprawdopodobniej nadwagę.

Zdrowy rozsądek podpowiada jednak, że to raczej niemożliwe.

Gladiatorzy nie mieli pewnie takiej rzeźby jak współcześni kulturyści, ale przecież całymi dniami ćwiczyli. Używali do tego ciężkich rodzajów broni, wylewając litry potu. Dieta, którą im serwowano, byłaby przekleństwem każdego pracownika biurowego, ale gladiatorzy naprawdę mieli dużo okazji, by spalić kalorie. Mozaiki z czasów rzymskich pokazują ich jako potężnie zbudowanych mężczyzn z wielkimi mięśniami i próżno na nich szukać wielkich brzuchów.

Jak często walki gladiatorów kończyły się śmiercią jednego z nich?

Trenowanie gladiatora trwało ponad rok, więc był to proces bardzo kosztowny. Właściciele szkół gladiatorów wypożyczali swoich wojowników, więc musieli się jakoś zabezpieczać przed szybką utratą zbyt wielu z nich. Inaczej wyglądała sprawa z perspektywy organizatorów walk. Zależało im przecież na tym, by widzowie czuli dreszcz adrenaliny, by kojarzyli te walki z ryzykiem.

Nie mamy oczywiście precyzyjnych danych, ale wygląda na to, że większość gladiatorów, którzy zginęli na arenie, straciła życie na początku szkolenia. Doświadczeni gladiatorzy mieli statystycznie rzecz biorąc dużo większe szanse na przeżycie. Nie wynikało to jedynie z lepszych umiejętności, które siłą rzeczą pozwalały łatwiej przetrwać. Wygląda na to, że między właścicielami szkół i organizatorami walk zawierane były ciche układy, które pozwalały oszczędzać najdroższych zawodników.

Czyli już w starożytnym Rzymie ustawiano walki...

Sporo do powiedzenia miały też tłumy, które mogły oszczędzić pokonanego gladiatora lub wydać na niego wyrok śmierci. Wygląda na to, że widzowie generalnie byli skłonni darować życie bardziej doświadczonym wojownikom, którym podczas walki „powinęła się noga".

Badacze spróbowali oszacować, jak często walki gladiatorów kończyły się śmiercią jednego z nich. Z szacunków tych wynika, że w jednej walce na dziesięć gladiator tracił życie. Jak widać, śmierć wcale nie była pewna w takich starciach. Choć prawdą jest też, że zdarzały się walki reklamowane jako starcia „bez litości"...

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Czy można mówić o swego rodzaju braterstwie między tymi wojownikami?

Gladiatorzy mieli swój etos. Wiele mówią na ten temat inskrypcje z grobów tych wojowników. Na jednym z nich widać zadziwiające słowa: „Nigdy świadomie nie uczynił nikomu krzywy". Gladiatorzy walczyli na tej samej arenie, bili się najlepiej, jak potrafili, ale zabijali tylko wtedy, gdy musieli. To było swego rodzaju braterstwo. Jeden z gladiatorów przeszedł z tego powodu do historii, o czym świadczy napis na jego grobie. Człowiek ten zabił innego gladiatora tylko dlatego, że jego przeciwnik znany był z krwiożerczości i braku litości dla innych wojowników.

Wspomniał pan, że gladiatorzy dostawali pieniądze za swoje walki. Wynagrodzenie nie jest czymś, co kojarzymy z niewolnictwem...

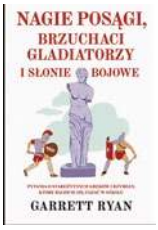
Rzymski system niewolnictwa był dużo bardziej skomplikowany niż to, co miało miejsce choćby w Ameryce. Za każdym razem, gdy gladiatorzy byli wynajmowani przez właściciela szkoły, to on inkasował większość pieniędzy, ale część środków trafiała na ich „konto". A jeżeli wygrali walkę, to dostawali bonus. Trochę przypomina to fundusz emerytalny legionistów, którzy po opuszczeniu szeregów wojska mogli myśleć o większych inwestycjach. Lepsi gladiatorzy mogli dzięki takiemu kapitałowi kupić tawernę lub kawał ziemi rolnej i cieszyć się życiem emeryta.

W swojej książce opisuje pan najwspanialszą arenę, na której toczyły się walki – Koloseum. Jak to możliwe, że Rzymianom zbudowanie tej gigantycznej budowli zajęło niewiele więcej czasu niż nam postawienie Stadionu Narodowego w Warszawie?

Rzymscy budowniczowie byli po prostu bardzo dobrzy w realizowaniu ogromnych inwestycji. Koloseum budowano najprawdopodobniej siedem–osiem lat. Kontrakty na ten projekt cesarz przydzielił czterem dużym przedsiębiorstwom budowlanym. Kluczem do sukcesu była doskonała koordynacja prac poszczególnych ekip, wykształcenie świetnych murarzy, a także zastosowanie betonu na dużą skalę. Do wylewania tego ostatniego nie trzeba specjalistów. Nawet niewykwalifikowany robotnik jest w stanie kruszyć kamienie, wrzucać je w wyznaczone miejsce i zalewać specjalnie przygotowaną „pastą". Taki system bardzo przyspiesza budowanie. Jak widać do dziś choćby po Koloseum, rzymski beton jest przy tym naprawdę wytrzymały.

Patrząc na przekrój modelu Koloseum, nietrudno zrozumieć, dlaczego w świecie antycznym ta budowla nie miała sobie równych.

Koloseum posiadało 80 wejść – 76 z nich użytkowanych było przez publiczność. Komunikacja w tej budowli została tak świetnie przemyślana, że można ją było opróżnić z widzów w zaledwie kwadrans. Myślę, że niemała część współczesnych stadionów miałaby problem z osiągnięciem takiego wyniku. Każdy widz wiedział dokładnie, którędy ma iść, ponieważ na wejściówce miał odpowiednie oznaczenie.



GARRETT RYAN
„NAGIE POSĄGI, BRZUCHACI GLADIATORZY I SŁONIE BOJOWE"
REBIS

Jeszcze większe wrażenie od tego, co można było podziwiać na zewnątrz, robiło to, co było ukryte. Podziemia nazywane były hypogeum. Składały się na nie dwa piętra tuneli i pomieszczeń, które pozwalały lwom wyskakiwać na arenę, a także wydobywać na powierzchnię sztuczne góry i drzewa. Co najmniej raz arenę zalano, by odegrać przed widzami bitwę morską.

Niesamowite było również Velarium – płócienne zadaszenie, które rozciągane było nad widzami przez oddział marynarzy ściąganych w tym celu specjalnie do Rzymu z pobliskiej bazy morskiej.

Koloseum to szczytowe osiągnięcie rzymskiej inżynierii budowlanej.

Ile kosztowały bilety na odgrywane tam spektakle?

Nic. Wejściówki były rozdawane za darmo przez cesarza, który okazywał w ten sposób mieszkańcom Rzymu swoją szczodrość. Zawsze jednak popyt na bilety był większy od podaży – w Koloseum było ok. 50 tys. miejsc, a Rzym liczył milion mieszkańców. Dostawała je elita, a także zrzeszenia zawodowe, np. kupcy czy szewcy. W związku z tym, że widowiska cieszyły się ogromną popularnością, niemała część biletów trafiała do „koników". Generalna zasada stanowiła, że im wyżej ktoś siedział, tym niższe miejsce zajmował na drabinie społecznej. Na samej górze drewniane ławki był tak strome, że w zasadzie widzowie cały czas musieli stać.

Koloseum było jednym wielkim wentylem bezpieczeństwa dla cesarza?

Myślę, że takie określenie dobrze oddaje funkcję tej budowli. Rzymscy cesarze wydawali fortunę na zapewnienie sobie poparcia tłumów, m.in. na rozdawanie mieszkańcom Rzymu darmowego ziarna oraz na zapewnienie rozrywek w Koloseum i Circus Maximus.

W naszej wyobraźni Koloseum zajmuje czołowe miejsce, jeżeli chodzi o antyczne budowle, ale pod względem pojemności nie mogło się ono równać z Circus Maximus, który był pięć razy większy od Koloseum.

Był to prosty tor wyścigowy z miejscami siedzącymi, który mógł pomieścić 250 tys. widzów! O ile w Koloseum wystawiano bardzo drogie widowiska, więc nie organizowano ich częściej niż kilkanaście razy w roku, o tyle w Circus Maximus wyścigi odbywały się kilka razy w tygodniu! Ten tor był tak ogromny, że po jednej jego stronie był pałac cesarski, a po drugiej Awentym – wzgórze zamieszkane głównie przez robotników. Circus Maximus był więc rodzajem pomostu między władcą a ludem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Garret Ryan jest amerykańskim historykiem, znawcą dziejów antycznych, prowadzącym na YouTube bardzo popularny kanał historyczny „Toldinstone". W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Nagie posągi, brzuchaci gladiatorzy i słonie bojowe. Pytania o starożytnych Greków i Rzymian, które baliście się zadać w szkole".

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Krzysztof Masłoń

Wedle jego słów: „Martwi mnie to, że byłem w partii dwadzieścia jeden lat... Poniosłem straty jako pisarz... Zmarnowane lub odłożone prace... Nie wszystko da się nadrobić...”



Andrzej Braun

FOT. JAN BOGACZ, GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

1923–2008 / Między „bohaterem conradowskim” i konformistą

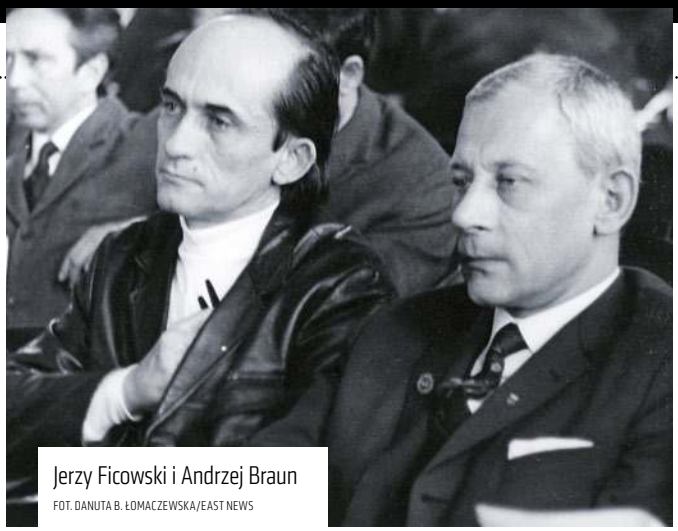
Ziemia obiecana Andrzeja Brauna

Andrzej Braun zasłynął najbardziej antypartyjnym przemówieniem na Zjeździe Związku Literatów Polskich w Katowicach w kwietniu 1978 r., najostrzejszym spośród wystąpień tych ludzi pióra, którzy ośmielili się wtedy skrytykować politykę kulturalną PZPR. Naruszył przy okazji kilka absolutnych tabu, upominając się m.in. o prawdę o zbrodni katyńskiej. Następnego dnia podczas bankietu wydanego przez ministra górnictwa Włodzimierza Lejczaka wicewojewoda katowicki Zdzisław Gorczyca wygłosił obraźliwą wobec Brauna i innych literatów replikę. Na znak protestu imprezę opuściło kilkudziesięciu pisarzy, w tym Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Putrament.

Brauna znano już z działalności opozycyjnej wobec władz, prowadzonej przede wszystkim na forum organizacji pisarskiej, ale nie tylko. Był np. jednym z 17 pisarzy – obok m.in. Jerzego Andrzejewskiego, Agnieszki Osieckiej, Marka Nowakowskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza i Zbigniewa Herberta – którzy podpisali list do ministra sprawiedliwości w obronie uwięzionych w 1970 r. i skazanych rok później na wysokie wyroki członków podziemnej organizacji Ruch.

W 1980 r. złożył swój podpis pod apelem 64 intelektualistów, by władze podjęły dialog ze strajkującymi robotnikami. W grudniu tego samego roku, w atmosferze posierpniowego entuzjazmu, odbył się zjazd Związku

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Jerzy Ficowski i Andrzej Braun
FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

Literatów Polskich, który wybrał nowe władze związkowe. Przewodniczącym został Jan Józef Szczepański, Andrzej Braun jego zastępcą. Ten pierwszy w dzienniku 16 grudnia zanotował: „Coraz jaśniej widzę, w co się dałem wpakować. Wczoraj telefon od Szczypiorskiego. Komeraże wokół składu Zarządu. Braun wejdzie tylko za zgodą Woroszylskiego, Sito nie wejdzie, jeśli wejdzie Braun itd. Dziś dalszy ciąg. Pieszczachowicz miał telefon od Wasilewskiego, że egzekutywa jest obrażona i zaleci członkom partii bojkot Zarządu". Później, gdy powstanie Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, to właśnie Braun będzie jego prezesem w latach 1990–1993.

Czy tego chciał czy nie, przylgnęła do niego etykieta pisarza politycznego. W oświadczeniu z 15 czerwca 1992 r. (11 dni po odwołaniu gabinetu Jana Olszewskiego!), które sygnował m.in. ze Stefanem Bratkowskim, ubolewał: „W działaniach i wypowiedziach polityków nasiliły się ostatnio wzajemne osądzenia o złą wolę. Używa się oskarżeń o zdradę narodową, o zamiary dyktatorskie – bez przeprowadzenia dowodów prawdy dających się ocenić przez opinię publiczną. Obraża to poczucie sprawiedliwości […]. Najostrzejsza walka polityczna nie usprawiedliwia chęci moralnego upokorzenia przeciwnika. Dla powszechnego dobra apelujemy o przyzwoitość w czynach i słowach". Przyzwoitość? Niewiele dni później inni pisarze, w tym Rymkiewicz, Nowakowski i Herbert, stwierdzili krótko, że miał miejsce „przewrót polityczny dokonany w obronie agentów komunistycznych służb specjalnych. Ofiarą tego przewrotu padł rząd Jana Olszewskiego".

Więcej, niż człowiek może

W 1951 r. wspólnie z Wiktorem Woroszylskim i Andrzejem Mandalianem opublikował „Wiosnę sześciolatki", w zamierzeniu mającą stać się odpowiednikiem przedwojennych „Trzech salw" Broniewskiego, Wandurskiego i Standego. Wiersze, które pomieścili w tym zbiorze, powstawały kolektywnie – no, może nie dosłownie. We wstępie do „Wiosny sześciolatki" pisali: „Wszystkie obiekty [FSO na Żeraniu, Żyrardowskie Zakłady Włókiennicze, kopalnie Anna, Staszic, Jaworzno, Nową Hutę i Stocznię Gdańską – przyp. K.M.] zwiedziliśmy razem, każdemu odcinkowi pracy przypatrywały się trzy pary oczu, we trzech tłumaczyliśmy sobie wszystkie sprawy, na które się natykaliśmy. Wspólnie tworzyliśmy koncepcje wierszy. Na podstawie tej przedyskutowanej koncepcji pisał każdy z osobna".

Po latach powody uczestniczenia w tego rodzaju przedsięwzięciach usiłować będzie wyjaśnić w wywiadzie, który Jacek Trznadel włączy do swojej „Hańby domowej" (1986), będącej rozrachunkiem ze wstydliwą dla wielu ludzi pióra przeszłością. Oto zapis Wiktora Woroszylskiego w prowadzonym przez niego dzienniku (z 2 stycznia 1987 r.): „[…] Skończyłem czytać »Hańbę domową«. Kiepskie wrażenie zrobiło na mnie niestety tokowanie Andrzejka Brauna. Słaby człowiek, popychany przez różne wiatry, który usiłuje siebie widzieć w postaci bohatera conradowskiego, a winę za wszystko zwalić na innych (między innymi na mnie). Jedno się tym wszystkim »wywiadowcom« (nie tylko Trznadlowi) udało: napuścić pisarzy. Wracając do Andrzeja. Swoją drogą, skoro tak wpłynąłem na jego wstąpienie do partii i pisanie »Wiosny sześciolatki«, dlaczego nie miałem wpływu, kiedy trzeba było odejść z »Nowej Kultury« (1958) i kiedy rozstawałem się z partią (1966 – on czekał jeszcze dwa lata)?...".

No cóż, „Wituś – przyznawał Andrzej Braun – miał na mnie fatalny wpływ, bo myśmy się zawsze bardzo przyjaźnili, choć wtedy jeszcze nie na zasadzie jakichś głębszych wspólnych doświadczeń. Miał na mnie wpływ także Leszek Kołakowski, Ryś Herczyński, mój »życiowy« krąg… Oni ulegali modzie udawania »komsomolców«, to się szerzyło. Na prywatnych spotkaniach zaczynały się ruskie piosenki, głosili, że jesteśmy formacją »dzierżyńszczaków«, była to strasznie głupia, drażniąca mnie moda, wydawało mi się to szczeniackie. Byłem już trochę starszy i odpychało mnie to".

Widać jednak nie tak bardzo, skoro w 1953 r. spłodził poświęcony „Żelaznemu Feliksowi" utwór dziękczynny:

Tak On ciągle w oczy spogląda…
Dzięki, Partio, za taki wzorzec!
Wyrastamy, gdy od nas żądasz
więcej, niż człowiek może.

Wytrzymałość ludzka bywa ogromna. Ale czy wytrzymałość czytelnicza także? A „poetyckich" pomysłów Braunowi, niestety, nie brakowało. Między innymi postulował zmianę nazwy… Nowej Huty, pisząc w poemacie sławiącym jej budowę:

Dumne procenty już po nocach świecą,
cyfry – hutami dymią.
Polski Komsomolsk – dajmy przyszłym piecom
najdumniejsze ze wszystkich imię.

Marzenie miał jedno:
Ja opisuję batalie z czasem.
bo chciałbym jeszcze w komunie pożyć.
Rozkołysany zwycięskim marszem
w tym jednym świecie, gdzie można tworzyć.

Z czasem miał zmienić zdanie w tej kwestii, i to diametralnie.

Życie rodzinne

Jego przodkowie, jak pisał w autobiograficznej książce „Psie Pole" (1997), przywędrowali z Bawarii na Mazowsze na przełomie XVIII i XIX w. Rodzina Braunów – wyjaśniał – „osiedliła się w Niwie, gmina Naruszewo, powiat płocki, pośród innych niemieckich osadników. Nie zapisali się w życiu publicznym w tym szarpanym powstaniami i wojnami kraju. Zapewne harowali po chłopsku z niemiecką skrzętnością… dziadek Henryk

eprasa.pl 0b86cb3ec7

mieszkał już w mieście Łodzi, gdzie go czasem odwiedzał, według wspomnień babcinych, pradziad Johan, gospodarzący wciąż na wsi mazurskiej i przywożący wiejskie wiktuały. […] Dziadek Heinrich, ów syn Johana i matki bodaj ze Szreterów, ożenił się z babcią […], rdzenną Polką, Michaliną Rachalewską [to samo imię otrzymała siostra Andrzeja Brauna, słynna ze sprzedawanej w PRL spod lady »Sztuki kochania« Michalina Wisłocka; miał także pisarz brata Jana, sumerologa, orientalistę, a córką Andrzeja Brauna z pierwszego małżeństwa jest Ewa Braun, scenografka, laureatka Oscara za »Listę Schindlera« – przyp. K.M.]". Warunkiem ślubu było przejście na katolicyzm i tak dziadek pisarza „całkiem się spolonizował jako Henryk Braun".

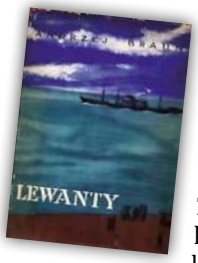
Miał Henryk Braun sześcioro dzieci, wśród nich Jana, ojca pisarza, ożenionego z Anną z Żylińskich, wywodzącą się tych samych stron co Braunowie, z okolic Mławy. Andrzej Braun (1923–2008) przyszedł na świat w rodzinie nauczycielskiej. Jego ojciec, po skończeniu studiów w Warszawie, został kierownikiem łódzkiejszkoły – na Bałutach, w której pierwsze nauki pobierał przyszły autor „Psiego Pola". A wychowywał się w świecie polsko-niemiecko-żydowskim, rzeczywiście trochę jak z „Ziemi obiecanej". Niby wszyscy koledzy byli Polakami, jednak „ci uważani za »Szwabów«, chociaż formalnie byli Polakami takimi jak wy, tyle że z tradycją niemiecką lub protestancką – otóż oni przeważnie byli zamożniejsi i lepiej usytuowani społecznie. Jak cię później uświadamiano w szkole, stanowili oni »warstwę średnią« wobec polskiego »proletariatu fabrycznego«. Wynika z tego zatem, że już jako dziecko stawałeś wobec konfrontacji i porównań oraz że się już w tobie rodził jakiś kompleks niższości, kompleks przecież niewymyślony".

Matka pisarza była żarliwą katoliczką, ale ojciec miał opinię wojującego antyklerykała. Mogły więc zastanawiać w szkole, którą zarządzał, wielkie wizerunki papieża i Piłsudskiego. „Marszałek to jeszcze… – pisał po latach. – W klasach widniały cytaty pod szkłem: »Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi…«. Kult Marszałka panował w twej rodzinie dość powszechnie. Reprezentowała go przede wszystkim ciotka Kazimiera, najmłodsza siostra mamy, działaczka legionowa i peowiaczka, późniejsza posłanka na Sejm. […] Więc Marszałek, to zrozumiałe, ale dlaczego papież? Uważałeś, że ojciec uległ tu czyimś naciskom, że był to w istocie oportunizm. Potem zrozumiałeś dopiero: publiczne życie dorosłych musi być pełne takich kompromisów".

Żar i wiedza

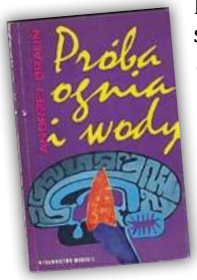
Po wojnie zapisał się na polonistykę, uczęszczając w Łodzi na marksistowskie seminarium organizowane pod patronatem Kuźnicy, a prowadzone przez takie późniejsze tuzy naszej humanistyki, jak Żółkiewski, Ważyk czy Kott. Poznał Leszka Kołakowskiego i Wiktora Woroszylskiego.

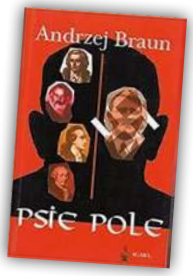
„Wszedłem do organizacji ZWM – czytamy zwierzenie Brauna w »Hańbie domowej« – filii akademickiej, ona różniła się od ZWM-u masowego. Patronował jej na terenie Łodzi Moczar, który był szefem UB i stałym gościem naszego klubu, podobnie jak Mijal, wówczas prezydent miasta. Władza chciała się spotykać z »pozytywną« młodzieżą. Ja, im głębiej w ten krąg ludzi wchodziłem, tym bardziej oddalałem się od mego dawnego środowiska. Dochodziły już do mnie wieści, że tego aresztowano, że tamtego… Było to bardzo ciężkie, wiedziałem bowiem, że nic nie mogę zrobić. Przychodzili do mnie czasami jacyś zbłąkani znajomi: ty jesteś tak dobrze w »rzeczywistości« (tak się wtedy mówiło) osadzony, może byś mógł coś pomóc… Było mi wstyd i przykro, ale zdawałem sobie sprawę, że każdy płaci za to, co robi. On wojował w lesie i strzelał, ja zdecydowałem, że nie będę wojował w lesie.













Pamiętam jednak z tamtego okresu, że miałem jakby dwie dusze: osobiście należałem do ZWM-u, ale życzyłem wszystkiego najlepszego PSL-owi. I do końca wierzyłem, że normalną drogą, jak dojdzie do wyborów, to sytuacja się wyklaruje. W referendum głosowałem jeszcze »dwa razy tak«, a nie »trzy razy tak«".

Może tak i było, po tym jednak, co pisał i czasem publikował, trudno się było tego domyśleć. A pisywał wtedy głównie wiersze, z początku jeszcze możliwe, niebawem już wyłącznie agitki, godne politowania, nie wiadomo, czy bardziej straszne czy żałosne. Z tym że niektóre z nich stanowiły klasę samą dla siebie. Autor raczej mało przekonująco tłumaczył się po latach, że były to „robótki użytkowe". Czyżby? Sięgnijmy po „Agonię i nadzieję" Piotra Kuncewicza, jak najdalszego od krytykowania Brauna, a jednak stwierdzającego jego poetycki upadek – „wyjątkowo głęboki". I przypominającego takie kwiatki z łączki socrealistycznej liryki:

Świarne dziewki płowowłose,
powiem ja wam wszystkim,
nie chcę innej prócz Maryśki,
naszej traktorzystki.
[…]
Cóż, że wspólna droga niełatwa,
jeszcze wyzysk, nienawiść tkwi.
Trzeba wyrwać zadziory kułactwa
z spracowanych dłoni naszej wsi.
[…]
Na hucie „Florian" idzie bitwa
o piec nr 5, o skrócony wytop.
Konferencja Młodych Bojowników
o Pokój wita
meldunek z głową odkrytą.
Brygada Hanusika – Kozioł, Maj, sami młodzi
(dyrekcja nie chciała oddać im pieca).
Najgorszy piec – a czas skrócili kilka godzin,
bo nie ma norm czy praw, gdy wtargnie żar i wiedza.

„I tak można bardzo długo – komentował Kuncewicz. – Lecz

eprasa.pl 0b86cb3ec7

po co? Skutek był ostatecznie taki, że Braun do poezji już nie powrócił […]".

Na Dalekim Wschodzie

Jego prozatorskie wyczyny wymykają się jednoznacznej ocenie. Ciekawy był np. „Wallenrod" (1990), o którym Stefan Chwin pisał, że „to opowieść o przemianie Polaka w patriotycznego mściciela, ale Braun daleko odbiega od mickiewiczowskiego pierwowzoru w jego ujęciu wallenrodyzm to sposób życia podsunięty Polakom przez wroga… Braun opowiada właściwie o Wallenrodzie jako paradoksalnym »wychowanku« Nowosilcowa… Książka Brauna odsłania duchowe konsekwencje wyboru długotrwałej strategii patriotycznego podstępu. Wallenrodyczny lot »Batyra« upojonego zbawicielskim marzeniem kończy się klęską i wtrąca go w egzystencjalną bezradność, w stan zupełnego załamania. Makiawelliczna zasada »cel uświęca środki« odsłania swoją samobójczą treść…".

Miał licznych zwolenników „Bunt" (1976), dziejący się w Azji, podobnie jak wcześniejsze, z 1964 r., „Zdobycie nieba", o podboju Tybetu, wyraźnie nawiązujące do tego, co pisał André Malraux. W „Buncie" z kolei mamy w tle wojnę w Korei, akcja zaś dzieje się w Hongkongu. Ta egzotyka była uzasadniona, Andrzej Braun bowiem między 1953 a 1956 r. przebywał właśnie w Korei i Chinach, gdzie był korespondentem „Trybuny Ludu", a jeszcze w 1959 r. odbył podróż do Chin i Wietnamu. I tak się rozsmakował w dalekich wyprawach, zwłaszcza rejsach, że zajął się badaniem życia i twórczości Josepha Conrada, wykazywał też aktywność w Międzynarodowym Instytucie Kultury Morskiej. A choć pokpiwano sobie z jego pierwszych reportaży z Chin („Samolotem i lektyką", 1957) i zbliżonych tematycznie opowiadań („Zwycięzcy z nad Tatu-Ho", 1960), to szybko uznano go za autorytet w kwestiach dalekowschodnich. Na początku siódmej dekady przez trzy lata kierował działem kultury miesięcznika „Chiny". Jeśli zaś chodzi o jego fascynacje autorem „Lorda Jima" (m.in. „Conrad – dotknięcie Wschodu" z 1970 r., „Śladami Conrada" z 1972 r. czy „Kreacja Costaguany: Świat południowoamerykański u Conrada" z 1989 r.), to nie od rzeczy będzie przypomnieć, że uczestniczył Andrzej Braun w wielu kongresach poświęconych Conradowi, a w roku 1975 został przewodniczącym Polskiego Klubu Conradowskiego.

Nawet w najdalszych swoich wojażach nie tracił z pola widzenia tego, co działo się w kraju. Przyłączył się więc, naturalnie, do popaździernikowej odnowy, publikując w 1957 r. „Piekło wybrukowane", z którego niedwuznacznie wynikało, że tak wzniośle opiewany przez niego wcześniej system komunistyczny niósł ze sobą nie tyle wyzwolenie człowieka, ile jego zniewolenie.

Jak to pisał Adam Ważyk w osławionym „Poemacie dla dorosłych"? „Przybiegli, wołali: w socjalizmie skaleczony palec nie boli. / Skaleczyli sobie palec. Poczuli. Zwątpili". Zwątpił i Braun.

Nie wszystko da się nadrobić

Jednak jako człowiek wątpiący, do tego z kombatancką kartą Armii Krajowej (od lipca 1944 r. walczył w oddziale partyzanckim AK w Kieleckiem i Krakowskiem), 13 lat po „polskim październiku", już jako bezpartyjny (z PZPR wystąpił w 1968 r.), wydał powieść „Próżnia", za którą niebawem otrzymał Nagrodę Państwową. Musiała się „Próżnia" komunistom podobać, gdyż bohater powieści, żołnierz KBW zresztą, walczy w niej z bandą „Hetmana", w powojennej Polsce palącą wsie i mordującą biednych ludzi. Mówiąc wprost, z Żołnierzy Wyklętych zrobił Andrzej Braun zbrodniarzy.

A PRL-owskie władze uhonorowały go już wcześniej, i to Nagrodą Państwową w 1955 r., za wydane trzy lata wcześniej „Lewanty", jego prozatorski debiut. Był to produkcyjniak co się zowie, z bohaterami czarno-białymi, konfliktami dotyczącymi – powiedzmy – technologii, obowiązkowym sabotażystą itd. A jednak była to bodaj jedyna polska powieść produkcyjna, którą dało się doczytać do końca, nawet z niejakim zainteresowaniem. Autor zaś tymi właśnie „Lewantami" zainicjował, tak owocną dla jego twórczości, tematykę morską.

Pozornie w jego życiorysie i pisarskiej biografii nic się nie zgadza. W przywoływanym już tutaj wywiadzie z „Hańby domowej" opowiadał o tym, jak w przededniu 11 listopada 1939 r., po wcieleniu Łodzi do Reichu, aresztowana została cała jego rodzina. „Aresztowania – wspominał – objęły także inżynierów, lekarzy i fabrykantów – owych łódzkich Schreiberów, Grohmanów, którzy się uważali za Polaków. Nawet z tym starym Grohmanem czy Geyerem wyjeżdżaliśmy tym samym bydlęcym wagonem z Łodzi, nie wiadomo dokąd…". W AK-owskiej partyzantce walczył z Niemcami. „Gdy przyszedł koniec wojny, było to już po tym naszym »powstaniu pińczowskim« w roku 1944, mieliśmy poczucie absolutnej klęski: upadek Powstania Warszawskiego i nasze własne doświadczenie, podobne, choć w skali oczywiście dużo mniejszej, jednakże w takiej samej sytuacji zatrzymanie frontu i zduszenie tego naszego powstania [w 1982 r. wyda o tzw. Republice Pińczowskiej powieść „Rzeczpospolita chwilowa" – przyp. K.M.] przez Niemców". W 1953 r. napisze książeczkę „W kraju odzyskanych przyjaciół. Szkice z Niemieckiej Republiki Demokratycznej".

Wypisywał rzeczy niewiarygodne. Ten uchodzący za moralistę conradysta swego czasu, dokładnie w 1951 r., gromił Tadeusza Różewicza za uleganie wpływom Eliota. Ale przecież w zdecydowanej większości swoich książek stawiał to samo najważniejsze pytanie z Conrada rodem: o wierność samemu sobie. A w pewien sposób podsumowując swoje życie i twórczość, mówił: „Martwi mnie to, że byłem w partii dwadzieścia jeden lat, to jest coś, taki okres życia. Bez tego byłbym na pewno kimś innym. Poniosłem straty jako pisarz, co nie jest rzeczą błahą, gdyż pisanie stanowi sens mojego istnienia. Zmarnowane lub odłożone prace, w dodatku przypadające na tak zwany dobry okres, środek życia. Nie wszystko da się nadrobić. Cóż, byłem ciekaw wszystkiego, robiłem to na ogół z własnej woli. Oczywiście, pewne z tych doświadczeń, jak już powiedział Piłsudski, to przebywanie w wychodku i dłużej już nie można wytrzymać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Deportacja Ukraińców, akcja „Wisła” FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Wzorem NKWD

Zostaw dom i won!

To ostateczna rozprawa z partyzantką OUN-UPA oraz wysiedlenia Rusinów zamieszkujących południowo-wschodnie pogranicze tzw. Polski Ludowej. Temat nie do końca wyczerpany. Jakby czekał na wnikliwego historyka, na wydawnictwo o sprawdzonej od lat renomie i wreszcie na swój czas. Tak dramatyczne wydarzenia, jak najazd putinowskiej Rosji na Ukrainę, wiele zmieniają - również punkt widzenia faktów z przeszłości i ich ocenę.

Ludobójczy atak nacjonalistów ukraińskich na Polaków w 1943 r. na Wołyniu, a następnie w Małopolsce Wschodniej, wywołał wśród rodaków chęć odwetu. Dlatego wypadki pacyfikowania wsi ukraińskich w latach 1945–1946 przez polskie organizacje niepodległościowe nie budziły potępienia ani protestów. Nie wzbudziła ich też wiosną 1947 r. akcja „Wisła”, którą z wielkim rozmachem przeprowadziły władze komunistyczne.

Bezpośrednim jej powodem było zabicie 28 marca 1947 r. ówczesnego „polskiego” wiceministra, sowieckiego generała Karola Świerczewskiego w zasadzce UPA przy drodze z Baligrodu do Cisnej (Bieszczady). Niespełna dwa miesiące wcześniej komuniści ogłosili zwycięstwo w sfałszowanych wyborach. Zaakceptowanie przez Zachód tego bezczelnego kłamstwa oraz skorzystanie z ogłoszonej amnestii przez wielu zrezygnowanych żołnierzy podziemia polskiego spowodowało, że liczącą się siłą pozostała w lasach podkarpackich i lubelskich partyzantka ukraińska.

Autor przypomina, że w ramach porozumienia o przesiedleniach do końca 1946 r. z Polski do Sowietów trafiło 480 tys. Ukraińców, przyjęto zaś ponad 750 tys. wypędzonych Polaków. W pasie przygranicznym pozostało ok. 100 tys. ludności ukraińskiej, w tym Łemków i Bojków. Stanowili oni (nieraz wbrew woli) oparcie dla partyzantki UPA i Sowieci domagali się od władz w Warszawie jak najszybszego jej zlikwidowania. Temu właśnie miał służyć plan operacji „R”, która przewidywała wysiedlenia ludności, ale na pierwszym planie – walkę ze zbrojnym przeciwnikiem. Po śmierci Świerczewskiego władze uznały, że „represja” (tego słowa używano w wytycznych PPR) powinna dotknąć całą społeczność ukraińską. Jej wypędzenie i przymusowe osiedlenie – w znacznym rozproszeniu – na poniemieckich terenach Mazur i Pomorza miało uczynić zwalczanie UPA skutecznym.

Jak pomyślano – tak zrobiono. Z końcem kwietnia 1947 r. udało się sformować sześć kombinowanych dywizji piechoty LWP oraz jednej KBW, wspartych dodatkowymi oddziałami (saperów, transportu itp.). Określenie „kombinowane” oznaczało wyjęcie z całego niemal wojska oddziałów jeszcze niezdemobilizowanych i najlepiej uzbrojonych. Powstała Grupa Operacyjna „Wisła” licząca ok. 20 tys. żołnierzy. Dowódcą mianowano gen. Stefana Mossora, przedwojennego oficera WP, energicznego fachowca. Wspierał go niejaki towarzysz Władysław Wolski, który odpowiadał za transport i – wraz z władzami terenowymi – osiedlanie wygnańców.

Mieli oni zabierać ze sobą cały inwentarz żywy, a także żywność ze zbożem i z kartoflami włącznie. Na spakowanie dawano kilka godzin. Potem następował przewóz do punktów zbiorczych, załadunek do pociągów, rozładunek na stacjach docelowych po kilkudniowej podróży i zajmowanie poniemieckich domostw, na ogół doszczętnie obrabowanych, a często zrujnowanych. W zniszczonym wojną i okupacjami kraju, potwornie zabiedzonym i bez liczącej się pomocy z zewnątrz, przeprowadzenie tej akcji nie było proste. Odbywało się przymusowo, często brutalnie i pod lufami nabitej broni. Z pewnością była to represja, a nie podróż krajoznawcza.

Walki z UPA zaczęły się z opóźnieniem, bo sotnie niepostrzeżenie przemieściły się z Bieszczad na Pogórze Przemyskie. Zanikły, gdy ci upowcy, którzy przeżyli, uciekli w drodze na zachód do Czechosłowacji bądź zdezerterowali i wtopili się między wysiedleńców. Próby zorganizowania konspiracyjnych siatek OUN-UPA udaremniono do końca lat 40. wzorem z NKWD: prowokacją agenturalną. A trud nowego życia utrwalił – zwłaszcza u Łemków i Bojków – niechęć do upowskich żądań walki z Polską. Dziś jesteśmy razem, jak nigdy wcześniej. ©℗

Maciej Rosalak



GRZEGORZ MOTYKA
„AKCJA »WISŁA« ’47. KOMUNISTYCZNA CZYSTKA ETNICZNA”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Męczeństwo polskich dzieci

Szesnastoletnia Karolina Kózkówna żyła z rodzicami i dziesięciorgiem rodzeństwa we wsi Wał-Ruda w Małopolsce. W listopadowy dzień do jej domu przyszedł rosyjski sołdat. Zaciągnął ją do lasu. Jej ciało odnaleziono po dwóch tygodniach. Dwóch świadków zeznało, że dziewczyna wyrywała się żołnierzowi, gdy ten wciągał ją coraz głębiej w las. Na jej ciele widać było rany cięte, najprawdopodobniej od bagnetu. Badanie stwierdziło, że Karolina zachowała dziewictwo.

Do tej zbrodni nie doszło w czasie drugiej wojny światowej. Karolina Kózkówna zginęła śmiercią męczeńską 18 listopada 1914 r. Jak widać, rosyjscy żołnierze również w czasie pierwszej wojny światowej wykazywali się bestialstwem.

Karolina Kózkówna została beatyfikowana przez Jana Pawła II w 1987 r. Jest patronką Ruchu Czystych Serc oraz osób molestowanych seksualnie.

„Z tą świadomością oddała wreszcie swoje młode życie, kiedy trzeba było je oddać, aby obronić swą kobiecą godność" – mówił papież Polak.

Takich historii jest w tej książce – niestety – mnóstwo. Agresorzy przechodzący przez nasze ziemie nie mieli względu na wiek swoich ofiar. Polskie dzieci były wywożone na wschód i zachód w nieludzkich warunkach, głodzone, bite, zmuszane do pracy niewolniczej i mordowane w diabelskich eksperymentach w laboratoriach za drutami kolczastymi. Z drugiej strony część polskiej młodzieży chwytała w bardzo młodym wieku za broń po to, by nie stać się ofiarami okupantów. Śmierć 13-letniego Antosia Petrykiewicza, najmłodszego z poległych obrońców Lwowa, może się niektórym wydawać z dzisiejszej perspektywy bezsensem. Dziwić może niektórych postawa rodziców, którzy pozwalali nastoletnim dzieciom chwytać za broń i iść do boju. Wtedy jednak udział nastolatka w obronie miasta mało kogo zdumiewał. Młodzież szybciej dorastała do świadomości, jaką wagę ma wolność, niepodległość. Nawet dziecko rozumiało, że trzeba zrobić wszystko, by przepędzić agresora. Nawet jeżeli oznaczałoby to złożenie z własnego życia największej ofiary... ©℗

Piotr Włoczyk



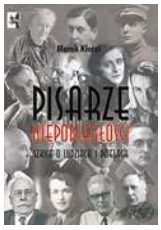
WOJCIECH POLAK, SYLWIA GALIJ-SKARBIŃSKA, KS. MICHAŁ DAMAZYN
„NAJMŁODSI BOHATEROWIE. HISTORIA POLSKICH DZIECI X–XXI W."
BIAŁY KRUK

Globalne szachy Napoleona

Wynik tych wojen ukształtował ład w Europie na kolejne sto lat. Dopiero rozstrzygnięcia kolejnej wielkiej wojny, która rozgorzała na kontynencie w 1914 r., przekreśliły tamte ustalenia i zrodziły zupełnie nowy porządek. Podtytuł tej doskonałej książki to „Historia globalna", bo przecież poza głównym – europejskim – teatrem wojny były też mniejsze areny walk, oddalone o tysiące kilometrów od ziem, na których Napoleon walczył z kolejnymi koalicjami. Działania zbrojne toczyły się też na Bliskim Wschodzie, w Azji i Afryce, a także w obu Amerykach. ***(p.w.)***



ALEXANDER MIKABERIDZE
„WOJNY NAPOLEOŃSKIE. HISTORIA GLOBALNA", TOM 1
REBIS



MAREK KLECEL
„PISARZE NIEPODLEGŁOŚCI. SZKICE O LUDZIACH I DZIEŁACH"
IPN

PIÓRA DLA POLSKI

Książka zawiera 15 sylwetek pisarzy i pisarek. Ich książki opowiadały o Legionach Polskich, wojnie z Rosją bolszewicką, łagrach, okupacji niemieckiej i sowieckiej. A są wśród bohaterów tej książki m.in. Wacław Sieroszewski, autor pierwszej biografii Piłsudskiego, Andrzej Strug przedstawiający w sowich powieściach bojowców PPS i legionistów, Stanisław Rembek, piszący o powstaniu styczniowym i wojnie 1920 r. ©℗ ***(t.s.)***



ZOFIA KOZIMOR
„TANIEC ŻYCIA I PIEŚŃ ŚMIERCI. HISTORIA APACZÓW COCHISE'A I GERONIMA"
ZNAK HORYZONT

PIÓROPUSZ TAJEMNIC

Ta tematyka stosunkowo rzadko pojawia się na półkach naszych księgarni, a przecież historia indiańskich plemion to dla polskich czytelników fascynująca egzotyka. Indiańskie wierzenia, kultura i zwyczaje, sposób prowadzenia wojen: to wszystko tematy, o których większość czytelników – nawet fascynatów historii – ma dosyć mgliste pojęcie. ©℗ ***(p.w.)***



GEIGES ADRIAN, AUST STEFAN
„XI JINPING. NAJPOTĘŻNIEJSZY CZŁOWIEK ŚWIATA I JEGO IMPERIUM"
WYDAWNICTWO W.A.B.

JAK SILNY JEST XI

Ta książka dotyka wprawdzie spraw jak najbardziej współczesnych, ale przecież w ich tle czai się wielka, tragiczna historia. Xi Jinping to najpotężniejszy władca Chin od czasów Mao Zedonga, a tajemnicą poliszynela jest, że obecny prezydent ChRL wzoruje się na swoim krwawym poprzedniku. Czy dzisiejszym Chinom grozi powtórzenie tragicznej historii z XX w.? ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Aleksander Sochaczewski „Branka”

FOT. WIKIPEDIA./MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO/MATHIASREX - MACIEJ SZCZEPAŃCZYK

Jasno o powstaniu styczniowym

Wniezwykle przejrzysty, sposób autorka, prof. Alicja Kulecka, pisze o „czasie walki, marzeń o wolności i niespełnionych nadziei”, jak głosi podtytuł książki. Poświęcona jest ona dziejom powstania styczniowego, ale jego opis poprzedza przedstawienie atmosfery przedpowstaniowej. Autorka pisze o polityce Aleksandra Wielopolskiego i uzyskanych przez niego koncesjach dla Królestwa Polskiego. Były efektem porozumienia się margrabiego z władzami rosyjskimi. Autorka zauważa jednak, że nie doprowadziło to do likwidacji napięć narodowych i społecznych nad Wisłą. Rosjanie wyciągnęli więc wniosek, że należy wobec tego pójść drogą ograniczeń i represji.



ALICJA KULECKA
„POWSTANIE STYCZNIOWE (1863–1864). CZAS WALKI, MARZEŃ O WOLNOŚCI I NIESPEŁNIONYCH NADZIEI”
MUZEUM HISTORII POLSKI

Decyzja o rozpoczęciu powstania, wymuszona ogłoszeniem branki, została przyjęta z niedowierzaniem i zaskoczeniem przez wielu ludzi przewidzianych na dowódców oddziałów. Uważali, że nie było jeszcze warunków do podjęcia walki zbrojnej.

Książka przedstawia zarówno polityczne dzieje powstania, czasy dyktatury Mierosławskiego i Langiewicza, zmiany powstańczych rządów, objęcie władzy przez Traugutta. Rząd Narodowy zniósł pańszczyznę, ale nie był w stanie tego wyegzekwować, a – jak stwierdza autorka – uwłaszczenie chłopów przez cara zadało ciężki cios powstaniu.

Profesor Kulecka zwraca uwagę na to, że polemiki ideowe „białych” oraz „czerwonych” przyczyniły się do ukształtowania katalogu wartości politycznych, którymi były: niepodległość, patriotyzm wymagający poświęcenia, odwaga, udział w walce zbrojnej, troska o wspólnotę, podporządkowanie się własnemu państwu. Powstanie ożywiło polską myśl polityczną: odrodzona Rzeczpospolita miała być oparta na idei równości, instytucjach pochodzących z wyboru.

Autorka podkreśla, że choć działania powstańcze odbywały się w Królestwie Polskim i w zachodnich guberniach Rosji, to jednak insurekcja miała charakter trójzaborowy, gdyż otrzymała ogromne wsparcie ze strony Polaków z zaborów austriackiego i pruskiego, skąd napływali ochotnicy, słano pieniądze, broń i amunicję. ©℗

Tomasz Stańczyk

Nie tylko ksiądz Brzóska

Wojciech Kalwat przedstawia sylwetki księży wikariuszy z Bodzentyna – Izydora Ciąglińskiego i Antoniego Omińskiego. Przed powstaniem styczniowym „byli motorem napędowym roboty konspiracyjnej i krzewicielami patriotyzmu, organizowali uroczystości o charakterze religijno-patriotycznym”. Duże wrażenie robią zamieszczone w publikacji kazania wygłaszane w bodzentyńskim kościele. Są niezwykle emocjonalne, mówią wprost o zniewoleniu Polski przez Rosjan, prześladowaniach i zbrodniach. Kazania w ostrych słowach piętnowały barbarzyńską profanację warszawskich kościołów przez rosyjskich żołnierzy i dokonane przez nich masakry demonstrantów. Wyrażają nadzieje na odzyskanie niepodległości – „Polska ziemi, śpi tylko, zmordowana przez tylu tyranów, ale żyje” – i zawierają wezwania do Boga, by powrócił Polakom wolność, swobodę i ojczyznę. Obaj księża brali udział w przygotowaniu ataku na garnizon w Bodzentynie, potem znaleźli się w szeregach powstańczych. Ksiądz Ciągliński został skazany na 15 lat zesłania, zmarł w Rosji, ks. Omiński po upadku powstania wyemigrował do Francji. ©℗

(t.s.)



WOJCIECH KALWAT
„DUCHOWIEŃSTWO BODZENTYNA W OKRESIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO”
U.P.Z.P „DORAND”, T.S. CISEK

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Falstart Waffen-SS

Rzadko kiedy polscy czytelnicy mają możliwość zetknięcia się z oglądem kampanii 1939 r. widzianej z perspektywy niemieckiej. Szansę na to daje książka dr. Andrzeja Wesołowskiego. Dotyczy ona pierwszego tygodnia walk 1–7 września 1939 r., toczonych w Polsce przez uderzające z obszaru Dolnego Śląska, a podporządkowane 8. Armii gen. Johannesa Blaskowitza XIII i X Korpusy Armijne składające się z 10. Infanterie Division (ID), 17. ID, Zmotoryzowanego Pułku SS „Leibstandarte Adolf Hitler" oraz 24. ID i 30. ID. Siły te w początkowej fazie operacji liczyły ok. 60 tys. żołnierzy (bez stanowiącej początkowo odwód 30. ID). Ich przeciwnikiem po polskiej stronie były 10. Dywizja Piechoty i Kresowa Brygada Kawalerii liczące ok. 24 tys. żołnierzy.

Z tego zestawienia widać, że istniała dysproporcja stanów liczebnych wojsk atakujących i broniących się. Powiększało ją bogate nasycenie niemieckich dywizji środkami bojowymi. Zasadniczo każda z nich posiadała 378 lkm-ów, 12 działek przeciwlotniczych 20 mm, 75 dział przeciwpancernych, 93 granatniki 50 mm, 54 moździerze 81 mm, 20 dział piechoty 75 mm, 6 dział piechoty 150 mm, 36 lekkich haubic polowych 105 mm oraz 12 ciężkich haubic polowych. Do tego dochodziły np. 1,5 tys. pojazdów mechanicznych, 1,5 tys. koni oraz nowoczesny sprzęt łącznościowy. Znaczącą przewagę posiadali Niemcy w jakości dowodzenia. Rozkazy wydawane przez korpusy i 8. Armię nie ingerowały w detale wykonawcze, zostawiając dużą swobodę manewru w ich realizacji dowódcom niższego szczebla. W polskim przypadku inicjatywa w tej materii była zdecydowanie bardziej ograniczona. Szczupłość sił obrońców powodowała, że obrona wyznaczonych obszarów była słaba, a prowadzący nią nie posiadali odwodów.

Głównym zadaniem postawionym przed 8. Armią była osłona natarcia 10. Armii w kierunku Warszawy, aby zniszczyć znajdujące się na zachód od Wisły jednostki WP. Podległe gen. J. Blaskowitzowi jednostki miały posuwać się na Łódź, na południe od Baryczy, aby uniemożliwić natarcie na oddziały gen. Walthera von Reichenaua ze strony wojsk polskich Armii „Poznań". Niemieccy sztabowcy założyli, że pierwszego dnia operacji jednostki 8. Armii dotrą do rejonu na północ od miejscowości Warta. Najsłabsze i zdecydowanie krytyczne oceny zanotował pułk LSAH. Ta jednostka rozwinięta w późniejszym okresie wojny w dywizję pancerną Waffen-SS należała do jednych z najlepszych jednostek niemieckich walczących podczas drugiej wojny światowej. Jednak pierwszy tydzień walk pułku w Polsce nie zachwycił dowódców niemieckich. Umiejętności esesmanów odbiegały znacząco od tych wykazywanych przez żołnierzy Wehrmachtu.

Dowództwo XIII Korpusu Armijnego, któremu Leibstandarte podlegała, sformułowało 1 września następującą ocenę: „Na razie udało się jej wypadem zająć most w Goli. Wpadła jednak pod Bolesławcem w zasadzkę kawalerii z działkami ppanc., poniosła straty i musiała potem prowadzić walkę z przeciwnikiem prowadzącym działania opóźniające, któremu pod względem wyszkolenia nie dorównywała… Nie powiódł się zamiar korpusu, aby od wschodu Leibstandarte zamknęła przeprawę pod Wieruszowem. Udałoby się to, gdyby Leibstandarte starała się wykonać swój cel, obchodząc od wschodu rozmieszczonego frontalnie słabego przeciwnika. Dzień pokazał, że dowodzenie i wyszkolenie Leibstandarte nie dorosło do takiego zadania". O tym, jak szczegółowo przebiegała realizacja planu „Fall Weiss" na odcinku działań 8. Armii, będą mogli się dowiedzieć wszyscy, którzy sięgną po tę książkę. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



ANDRZEJ WESOŁOWSKI
„BOJE NAD WARTĄ. 10. KANIOWSKA DYWIZJA PIECHOTY I KRESOWA BRYGADA KAWALERII W KAMPANII WRZEŚNIOWEJ"
TETRAGON, MUZEUM HISTORII MIASTA ZDUŃSKA WOLA

Pałace Wilna

Wilno słynie z pięknych barokowych kościołów i malowniczych cmentarzy. Niewielu odwiedzających to miasto zwraca uwagę na wileńskie pałace, wtopione zwykle w zabudowę ulic, często przypominające kamienice, tylko że bardziej okazałe. Wilno było niegdyś jedną z dwóch stolic Rzeczypospolitej, więc swoje rezydencje miały w nim najbardziej znaczące rody.

Profesor Anna Sylwia Czyż opisała w swojej pionierskiej monografii kilkadziesiąt wileńskich pałaców. Były zwykle stawiane wśród gęstej zabudowy. Przy trakcie Świętojańska-Dominikańska-Trocka stanęły w XVII w. rezydencje Radziwiłłów, Paców, Sapiehów, Ogińskich.

Hetmański pałac Paców nazywa autorka jednym z najbardziej efektownych i najobszerniejszych wileńskich rezydencji, powstałych po moskiewskiej okupacji. Ostatni z rodu, Ludwik Michał Pac, zmodernizował pałac, przekształcając go w „ekskluzywną miejską siedzibę". Za udział Paca w powstaniu listopadowym władze rosyjskie skonfiskowały mu pałac. Dziś mieści się ekskluzywny hotel, co jest swoistym nawiązaniem do świetności rezydencji z czasów Paców.

W kanclerskim pałacu Paców mieści się dziś polska ambasada.

Autorka wyróżniła też, jako wybitny przykład rezydencji, pałac Sapiehów na Antokolu, będący ośrodkiem kompleksu architektonicznego, w którego skład wchodziły m.in. kościół mauzoleum i ogród. ©℗ ***(t.s.)***



ANNA SYLWIA CZYŻ
„PAŁACE WILNA XVII–XVII WIEKU"
POLONIKA

eprasa.pl 0b86cb3ec7

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Pańszczyźniana armia

Przełom w sztuce wojennej, którym były wojny napoleońskie, zawdzięczamy nie tylko dowódczemu geniuszowi „Boga Wojny". Niczego mu nie ujmując, gen. Bonaparte skonsumował coś, co było od niego niezależne: pojawienie się armii rewolucyjnej. Rewolucyjnej, a więc złożonej z ludzi, którzy chcieli walczyć, wiedzieli, o co i po co, i nie trzeba ich było do walki zapędzać przymusem. Słowem – stanowiącej przeciwieństwo armii fryderycjańskiej, opartej na zasadzie, że żołnierz musi się bardziej bać własnego dowódcy niż wroga. Armię rewolucyjną np. można było rozpuścić w tyraliery strzeleckie – starego typu, niewolniczej nie dałoby się już po takim rozkazie zebrać z powrotem, więc trzeba było trzymać ją w ciasnych szykach, w których coraz doskonalsza artyleria żłobiła krwawe bruzdy, maksymalizując straty.

Oczywiście kluczem do sukcesu było znalezienie złotego środka pomiędzy spontanicznością pospolitego ruszenia, skłonnego do paniki i rozpraszania się przy niepowodzeniu – z czym np. długo musiał się porać gen. Washington – a dyscypliną, pozwalającą zachować spójność oddziału nawet przy ciężkich stratach. W armii napoleońskiej udało się to całkiem nieźle – ten przykład został skutecznie skopiowany przez polskie Legiony, których znaczenie w naszej historii nie polega przecież na ich militarnych dokonaniach, ale na tym właśnie, że były dla następnych pokoleń wzorcem masowej armii walczących o swą wolność obywateli.

Potem, w dobie masowego zabijania, kiedy śmierć na wojnie stała się raczej kwestią przypadku – żołnierz ginął, bo miał pecha znaleźć się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu – kwestia morale walczących zeszła na dalszy plan. Aż przyszła wojna na Ukrainie i wszystkie nowoczesne środki prowadzenia walki zostały na masową skalę przetestowane w praktyce.

> Nie od dziś wiadomo, że „z niewolnika nie ma pracownika". Można do tej zasady dopisać: **z niewolnika nie ma także żołnierza**

Nie mam oczywiście ambicji, żeby tę dziejącą się na naszych oczach wojnę komentować, od tego są lepsi fachowcy, ale pewne rzeczy biją po oczach. Nieoczekiwana skuteczność armii ukraińskiej w starciu z Rosjanami bierze się właśnie z faktu – i podkreślają to właściwie wszyscy komentatorzy – że budowana od 2014 r. według wzorców NATO daje ogromną swobodę dowódcom niskiego szczebla. Czytam, że w wojsku ukraińskim wsparcie ogniowe dla oddziału szturmowego może, wedle swojej oceny sytuacji, przywołać sierżant, dowódca drużyny. W rosyjskiej to prerogatywa co najmniej oficera dowodzącego kompanią, i to nie każdego. Ukraińcy na polu walki improwizują, dostosowując się do błyskawicznie – przy obecnej technice bojowej – zmieniających się warunków. Rosjanie pozostają pańszczyźnianymi pod kijem ekonoma, a raczej pod lufami „oddziałów zaporowych", realizując ślepo plan ułożony z dala od miejsca, gdzie się znajdują, spory czas wcześniej, i – co najważniejsze – plan, którego nikt poza wyższym dowództwem nie ma prawa modyfikować. Bo, skądinąd wiadomo, gdyby dano ruskim sołdatom takie prawo, zmodyfikowaliby plany tak, żeby się z tej awantury, w którą ich wrzucono, jak najskuteczniej się wymiksować.

Toż to nic innego, jak powtórka zderzenia rewolucyjnego zapału Francuzów z pruskim drylem Niemców pod Valmy w 1792 r.

Nie od dziś wiadomo, że „z niewolnika nie ma pracownika". Można do tej zasady dopisać rozszerzenie: z niewolnika nie ma także żołnierza. Co potwierdza się właśnie po raz kolejny… I znając ludzkie dzieje, pewnie, niestety, nie ostatni. ©℗

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Piotr Semka

/ Felieton

Na dalekiej Ukrainie

Wszyscy ci, którzy z miną pionierów nowoczesności ogłaszają, że książkowe antykwariaty muszą wymrzeć, nigdy chyba nie zrozumieli fenomenu tych świątyń bibliofilstwa. Kupowanie książek w Internecie nigdy nie zastąpi czaru bobrowania po antykwarycznych półkach i znajdowania rzeczy, o których nigdy by się nie przypuszczało, że chciałoby się je kupić. Właśnie na tej zasadzie wynalazłem w jednym z krakowskich antykwariatów wydaną w 1957 r. „Książkę moich wspomnień" Jarosława Iwaszkiewicza. Jeśli kojarzą państwo tę datę z krótkotrwałym zelżeniem cenzury PRL, to mają państwo jak najbardziej rację. Jarosław Iwaszkiewicz, który w latach stalinizmu był wiernym sługą ekipy Bolesława Bieruta, wykorzystał odwilż do opublikowania swoich wspomnień z dzieciństwa i młodości na najdalszych kresach Rzeczypospolitej. Znany pisarz urodził się w 1894 r. w Kalniku koło Winnicy. I muszę przyznać, że opisał te ziemie w swoim wspomnieniowym tomie w sposób mistrzowski.

Jego rodzice byli skromnymi ludźmi, ale pochodzącymi ze szlachty. Ojciec był dyrektorem cukrowni. Jak wspominał Iwaszkiewicz: „Życie mojego ojca było złamane przez powstanie 1863 roku. Ojciec mój, podówczas młody student Uniwersytetu Kijowskiego, wraz ze swoim bratem Zygmuntem przystąpił do jakiejś grupy partyzantów, zdaje się do żytomierskiej. Dopiero w 1939 roku spaliła się fotografia, którą posiadałem. Rzadkość prawdziwa, przedstawiająca ową grupę powstańców z moim ojcem i stryjem. Wyglądali na niej tragicznie i barbarzyńsko [...]. Ojcu już potem nie wolno było kończyć uniwersytetu, między rokiem 1865 a 1875 przebijał się posadami nauczyciela domowego, a potem za protekcją wychowawcy i opiekuna mojej matki barona Karola Taubego otrzymał lichą posadkę najpierw w cukrowni Sitkowce, a potem w cukrowni Kalnik, gdzie już został do śmierci". Ale ten skromny dworek, jeśli wierzyć opisom Iwaszkiewicza, miał tyle energii polskiej, że gdyby zamienić ją na energię elektryczną, to zdolna byłaby oświecić średniej wielkości miasteczko. Iwaszkiewicz pisze: „Skromne środki rodziców – matka dorabiała gospodarstwem wiejskim – pozwalały im na rzecz jedną: na kształcenie dzieci. Brat mój Bolesław był najprzód na Politechnice Ryskiej, a kiedy z powodu afery politycznej 1899 roku wydalono go z niej, po kilku miesiącach więzienia studiował w Wiedniu, Monachium i Karlsruhe. Siostry zaś moje – Helena, Anna i Jadwiga – wysłane zostały na pensje panny Roguskiej i Gólskiej do Krakowa. Instynkt mojego ojca w tej decyzji okazał się niezawodny. Wszyscy wiedzą, czym był Kraków na przełomie XIX i XX wieku dla myśli, dla uczucia polskiego. [...] Atmosferą tą siostry moje dzieliły się z nami na długich i pamiętnych wakacjach; były one jednocześnie moimi jedynymi nauczycielkami języka, historii i literatury polskiej. Innych lekcji tych przedmiotów w życiu moim nie znałem". ©℗

/ Ten skromny dworek, jeśli wierzyć opisom Iwaszkiewicza, miał tyle energii polskiej, że gdyby zamienić ją na energię elektryczną, to zdolna byłaby oświecić średniej wielkości miasteczko

eprasa.pl 0b86cb3ec7



1654–1667 / Trzynastoletnia wojna polsko-rosyjska

Fatalne skutki Perejasławia



Tomasz Stańczyk

Bohdan Chmielnicki pragnął niezależnego państwa, jednak jego polityka doprowadziła do poddania ziem ukraińskich Rosji

Zauroczeni Sienkiewiczowskim „Potopem", niezwykłym obrazem walki ze szwedzkim najazdem, obroną Jasnej Góry, nie pamiętamy zwykle, że w tamtym czasie Rzeczpospolita prowadziła też walkę na śmierć i życie nie tylko ze Szwedami, lecz także z Rosjanami i ze sprzymierzonymi z nimi Kozakami Chmielnickiego. Był to dla Rzeczypospolitej straszny czas. Historyk, prof. Edward Opaliński, stwierdzał, że od lipca do grudnia 1655 r. nastąpiło załamanie się państwa, a większość jego terytorium znalazła się pod okupacją.

Rok później nasi sąsiedzi porozumieli się w Radnot w sprawie rozbioru Rzeczypospolitej pomiędzy Szwecję, Brandenburgię, Siedmiogród, Bogusława Radziwiłła, a i Chmielnicki miał dostać swoją część. Szczęśliwie Rzeczpospolita przezwyciężyła dramatyczny kryzys i przetrwała, choć została potężnie osłabiona.

Zanim Szwedzi runęli na Rzeczpospolitą, w jej granice wtargnęli w 1654 r. Rosjanie. Wojna, którą rozpoczęli, nie byłaby możliwa bez porozumienia cara z Bohdanem Chmielnickim, przywódcą trwającego od 1648 r. powstania, i ugody perejasławskiej zawartej w styczniu 1654 r., oddającej ukraińskie ziemie Rzeczypospolitej pod protekcję moskiewskiego samodzierżawcy. Rozmowy Kozaków z Moskwą trwały już co najmniej od 1652 r. Chmielnicki obawiał się – jak stwierdzał Janusz Kaczmarczyk, autor jego biografii – że Rzeczpospolita nie puści mu płazem Batohu. Nie chodziło jednak tylko o klęskę na polu bitwy w 1652 r., lecz także wymordowanie kilku tysięcy polskich jeńców.

W 1653 r. przed carem stawili się posłowie kozaccy. „Burłaj i Mużyłowski oświadczyli, że Kozacy nie zamierzają pogodzić się z królem i dlatego proszą cara o pomoc w walce ze wspólnym wrogiem, za którego uznali Rzeczpospolitą" – pisał Janusz Kaczmarczyk.

Efektem rozmów rosyjsko-kozackich była podjęta w październiku 1653 r. decyzja moskiewskiego Soboru Ziemskiego, który postanowił, że Chmielnicki, jego wojsko i ziemie, które Kozacy zajmowali, przechodzą pod ponawianie cara Aleksego. Wojna była z Rzecząpospolitą nieuchronna, a kropkę nad i postawiła ugoda perejasławska, zawarta w styczniu 1654 r. „Kozacki koń zrzucił polskiego jeźdźca, miał teraz zostać okiełznany przez o wiele bardziej wymagającego pana" – stwierdzał Norman Davies.

Marzenia kozackiego hetmana

Bohdan Chmielnicki ma wiele pomników na Ukrainie, jest wielkim bohaterem narodowym. Jednak na cokołach tych

eprasa.pl 0b86cb3ec7



„Na wieki z Moskwą, na wieki z narodem rosyjskim". Ugoda perejasławska w wizji Michaiła Chmielki FOT. WIKIPEDIA

pomników powinien teraz – gdy Rosja próbuje narzucić Ukrainie swój protektorat – widnieć napis: „Uzależnił ziemie ukraińskie od Moskwy".

Chmielnicki nie chciał tego. Marzył przecież o niepodległym kozackim państwie, idea była wielka. Ale czy miała szansę się urzeczywistnić? Profesor Edward Opaliński uważał, że nie. Argumentował, że o ile sąsiedzi Rzeczypospolitej cieszyli się, że kozacki bunt ją osłabia, i byli chętni wziąć pod swoją protekcję ziemie ukraińskie, o tyle jednak samodzielnego państwa pod wodzą kozackiego hetmana nie zamierzali zaakceptować.

Chmielnicki z kolei nie chciał przyjąć tego do wiadomości, lecz chwilowo był zmuszony poszukać protektora.

W Perejasławiu, przed zawarciem ugody z Moskwą, wyłożył to dobitnie starszyźnie i czerni. Dla formalności tylko przedstawiał do wyboru zebranym następujące możliwości – trzeba wybrać na protektora jednego z nich: cara moskiewskiego, polskiego króla, chana tatarskiego, sułtana tureckiego. Co do chana i sułtana stwierdził, że są to „bisurmanowie", król polski przebaczyłby zapewne zdradę i bunt, a jeśli chodzi o cara, to powiedział, że od sześciu lat Kozacy go przywołują.

Po czym Chmielnicki zdecydowanie zakwestionował możliwość porozumienia z Rzecząpospolitą.

Ludwik Kubala, znakomity historyk, od którego czerpał wiedzę autor „Potopu", tak opisał argumentację kozackiego hetmana: „Jaka zaś niewola, jakie chrześcijańskiej krwi przelanie i od polskich panów uciśnienia, nie potrzeba przypominać, sami wiecie, że więcej żyda i psa cenili".

Użalał się Chmielnicki na dyskryminację religii prawosławnej i faworyzowanie Kościoła unickiego. Rzeczywiście tak było. Unia brzeska z 1595 r., która spowodowała rozłam wśród duchowieństwa i wiernych prawosławnych, nie była jednak jakimś katolickim wybrykiem przeciw prawosławiu. Stała za nią ważna racja polityczna. A podporządkowanie prawosławia ukraińskiego moskiewskiemu patriarchatowi prawosławnemu w istocie znaczyło: carowi rosyjskiemu, gdyż Cerkiew moskiewska była mu podporządkowana.

Kozacka czarna rada, czyli czerń, opowiedziała się, pod wpływem przemówienia Chmielnickiego, za carem i Rosją, pułkownicy, choć bynajmniej dalece nie wszyscy, także. Część duchowieństwa prawosławnego z metropolitą kijowskim Sylwestrem Kossowem sprzeciwiała się ugodzie.

Podczas rokowań o zawarcie ugody perejasławskiej doszło do znamiennego wydarzenia. Chmielnicki chciał, by wysłannik cara, bojar Buturlin, zaprzysiągł w imieniu Aleksego wolności i prawa kozackie, tak jak robili to królowie polscy podpisujący ugody z Kozakami. Buturlin jednak twardo oświadczył, że nie może być o tym mowy: car nigdy nie przysięga poddanym, to oni zawsze przysięgają jemu. Z pewnością to otrzeźwiło Chmielnickiego, ale nie miał już wyjścia, sprawy posunęły się za daleko.

Kozaccy pułkownicy i żołnierze ich pułków przysięgali więc na wierność carowi rosyjskiemu, choć część stawiała opór, łamany perswazją, groźbą i siłą.

Metropolita Sylwester Kossów nie chciał przysięgać, zdawał sobie sprawę, że przysięga pociągnie za sobą podporządkowanie metropolii kijowskiej patriarchatowi moskiewskiemu, ale w końcu musiał ulec, skoro w Kijowie pojawiły się wojska carskie. A do takiego podporządkowania dążył właśnie Nikon, moskiewski patriarcha, który w tym celu namawiał cara Aleksego do wojny z Rzecząpospolitą.

Poddanie się Kozaczyzny carowi rosyjskiemu zrywało próby rozmów i ugód Chmielnickiego z Rzecząpospolitą. A były one przecież bardzo obiecujące dla kozackiego przywódcy. Ugoda zborowska w 1649 r. przewidywała autonomię dla województw



Bohdan Chmielnicki FOT. WIKIPEDIA



Iwan Wyhowski FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Przegląd wojsk przez cara Aleksego. Obraz Nikołaja Swerczkowa

FOT. WIKIPEDIA

kijowskiego, bracławskiego i czernihowskiego oraz podniesienie rejestru do 40 tys. Jak zauważał prof. Edward Opaliński, było to więcej, niż wynosiły siły zbrojne Rzeczypospolitej. Można sobie wyobrazić, że autonomia byłaby początkiem do przekształcenia państwa w trójczłonową unię Polski, Litwy i Rusi, co przewidywała niezrealizowana, niestety, unia hadziacka dziewięć lat później.

Ugoda zborowska nie została jednak zrealizowana, gdyż – jak oceniał prof. Opaliński – „zadecydowały o tym ambicje Chmielnickiego, dążącego w oparciu o księstwa naddunajskie do zbudowania suwerenności kozackiej w tej części Europy'". Chmielnicki wybrał więc rewolucję zamiast ewolucji w granicach Rzeczypospolitej. Z fatalnym skutkiem dla niej i dla Kozaczyzny.

Pacyfikacja, wojna i rzezie

Reakcja Jana Kazimierza na ugodę Kozaków z Rosją, co znaczyło podporządkowanie ukraińskich ziem carowi moskiewskiemu, była zdecydowana. Nie mogło być inaczej; król bronił w ten sposób integralności terytorialnej Rzeczypospolitej. Wojska koronne i litewskie weszły wiosną 1654 r. na zbuntowane ziemie. Hetmani oferowali łaskę tym, którzy wyrzekną się Moskwy, a oporni, jak zapowiadał wojewoda bracławski Piotr Potocki, „krwią swoją zapłacą".

> Car Aleksy wiedział, że ugoda dopiero wtedy stanie się realna, **gdy Rosja opanuje ziemie ukraińskie Rzeczypospolitej, jeśli ją pokona**

Tak też się stało. Oporni byli bezlitośnie pacyfikowani, palono miasteczka i wsie, zabijano. Jednak „ten krwawy spacer z Winnicy do Humania" – jak określił to Kubala – wbrew przewidywaniom i nadziejom Jana Kazimierza nie spowodował powrotu ludności ziem ukraińskiej do posłuszeństwa, przeciwnie – zwiększył jej nienawiść.

Car Aleksy wiedział natomiast, że ugoda dopiero wtedy stanie się realna, gdy Rosja opanuje ziemie ukraińskie Rzeczypospolitej, jeśli ją pokona. Latem 1654 r. armia rosyjska szybko zdobywała północno-wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Rosyjską armię wspierały dwa pułki kozackie liczące 20 tys. żołnierzy. Padły Połock i Smoleńsk, 22 lipca rosyjscy żołdacy dokonali masakry ludności Mścisławia, zwanej od nazwiska jej dowódcy rzezią Trubeckiego. Następnie, na początku sierpnia, armia rosyjska weszła do Wilna.

„Kozacy Zołotareńki pierwsi weszli do Wilna, zdobyli migiem bramy, domy i kościoły i mordowali, co było pod ręką – pisał Kubala. – Kobiety, dzieci, psy, konie, koty, jakby Bóg wie, za jakie krzywdy się mścili". Armia rosyjska zamordowała podobno 25 tys. wilnian i nawet jeśli ta liczba jest przesadzona, to i tak doszło do ogromnej masakry. Wilno zostało spalone i obrabowane. Car, który przyjechał do Wilna, ogłosił się wielkim księciem litewskim.

Obrona Lwowa

Natomiast nie udało się Chmielnickiemu i Rosjanom pod Lwowem, jesienią 1655 r. miasto nie zamierzało się im poddać. Broniła go załoga dowodzona przez Krzysztofa Grodzickiego, generała artylerii, mająca wsparcie mieszkańców. Chmielnicki żądał kapitulacji, w wypadku odmowy groził szturmem i zniszczeniem miasta. Było ono ostrzeliwane, ale kozacki hetman nie kwapił się do szturmu. Pamiętał nieudaną próbę zdobycia Lwowa na początku powstania kozackiego, ale tym, co go wstrzymywało, było żądanie dowodzącego oddziałami rosyjskimi bojara Buturlina, by miasto poddało się carowi i złożyło mu przysięgę. Czuł się więc kozacki przywódca zagrożony w swoim panowaniu na ziemiach Ukrainy.

Żądanie Buturlina spotkało się z kategoryczną odmową miasta. Występujący w jego imieniu Samuel Kuszewicz powiedział Chmielnickiemu, że Lwów

eprasa.pl 0b86cb3ec7

zdaje się na jego łaskę, ale stwierdził jednocześnie: „Wszelako chciej wiedzieć na zawsze, że w imię cara moskiewskiego nie złożymy przysięgi, bo dochowujemy niewzruszoną wierność Janowi Kazimierzowi". Kuszewicz zdawał sobie sprawę, że kozacki przywódca też nie miał ochoty, by Lwów przeszedł pod rosyjską władzę, przysięgał wierność Rosjanom, a nie jemu. Ostatecznie Chmielnicki zadowolił się okupem, który zresztą lwowianie zmniejszyli w wyniku negocjacji o połowę, przy czym nie zapłacili w gotówce, lecz w towarach. Odmówili też wydania Żydów, których spotkałby z rąk Kozaków z pewnością tragiczny los.

W 1656 r. Rosja i Rzeczpospolita podpisały rozejm w Niemieży. Władca moskiewskiego zaczął wojnę ze Szwecją, Rosja i Rzeczpospolita miały więc wspólnego wroga, a w dodatku polscy wysłannicy obiecali mu, że zostanie wybrany na króla polskiego, ale objęcie władzy i koronacja nastąpią po śmierci Jana Kazimierza. Była to jednak chwilowa przerwa w wojnie. Po śmierci Chmielnickiego w 1657 r. nowym kozackim hetmanem został Iwan Wyhowski. Podpisał z Rzecząpospolitą ugodę hadziacką, zatwierdzoną przez Sejm, na której mocy miał powstać trzeci człon Rzeczypospolitej – Księstwo Ruskie. Był to oczywiście dla Moskwy casus belli. Sojusze na chwilę się odwróciły.

W 1659 r. doszło do bitwy pod Konotopem i choć armię rosyjską Trubeckiego pokonały siły kozacko-tatarskie, z małym udziałem Polaków, to jednak bitwa ta była częścią wojny polsko-rosyjskiej. Wyhowski jednak został obalony, nie cieszył się poparciem większości starszyzny i kozackiego ludu. Rok później armia Rzeczypospolitej odniosła zwycięstwa pod Połonką, Lubarem i Cudnowem, ale wojnę zakończył dopiero w 1667 r. rozejm andruszowski.

„Utrata lewobrzeżnej Ukrainy wraz z Kijowem oznaczała porażkę Rzeczypospolitej – oceniał Janusz Kamczarczyk, autor biografii Chmielnickiego. – Dla Kozaczyzny zaporoskiej był to jednak początek końca. We wrześniu 1709 r. pułki Piotra Wielkiego zlikwidowały Sicz na Czertomliku, kto ocalał z pogromu, powędrował na Sybir". Tak był efekt działań Chmielnickiego, który marzył o niepodległej Ukrainie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przed rocznicą Wołynia



Tomasz Stańczyk

Przed nami 80. rocznica zbrodni wołyńskiej. Nie była to akcja spontaniczna, jak uważają niektórzy ukraińscy historycy. Zamordowani Polacy nie byli też ofiarami drugiej wojny polsko-ukraińskiej, a tak się też niekiedy twierdzi na Ukrainie. Nie było takiej wojny. Prawda, że ze strony polskiej były akty odwetu za zmasowaną akcję, której celem było zabijanie Polaków i zastraszenie tych, którzy przeżyli, by i wynieśli się za Bug. Prawda, że też ginęli niewinni Ukraińcy. Ale była też ogromna dysproporcja, jeśli chodzi o ofiary. Polaków zginęło ogromnie więcej niż Ukraińców.

Dziś wobec Rosji, która napadła na Ukrainę, chcąc zniszczyć jej niepodległość, Polacy i Ukraińcy są solidarni w sprzeciwie wobec rosyjskiego imperializmu. Łączyła nas taka solidarność w 1920 r. na mocy paktu Piłsudski-Petlura. Razem walczyliśmy przeciwko Rosji, ubranej wówczas z komunistyczne, czerwone szaty.

Dzisiejszy sojusz przeciwko Rosji nie upoważnia jednak do przemilczenia czy choćby tylko cichego upamiętnienia zbrodni ukraińskich nacjonalistów. Nie chodzi jednak po 80 latach, by Ukraińcy bili się w piersi za czyny niektórych ich przodków. Jest znacznie ważniejsza sprawa: doprowadzenie do godnego chrześcijańskiego pochówku Polaków zamordowanych na Wołyniu. A takie pochówki, po ekshumacjach, są nadal bardzo nieliczne. Nie można się godzić na to, by nasi rodacy spoczywali nadal w nieoznaczonych miejscach, na polach, w rowach, dołach. Należy im się krzyż na mogile.

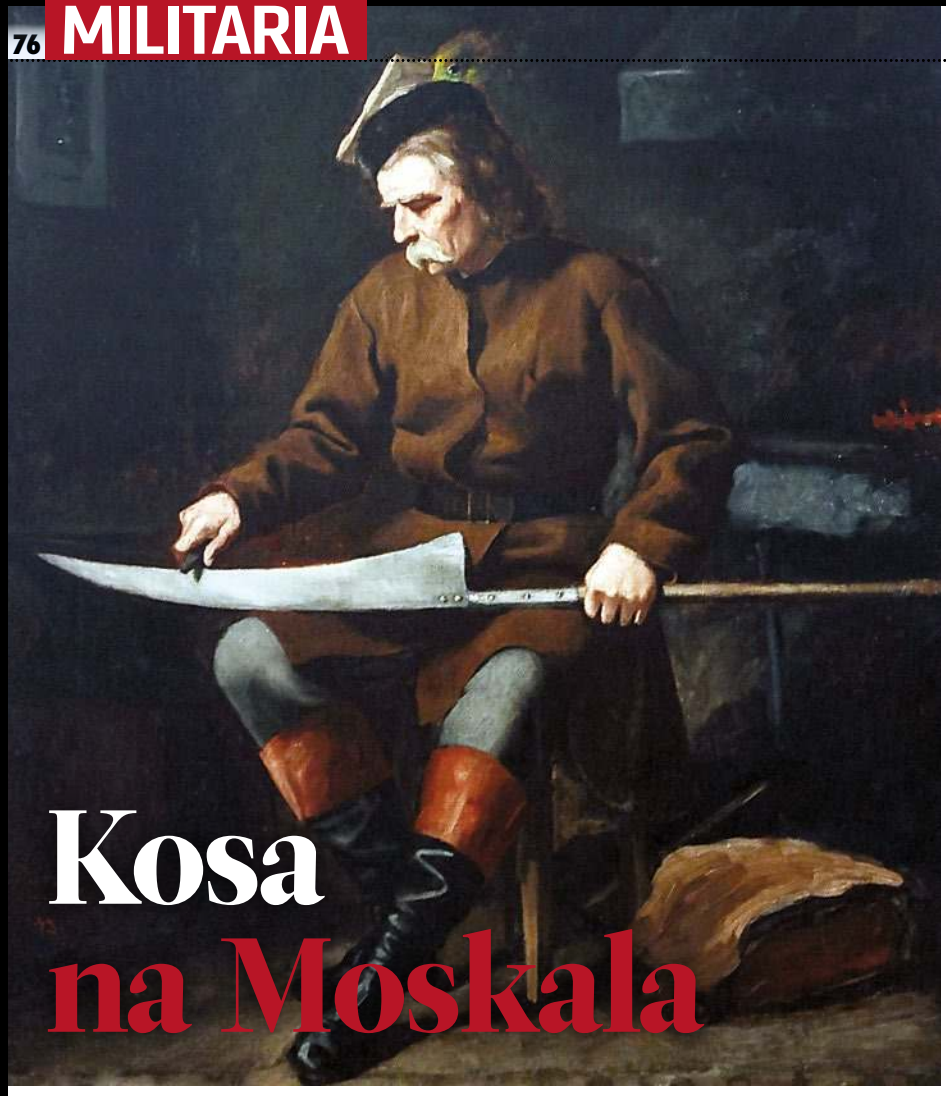
W takim też duchu powinny odbyć się obchody tragedii wołyńskiej. Z podkreśleniem, że choć Ukraińcy z OUN i UPA, także przy pomocy ukraińskich sąsiadów Polaków, dopuścili się strasznej zbrodni, to przecież jednak nie ma złych narodów. Są złe ideologie i zatruci nimi ludzie.

We Lwowie, mieście tak związanym z polską historią, mieście Herberta, Lema, Weigla, Banacha, ma swój pomnik Stepan Bandera. Jego nacjonalistyczna ideologia stworzyła grunt dla rzezi wołyńskiej w 1943 r. i rok później masakry Polaków na ziemiach województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Jednak Bandera, gdy polska krew się lała, był więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego. Bardziej więc rażą na Ukrainie pomniki tych, którzy kierowali masowymi zabójstwami Polaków: Romana Szuchewycza, dowódcy UPA, i Dmytra Klaczkiwśkiego, dowódcy UPA na Wołyniu.

Powinniśmy jednak pamiętać, że dziś Ukraińcy nie honorują Bandery i UPA dlatego przecież, że dokonali czystki etnicznej, zbrodni na Polakach. W dostępnym w Internecie martyrologium OUN/UPA, gdzie podane są nazwiska tych, którzy polegli, zostali straceniu w wyniku procesów sądowych, znakomita większość działaczy OUN, dowódców oddziałów UPA to ludzie, którzy stracili życie w walce z Rosją sowiecką. Trudno się więc dziwić, że szczególnie dziś na Ukrainie, walczącej z Rosją, Stepan Bandera, UPA cieszą się poważaniem.

Ale i on, i UPA, jak można sądzić, stracą na znaczeniu, gdyż Ukraina ma nowych bohaterów, żywych i poległych, w dzisiejszej wojne. Marszałek Józef Piłsudski powiedział o Rosji, że niezależnie od ustroju zawsze jest imperialistyczna. Tak jest od czasów cara Iwana III aż do czasów cara Władimira. W Rosji nic się nie zmieniło, od wieków trwa samodzierżawie kolejnych władców moskiewskiego Kremla. © ℗

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Kosa na Moskala



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Kosa bojowa zapisała się w polskiej historii przede wszystkim zwycięstwem racławickim. Jednak najszerzej wykorzystywano ją podczas powstania styczniowego

Przed jego wybuchem o kosie pisało wielu polskich teoretyków wojskowych. Większość podkreślała jej militarne zalety, choć niektórzy czynili to raczej z musu niźli przekonania. Dla kosy nie było niestety alternatywy. Armia polska nie istniała, zasoby broni palnej w kraju, zwłaszcza po rosyjskich konfiskatach, były niewielkie, a perspektywa zagranicznych zakupów mglista. Powstańcy, przynajmniej na początku walk, musieli liczyć przede wszystkim na broń improwizowaną.

„Kosy były trojakie – pisał we wspomnieniach Józef Kościesza Ożegalski. – Jedne zwykłe od koszenia, drugie przerobione z ręcznych sieczkarń, a trzecie umyślnie robione do powstania. Te były obosieczne i proste, miały kształt dużego czerkieskiego kindżału. Drążki do kos mieli z lekkiego drzewa, od góry okute wzdłuż czterema drutami, aby pałaszem nie mógł ich przeciąć kawalerzysta. Przy osadzie drążka mieli niektórzy haki, aby móc w potrzebie ściągnąć jeźdźca z konia. Była to straszna broń, żaden piechur z bagnetem, mając wystrzelony karabin, nie stawił czoła kosynierowi, mogącemu rąbać i kłuć okropnie swoją ciężką i długą kosą".

Na otwartej przestrzeni, w starciu z regularną, zdyscyplinowaną piechotą prowadzącą ogień salwowy i wspieraną ostrzałem armatnim kosynierzy, byli zazwyczaj bez szans. Kosa była natomiast bronią groźną w walce na bliskim dystansie i zapewniała uzbrojonemu w nią żołnierzowi przewagę nad przeciwnikiem dysponującym karabinem z bagnetem. Jej walory wynikały nie tylko z większej długości, lecz także z możliwości zadawania przełamujących cięć. Takiego ciosu nie mógł wyprowadzić „klasyczny" piechur, gdyż ówczesne bagnety były przeznaczone głównie do kłucia.

Kosynierzy mieli największe szanse podczas ataku z zaskoczenia, kiedy przeciwnik nie mógł się przegrupować i nie miał czasu ponownie nabić karabinów, których szybkostrzelność nie przekraczała kilku strzałów na minutę, i to przy doskonale wyszkolonym żołnierzu. Ważne było także współdziałanie z własnymi strzelcami. Gdy ci ostatni odpowiednio „zmiękczyli" wroga, kosynierzy mieli niekiedy sposobność do ostatecznego rozstrzygnięcia. Antoni Drążkiewicz, partyzant z oddziału Dionizego Czachowskiego, tak zapamiętał starcie w Grzybowej Górze (19 kwietnia 1863 r.): „Kapitan Michalski, po ustąpieniu strzelców, mając plac otwarty do ataku, rzucił się z kosynierami, rąbiąc od czoła. Nieprzyjaciel ujrzawszy, że z atakującego zamienił się na atakowanego, i do tego z trzech stron, zwłaszcza kosami masakrowany, zaczął spiesznie się cofać. Gdy zaś podpułkownik padł, porwali z sobą ciało jego i w największym popłochu uciekli, nie oparłszy się aż dopiero w Radomiu".

W trakcie powstania na teren Kongresówki zaczęła sukcesywnie docierać broń palna z zagranicy, dzięki czemu stosunek strzelców do kosynierów wyraźnie zmienił się na korzyść tych pierwszych. Jednak do końca walk kosa była stałym elementem powstańczego arsenału. Na zdjęciu obraz olejny E.P. Dieudonnéego pt. „Powstaniec", 1873 r. (zbiory Muzeum Wojska Polskiego). ©℗

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Flaga z Wilhelmshaven



W kwietniu 1945 r. polska 1. Dywizja Pancerna, po kilku miesiącach dozorowania linii frontu, wznowiła działania manewrowe, likwidując opór wroga w północnych Niemczech. Szlak bojowy zakończyła 6 maja, wkraczając do Wilhelmshaven – miasta twierdzy i bazy Kriegsmarine. Polacy przyjęli akt poddania się załogi twierdzy i bazy marynarki wojennej. Do niewoli wzięto dwóch admirałów, jednego generała i ponad 30 tys. oficerów i żołnierzy oraz imponującą zdobycz w postaci sprzętu bojowego i okrętów wojennych.

Generał Maczek wspominał: „A gdyśmy weszli do Wilhelmshaven, na łuku bramy portowej przywitał nas orzeł polski, zdjęty w 1939 r. z budynku Dowództwa Floty w Gdyni. Został on jako łup zawieziony przez Niemców do Wilhelmshaven, tej kolebki niemieckiej marynarki wojennej. Odzyskanego orła polskiego wręczyliśmy przedstawicielowi polskiej marynarki wojennej wraz ze zdjętym ze szczytu orłem niemieckim – na wieczną rzeczy pamiątkę. O.R.P. »Konrad« przewiózł następnie do Anglii orła polskiego, który obecnie znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie".

Potem do portu w Wilhelmshaven zawinęły także dwa polskie niszczyciele: ORP „Ślązak" i ORP „Krakowiak". Ten ostatni zabrał stamtąd ogromną (5 x 3 m) flagę wojenną III Rzeszy. To wspaniałe trofeum znajduje się w zbiorach MWP. ©℗

Nasi Szkoci

Wojsko szlacheckiej Rzeczypospolitej było wieloetniczne. Służyli w nim m.in. Szkoci, cieszący się żołnierską sławą. Pojawili się za Batorego. Wzięli udział m.in. w szturmach Pskowa (1581). Odtąd byli niemal stale obecni: jako oficerowie w cudzoziemskich regimentach lub zgrupowani w oddzielne jednostki. Bitni, odporni na trudne warunki atmosferyczne walczyli na modłę zachodnioeuropejską, tworząc doskonałe oddziały piechoty muszkietersko-pikinierskiej. Jednym z elementów stroju był pled, kilkumetrowa tkanina wełniana umocowywana pasem lub rzemieniem (od pasa w dół tworzyła rodzaj spódniczki – czyli późniejszy słynny kilt), a górny koniec przerzucano przez ramię. Tkanina była wzorzysta, pokryta kratą (tartan), która stała się wyróżnikiem klanowym. Innymi charakterystycznymi szkockimi atrybutami były beret (bonet), skarpety sięgające kolan i buty, przypominające nieco góralskie ciżmy. Szkoci służyli głównie na żołdzie państwowym, ale byli też w prywatnych armiach magnatów, choćby Radziwiłłów. Na zdjęciu miecz w koszowej oprawie – charakterystyczny oręż szkocki używany od XVI w. ©℗



B-24 Liberator

Amerykański ciężki bombowiec B-24, ochrzczony przez Brytyjczyków Liberatorem, okazał się jednym z najlepszych samolotów drugiej wojny światowej i odegrał kluczową rolę w strategicznych nalotach na III Rzeszę. Maszynę opracowano w wytwórni Consolidated Aircraft Corporation z San Diego w związku z zapotrzebowaniem US Army Air Corps. Prototyp wzbił się w powietrze pod koniec grudnia 1939 r., jednak seryjna wersja rozpoczęła służbę w 1941 r., i to początkowo u Brytyjczyków. Maszyny wykonywały loty w osłonie transatlantyckich transportów i w służbie patrolowej. Prawdziwy chrzest bojowy nastąpił jesienią 1942 r., podczas bombowej wyprawy na Lille.

B-24 charakteryzował się nowatorskim płatem pomysłu Davida R. Davisa. Smukłe skrzydła znacznie wydłużono w porównaniu z innymi samolotami (płat „szybowcowy"), a ich profil wpływał na zmniejszenie oporu powietrza; na krawędzi spływu instalowano nowoczesne krokodylowe klapy Fowlera zwiększające siłę nośną. Konstrukcja płata w połączeniu z czterema potężnymi gwiazdowymi silnikami Pratt & Whitney zadecydowała o doskonałych osiągach – samolot przewyższał swojego głównego konkurenta, czyli słynnego B-17, zarówno zasięgiem działania, udźwigiem, jak i szybkością. Liberatory produkowane były w kilku wytwórniach i wielu wersjach. Szacuje się, że powstało ich ponad 18 tys. Na zdjęciu eksponat z muzeum w PIMA w USA (wersja B-24J). ©℗



eprasa.pl 0b86cb3ec7



FOT. ADOBE STOCK

XVIII/XIX w. / Oszołomienie Zachodu

Narkotyki



Tymoteusz Pawłowski

Na obszarach pozbawionych alkoholu Europejczycy pocieszali się narkotykami. Z Indii przywieźli opium, a z Egiptu haszysz

Narkotyki swoją nazwę wzięły ze starożytnej greki, w której „narkōtikós" oznacza „oszałamiający". Narkotykiem jest również alkohol, cieszący się pewną społeczną – i państwową – akceptacją. Alkohol bowiem oprócz tego, że oszałamia, pobudza również do pracy, płodzenia dzieci i walki, a społeczeństwu – i państwu – zależy na utrzymywaniu tych walorów wśród swoich członków. Większość innych narkotyków jest nielegalna.

Narkotyki kojarzą się z odmiennym sposobem zażywania, najczęściej paleniem lub żuciem. Rośliny czy grzyby działające w ten sposób były używane przez ludzi od czasów najdawniejszych, a ich użycie usprawiedliwiano mistycyzmem czy religią. Prawdziwą sławę – czy raczej niesławę – zaczęły jednak zdobywać dopiero na przełomie XVIII i XIX w. Było to związane z prohibicją wymierzoną w napoje alkoholowe i z podbojami militarnymi. Te elementy w historii narkotyków pojawiać się będą regularnie.

Otóż islam zabrania picia alkoholu. Idea szczytna, ale ludzie są tylko ludźmi, więc muzułmanie szukali innych sposobów oszołomienia. Zaczęli stosować żywicę maku, z którego produkowali opium, a także konopi, z których wytwarzali haszysz (jego odmianą jest marihuana). Te używki były dość popularne w muzułmańskim kręgu cywilizacyjnym, ale Europejczycy poznali je bliżej, gdy Francuzi Napoleona Bonapartego walczyli w muzułmańskim Egipcie, a Anglicy Lorda Wellingtona walczyli w muzułmańskich Indiach. Na obszarach pozbawionych alkoholu Europejczycy pocieszali się narkotykami i z Indii przywieźli opium, a z Egiptu haszysz.

Narkotyki te stały się niesamowicie popularne w pierwszej połowie XIX w. Opium zażywali wszyscy, a dokładniej wszyscy, których było na to stać i którzy chcieli być modni, m.in. Balzac, Hugo, Dumas. Zażywał je także i Juliusz Słowacki, Adam Mickiewicz zaś pocieszał się winem i wódką. I na przykładzie polskich wieszczów doskonale widać różnice pomiędzy narkotykami a alkoholem. Juliusz Słowacki żył w nieustannej depresji, mało pracował i zmarł bezpotomnie. Adam Mickiewicz działał, pracował, organizował oddziały mające walczyć o wolność Polski i pozostawił po sobie pół tuzina (a może i więcej) potomków.

Opium służyło nie tylko rozrywce, lecz także nauce. Na bazie opium stworzono pierwsze skuteczne środki przeciwbólowe: znane od dawna laudanum i właśnie otrzymaną mocniejszą morfinę. Ułatwiały leczenie, a także postęp: bez

eprasa.pl 0b86cb3ec7

nich bowiem nie dałoby rady obserwować – chociażby podczas operacji chirurgicznej – jak działa ciało człowieka. Pod sam koniec XIX w. otrzymano z morfiny silniejszą od niej heroinę.

Marihuana

Heroina przez kilka lat była traktowana jako panaceum i stała się modna – oferowano ją nawet dzieciom – ale bardzo szybko lekarze zwrócili uwagę, że jest to substancja silnie i bardzo szybko uzależniająca. Za uzależnieniem postępowała deprawacja: heroiniści oddawali wszystko, żeby zdobyć następną dawkę. Do 1914 r. heroinę zdelegalizowano niemal na całym świecie.

W 1914 r. wybuchła pierwsza z wojen światowych, do której wkrótce dołączyły się Stany Zjednoczone. Przystępując do wojny, Amerykanie wprowadzili ograniczenia w sprzedaży i spożywaniu alkoholu, które trwały aż do 1933 r. Wojna sprawiła, że amerykańscy obywatele trafili do armii, a do pracy na ich miejsce przybyli robotnicy z Meksyku. Wraz z nimi przybyły również meksykańskie używki, w tym meksykańska odmiana haszyszu, nazywana po hiszpańsku marihuaną.

Marihuana została bardzo szybko zakazana. Przede wszystkim dlatego, że spowalniała pracę i była traktowana jako obca kulturowo, używali jej bowiem wyłącznie imigranci, co zresztą bardzo szybko się zmieniło. Otóż podczas prohibicji nielegalną sprzedażą alkoholu zajmowali się gangsterzy. Marihuana również była nielegalna, ale łatwiej ją było sprzedawać i przynosiła większe zyski niż alkohol, bardziej więc opłacało się sprzedawać właśnie ją: trzeba było tylko rozpropagować modę na jej palenie. Co się gangsterom udało...

Zaostrzenie walki z marihuaną w USA wynikało także z... biurokracji. Lata 20. i 30. to w Stanach Zjednoczonych okres olbrzymiego rozrostu biurokracji, szczególnie agencji federalnych, walczących o wpływy i fundusze. Dla nich na rękę było zaliczenie marihuany do substancji szczególnie niebezpiecznych – w ten sposób pojawiał się kolejny wróg do zwalczania, i to w doskonałym momencie, gdy zniesiono prohibicję i takim wrogiem przestał być alkohol.

W krajach europejskich problemu marihuany nie było, więc prawa antynarkotykowe – chociażby to wprowadzone w 1923 r. w Polsce – jej nie obejmowały. Dopiero druga wojna światowa sprowadziła tę używkę zza oceanu – wraz z żołnierzami amerykańskimi, gumą do żucia i cocacolą – więc stopniowo zakazywały jej również państwa europejskie. Było to również związane z dekolonizacją. Europa traciła kontrolę polityczną nad Azją oraz Afryką i obawiała się, że młode państwa postkolonialne nie będą przestrzegały dotychczasowych praw. W 1961 r. pod egidą ONZ uchwalono – obowiązującą na całym świecie – Jednolitą Konwencję Narkotykową, mającą dość restrykcyjny charakter.

Heroina i kokaina

Paradoksalnie przeciwko zdecydowanym krokom antynarkotykowym protestował Związek Sowiecki. W krajach komunistycznych kontrola społeczeństwa była i tak ścisła (a narkotyków było niewiele), a Moskwa uważała, że nadarza się doskonała okazja do osłabienia zgniłego Zachodu. Na różne sposoby wspierała więc przemytników i handlarzy narkotyków, podobnie czyniły to zależne od niej reżimy. To właśnie komunistyczne Kuba i Nikaragua stały się ważnymi szlakami przerzutowymi dla kolumbijskiej kokainy, środka znanego dobrze w XIX w. w Ameryce oraz Europie, który następnie przestał być modny, a popularność odzyskał w latach 70. XX w.

Amerykanie także nie stronili od używania narkotyków jako broni, choć czynili to niejako w samoobronie. Gdy w latach 60. setki tysięcy amerykańskich żołnierzy walczyły w Wietnamie i nie mogły korzystać z marihuany, zwróciły się w stronę lokalnie produkowanej heroiny. Znacznie osłabiło to gotowość amerykańskiego wojska i sprawiło, że heroina stała się modna w USA – więc gdy z kolei Sowieci zaatakowali Afganistan, również użyto przeciwko nim broni narkotykowej. Poza tym przymykanie oka na produkcję narkotyków stało się zarówno u Amerykanów, jak i Sowietów sposobem na dbanie o poparcie wśród ludności cywilnej. Mak, z którego produkuje się heroinę, jest w wielu krajach podstawową uprawą, której nie ma czym zastąpić.

Takim krajem jest również Meksyk, który – w przeciwieństwie do innych producentów narkotyków – bardzo często zmienia oferowany asortyment. W czasach Majów zażywano peyotlu, później Hiszpanie przywieźli konopie i popularna stała się marihuana, następnie zwrócono się ku produkcji maku i heroiny (skoro kary za handel marihuaną i heroiną są takie same, to bardziej opłacalny jest handel heroiną). Gdy rozbito kolumbijskie kartele produkujące kokainę, zaczęto sprowadzać ją do Stanów Zjednoczonych z Meksyku. Od 2006 r. w Meksyku trwa wojna narkotykowa pomiędzy rządem i kartelami oraz pomiędzy kartelami i... innymi kartelami. Wszystko wskazuje na to, że wygrywa ją rząd, m.in. dlatego, że uprawy konopi i maku są łatwe do wykrycia i zniszczenia. Kartele po raz kolejny zmieniły asortyment, starając się produkować narkotyki syntetyczne. To jest jednak zupełnie inna historia.



Palacze opium

FOT. THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART (OPEN ACCESS)

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7



1918–1939 / Konflikt na kresach południowych

Wojna na gruzach imperiów



Piotr Zychowicz

Krwawa polsko-ukraińska wojna o Galicję Wschodnią była elementem szerszego zjawiska. Upadku starych wielonarodowych monarchii i triumfu idei nacjonalizmu

W 1918 r. zakończyła się epoka w dziejach ludzkości. Wielkie wielonarodowe imperia Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów zawaliły się z hukiem. Było to skutkiem samobójczego szału, który cztery lata wcześniej nakazał im stanąć naprzeciw siebie i zewrzeć się w śmiertelnych zmaganiach. Wielką wojnę – bo o niej mowa – przegrały wszystkie trzy wielkie monarchie Europy Środkowo-Wschodniej.

Wytworzoną próżnię natychmiast wypełniły młode narody żyjące między Zatoką Fińską a Mo-rzem Czarnym. W uszach nacjonalistów łoskot walących się imperiów był sygnałem do działania. By-li poddani cesarzy postanowili wykorzystać dziejową szansę i zrealizować swoje marzenia o budowie własnych państw. Zgodnie z panującą wówczas modą nowe organizmy państwowe Europy Środko-wo-Wschodniej powstawały jako nowoczesne republiki. Ideałem było państwo jednolite etnicznie. Każdy chciał być gospodarzem w swoim domu.

Twórcy nowych organizmów od razu stanęli jednak przed olbrzymim problemem. Jak wyznaczyć granice? Przedstawiciele wspomnianych narodów żyli bowiem od stuleci obok siebie, na terenach mieszanych. Granice etniczne były tu nieostre, rozmyte. Niepasujące do rodzącego się nowego „wspaniałego" świata.

eprasa.pl 0b86cb3ec7



Obrońcy Lwowa przy pałacu Siemieńskich, listopad 1918 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Dopóki wszyscy ci ludzie byli poddanymi królów i cesarzy – polskich, rosyjskich, niemieckich czy austriackich – dopóty nie miało to większego znaczenia. Teraz, gdy mieli się stać obywatelami demokratycznych republik, stało się to kolosalnym problemem.

Nowo powstałe państwa pretendowały bowiem do tych samych terytoriów. Skutek był nietrudny do przewidzenia. Narody te rzuciły się sobie do gardeł i cały region zapłonął od zażartych, sąsiedzkich konfliktów. Jak obrazowo ujął to jeden z brytyjskich mężów stanu – po tym, gdy wygasły wojny gi-gantów, wybuchły wojny karłów.

Modelowym przykładem była wojna Polaków i Ukraińców o Galicję Wschodnią. Rywalizacja między obydwoma nacjami narastała już w ostatnich dekadach istnienia Austro-Węgier. Dysponująca aparatem administracyjno-policyjnym monarchia Habsburgów trzymała jednak polsko-ukraiński kon-flikt w ryzach. Gdy tej monarchii zabrakło – doszło do eksplozji. Polacy proklamowali w Warszawie restaurację Rzeczypospolitej Polskiej, w której granicach znaleźć się miała Galicja Wschodnia. Nie wyobrażali sobie, żeby ich państwo mogło powstać bez Lwowa, jednego z najbardziej prężnych ośrodków polskiej kultury i ruchu niepodległościowego.

Tymczasem 1 listopada 1918 r. Ukraińcy proklamowali we Lwowie stworzenie Zachodnioukraiń-skiej Republiki Ludowej. Państwo to miało objąć wszystkie tereny monarchii Habsburgów zamiesz-kane przez ludność ruską i ukraińską wyznania greckokatolickiego. Czyli aż do Sanu. Żadna strona nie miała oczywiście najmniejszej ochoty na ustępstwa. Każda uważała przeciwnika za uzurpatora. Polacy, który dominowali w miastach, powoływali się na historyczną przynależność Galicji Wschod-niej do Rzeczypospolitej. Ukraińcy, którzy stanowili przytłaczającą większość na prowincji, powoły-wali się na argumenty etniczne i prastarą Ruś Halicko-Włodzimierską.

„Tak jak rozpad Jugosławii na niezależne państwa – pisał Czesław Miłosz w książce »Wyprawa w dwudziestolecie« – doprowadził do wojny pomiędzy nimi, rozpad monarchii habsburskiej stał się przyczyną wojny polsko-ukraińskiej. Galicja Wschodnia ze stolicą we Lwowie liczyła mniej więcej trzydzieści dziewięć procent ludności polskiej, resztę stanowiła ludność ukraińska i żydowska. Miasto Lwów w większości mówiło po polsku, ale tuż za jego rogatkami zaczynała się wieś ukraińska". Mieszkający we Lwowie Polacy, obudziwszy się 1 listopada, zobaczyli nad miastem łopoczące nie-biesko-żółte flagi, a na ulicach ukraińskich żołnierzy, którzy opuścili szeregi armii Austro-Węgier. Wkrótce dołączyli do nich Ukraińscy Strzelcy Siczowi, odpowiednik Legionów Piłsudskiego. Wybu-chły zacięte walki o Lwów. Bito się o każdą ulicę i każdą kamienicę. Do legendy przeszła bohaterska postawa polskiej młodzieży – Orląt Lwowskich.

Do dziś wielu Polaków ma pretensje do Ukraińców o ten „zdradziecki czyn". Ale, jak słusznie wska-zywał Bohdan Skaradziński, Ukraińcy zrobili to samo, co Polacy w Poznaniu podczas powstania wielkopolskiego. Jedyna różnica polegała na tym, że Polakom się udało, a Ukraińcy przegrali. Kon-flikt o Lwów szybko przeistoczył się w otwartą wojnę między ZURL a Polską. Między przybyłym na odsiecz regularnym Wojskiem Polskim a Ukraińską Armią Halicką. Wojna ta ze zmiennym szczę-ściem trwała aż do lipca 1919 r. Rozstrzygnęły ją przybyłe z Francji wojska gen. Józefa Hallera. Pola-kom udało się przełamać front i wyprzeć oddziały ukraińskie z Galicji. Za Zbrucz. Polacy zwyciężyli.

Same działania wojenne – kolejne bitwy, ofensywy i kontrofensywy – doczekały się obszernej litera-tury historycznej. Znacznie mniej mówi się i pisze natomiast o straszliwych zbrodniach wojennych, które popełniały obie strony. „Przeglądając materiały historyczne – pisał znany historyk Omer Bartov – można zdać sobie sprawę z potworności braterskiego konfliktu, w znacznej mierze zapomnianego i wypartego przez jeszcze większe okropności czystek etnicznych i ludobójstwa II wojny światowej. Nie sposób osądzić, która grupa odpowiada za większą liczbę ofiar i za bardziej ohydne zbrodnie. Był to początek rywalizacji okrucieństwa, w której mogli być tylko przegrani".

Przegrana wojna z Polską i załamanie się ukraińskiej państwowości w Galicji były dla tamtejszych Ukraińców narodową katastrofą. Państwo polskie traktowane było jak represyjny okupant, a nie jak ojczyzna. „Zryw zachodniej Ukrainy do niepodległego bytu – pisał ukraiński badacz Mikołaj Siwicki – zdławiła Polska, odrodzona po 123 latach niewoli". Wśród ukraińskich mas zapanowały rozgory-czenie i frustracja. A przede wszystkim niechęć do Polski, która przez najbliższe dwie dekady miała prowadzić wobec Ukraińców politykę narodowej dyskryminacji. Z kolei ukraińscy nacjonaliści z „polskim okupantem" walczyli przy pomocy krwawego terroru. Podpaleń, napadów rabunkowych i skrytobójczych mordów. Obopólna nienawiść narastała. Kwestia ukraińska była jątrzącą raną w orga-nizmie państwowym Rzeczypospolitej.

Źle, bardzo źle to wróżyło na przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

BOLESŁAW KONTRYM OD 1915 ROKU SŁUŻYŁ W ARMII CARSKIEJ. W STYCZNIU 1918 ROKU WSTĄPIŁ DO 5. PUŁKU UŁANÓW II KORPUSU POLSKIEGO NA WSCHODZIE I WRAZ Z NIM BRAŁ UDZIAŁ W BITWIE POD KANIOWEM. WÓWCZAS DOSTAŁ SIĘ DO NIEMIECKIEJ NIEWOLI. UCIEKŁ Z OBOZU JENIECKIEGO, JEDNAK ZOSTAŁ ARESZTOWANY I WCIELONY DO ARMII CZERWONEJ. POSTANOWIŁ WYKORZYSTAĆ TEN FAKT I SKONTAKTOWAŁ SIĘ Z POLSKIM WYWIADEM.



ZDAWAŁ SOBIE SPRAWĘ Z ROSNĄCEGO RYZYKA, DLATEGO NAJPIERW W POŁOWIE 1922 ROKU WYSŁAŁ DO POLSKI SWOJĄ RODZINĘ, A W GRUDNIU SAM PRZEKROCZYŁ GRANICĘ. W 1923 ROKU ZOSTAŁ DOWÓDCĄ PLUTONU W II BATALIONIE STRAŻY GRANICZNEJ I SZYBKO DAŁ SIĘ POZNAĆ JAKO CZŁOWIEK NIEZWYKLE ODWAŻNY, KTÓREGO CECHOWAŁA BRAWURA W DZIAŁANIU. GDY SOWIECI UPROWADZILI JEDNEGO Z JEGO PODWŁADNYCH, W ODWECIE WZIĄŁ W NIEWOLĘ ZAŁOGĘ CAŁEGO POSTERUNKU GRANICZNEGO.



W 1924 ROKU WSTĄPIŁ DO POLICJI PAŃSTWOWEJ I W KOLEJNYCH LATACH ZAJMOWAŁ CORAZ WYŻSZE FUNKCJE W JEJ STRUKTURACH, W TYM NACZELNIKA URZĘDU ŚLEDCZEGO W BIAŁYMSTOKU ORAZ KIEROWNIKA WYDZIAŁU ŚLEDCZEGO KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ W WILNIE. ZAJMOWAŁ SIĘ MIĘDZY INNYMI ROZPRACOWYWANIEM KOMUNISTYCZNEJ AGENTURY NA KRESACH. WE WRZEŚNIU 1939 ROKU ZOSTAŁ INTERNOWANY PO PRZEKROCZENIU GRANICY LITEWSKIEJ, ALE ZBIEGŁ Z OBOZU I PO DŁUGIEJ PODRÓŻY DOTARŁ DO FRANCJI.



W MARCU 1940 ROKU OBJĄŁ DOWÓDZTWO KOMPANII III BATALIONU SAMODZIELNEJ BRYGADY STRZELCÓW PODHALAŃSKICH I WZIĄŁ UDZIAŁ W BITWIE POD NARWIKIEM.

WE WRZEŚNIU 1941 ROKU PRZYDZIELONO GO DO 1. SAMODZIELNEJ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ GEN. STANISŁAWA SOSABOWSKIEGO. CHCIAŁ JEDNAK WRÓCIĆ DO KRAJU, ABY TAM KONTYNUOWAĆ WALKĘ, NAJPIERW MUSIAŁ PRZEJŚĆ ODPOWIEDNIE SZKOLENIE DLA CICHOCIEMNYCH.



UŻYWAŁ PSEUDONIMU „ŻMUDZIN". NA TERENIE POLSKI ZAJMOWAŁ SIĘ MIĘDZY INNYMI WYKONYWANIEM EGZEKUCJI NA KONFIDENTACH I AGENTACH GESTAPO. PO WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO BRAŁ AKTYWNY UDZIAŁ W WALKACH, W TYM W SZTURMIE NA BUDYNEK PAST-Y. ZOSTAŁ CZTEROKROTNIE RANNY, A PO UPADKU POWSTANIA TRAFIŁ DO OBOZU JENIECKIEGO. ZDOŁAŁ Z NIEGO UCIEC I DOŁĄCZYŁ DO POLSKIEGO WOJSKA WALCZĄCEGO NA TERENIE NIEMIEC.





PO POWROCIE DO KRAJU W MAJU 1947 ROKU OBJĄŁ STANOWISKO SZEFA DZIAŁU ADMINISTRACYJNO-GOSPODARCZEGO W CENTRALNYM ZARZĄDZIE PAŃSTWOWEGO PRZEMYSŁU FERMENTACYJNEGO. CAŁY CZAS PROWADZONO JEDNAK JEGO INWIGILACJĘ I ARESZTOWANO W PAŹDZIERNIKU 1948 ROKU, A NASTĘPNIE PODDANO BRUTALNYM PRZESŁUCHANIOM I TORTUROM, ABY WYDOBYĆ ZEZNANIA. W 1952 ROKU SKAZANO BOLESŁAWA KONTRYMA NA KARĘ ŚMIERCI, A W STYCZNIU 1953 ROKU WYROK WYKONANO.



JEGO SZCZĄTKI ZOSTAŁY ODNALEZIONE W TRAKCIE PRAC EKSHUMACYJNYCH W KWATERZE „Ł" CMENTARZA POWĄZKOWSKIEGO I ZIDENTYFIKOWANE W 2014 ROKU.

eprasa.pl 0b86cb3ec7

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKI HEATHER DUNE MACADAM: „999 NADZWYCZAJNE DZIEWCZYNY Z PIERWSZEGO TRANSPORTU KOBIECEGO DO AUSCHWITZ" ORAZ LUCY ADLINGTON: „KRAWCOWE Z AUSCHWITZ"

999 Nadzwyczajne dziewczyny z pierwszego transportu kobiecego do Auschwitz

Pierwszy kobiecy transport do Auschwitz był przez długie lata zapomniany. Nie było w nim osób związanych z ruchem oporu ani jeńców wojennych. Były tylko bezbronne młode kobiety, przyzwyczajone do dobrych manier i wygodnego życia, które nagle znalazły się w piekle, w którym je bito, rozbierano do naga, golono, trzymano na wielogodzinnych apelach na mrozie, poddawano drakońskim karom i zaganiano do ciężkiej pracy, często prowadzącej do śmierci. Ta książka przypomina niezwykłą historię pierwszych 999 kobiet, które trafiły do Auschwitz, ich cierpienie, heroizm i wolę przetrwania.

Krawcowe z Auschwitz

W czasie szaleństwa hitlerowskiej zagłady, 23 młode więźniarki Auschwitz-Birkenau uniknęły komór gazowych, projektując i szyjąc modne ubrania dla nazistów. Szwalni założonej przez żonę komendanta obozu, Hedwig Höss, patronowały nie tylko żony oficerów SS, a działalność krawcowych nie ograniczała się jedynie do przerabiania odzieży znalezionej w walizkach ofiar. Zamówienia na wyszukane stroje płynęły nawet z samego Berlina.
Tę pracę wykonywały młode wykwalifikowane więźniarki, w większości Żydówki, które szyły, żeby - dosłownie - żyć. Historia krawcowych z Auschwitz do niedawna pozostawała nieznana. Ich niezwykłe losy opowiada dopiero Lucy Adlington, opierając się przy tym na niepublikowanych wcześniej materiałach i świadectwach.



149 zł

oszczędność 83 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0b86cb3ec7

Już 17 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI — FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 0b86cb3ec7